ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 04 (219) KWIECIEŃ 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

FESTUNG BRESLAU:

BITWA PANCERNYCH KOLOSÓW

> BAKTERIE W SŁUŻBIE II RP

> SIR LANCELOT Z... SIEDLĘCINA

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104
9 771505 610056 04

NOWOŚĆ

MXSPORT

white's
· QUALITY SINCE 1950 ·

Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdych poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena

POLECAMY TAKŻE:

Treasure Master

MADE IN U. S. A.

Treasure Pro

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw

www.viking.waw.p

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

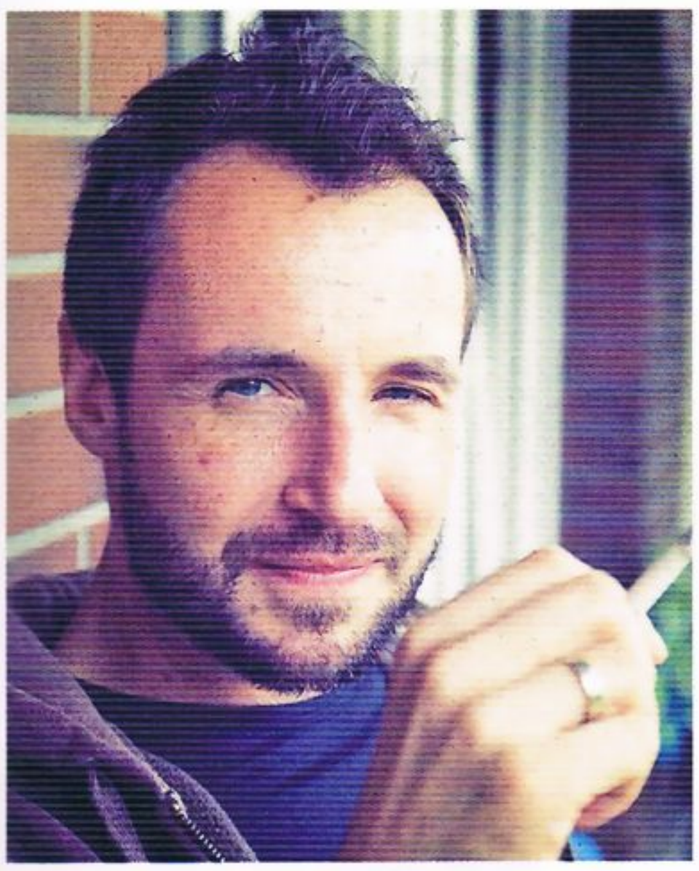

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

No i stała się jasność! Chciałoby się rzec po kilkunastu miesiącach burzliwych debat, ostrych sporów i perturbacji organizacyjnych zawiązane zostało pierwsze ogólnokrajowe stowarzyszenie „Polska Federacja Poszukiwaczy". Tak naprawdę jednak inicjatywa ta rodziła się co najmniej ostatnie ćwierć wieku, a może i dłużej, co z pewnością potwierdzą najstarsi stażem przedstawiciele naszego środowiska. Od kiedy pamiętam był to gorący temat. Były spotkania, rozmowy, próby nawiązania dialogu i wypracowania wspólnego stanowiska. Niestety, mimo szczerych chęci uczestników dyskusji nie udawało się osiągnąć satysfakcjonującego wszystkich konsensusu. W efekcie większość inicjatyw systematycznie upadała. Czy tym razem zrobimy krok naprzód? Mam nadzieję, że tak. Więcej szczegółów w kolejnym numerze.

Tymczasem w bieżącym nasi autorzy, dzięki dostępowi do dotąd nieznanych materiałów archiwalnych skutecznie rozwiązują tajemnice przeszłości. O poniemieckich skrytkach ukrytych nieopodal Dusznik Zdroju na Dolnym Śląsku mówiło się od zakończenia II wojny światowej. Dziś udało się tę historię doprecyzować i odtworzyć niemal całkowicie. Podobnie jak drobiazgowo zrekonstruować zakres prac prowadzonych przez nazistów w laboratoriach na terenie klasztoru w Lubiążu. Tajne prace badawcze nie były zresztą domeną wyłącznie Niemców. Jak się bowiem okazuje w II Rzeczpospolitej realizowano program analiz dotyczących zastosowania… broni bakteriologicznej. Co znamienne wszystkie te sprawy oparte na miarodajnych źródłach zyskują merytoryczny wymiar, przestając być tym samym jedynie sensacyjnymi ciekawostkami. I takich jednak nie brakuje, czego przykładem może być sprawa pojawienia się w latach 50. na terenie Karkonoszy pierwszego komandosa Hitlera – Otto Skorzenego. Jednak i w tym przypadku nie jest to materiał oparty na doniesieniach prasowych, lecz raportach Służby Bezpieczeństwa. Czy wiarygodnych? Przekonajcie się Państwo sami. Życzę miłej lektury.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: M. Biernacka (fotomontaż: działo samobieżne ISU-152 i Jagdpanzer IV), Wikimedia Commons, arch. red.

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAGUJĄCY:
REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło, Tomasz Bienek
KONSULTANCI
Michał Banaś
• Geologia.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Przemysłowa 7
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

KWIECIEŃ 2017

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 SKRZYNIE KAPITANA REUTERA
MACIEJ BARTKÓW

8 OSTATNI STRAŻNICY SKARBÓW WYWIEZIONYCH W 1939 ROKU Z ZAMKU KRÓLEWSKIEGO
JOLANTA ADAMSKA

16 SKARB SKORZENEGO POD SAMOTNIĄ
TOMASZ RZECZYCKI

20 DETEKTORY KRZEMOWE Z LUBIĄŻA. CZĘŚĆ 4
ROMUALD OWCZAREK

28 SIR LANCELOT Z WIEŻY KSIĄŻĘCEJ W SIEDLĘCINIE
KATARZYNA OGRODNIK-FUJCIK

KULISY HISTORII

34 BAKTERIE MADE IN POLAND
ADAM GAAFAR

40 PANCERNA RZEŹ W BRESLAU
RADOSŁAW SZEWCZYK

KOLEKCJONERSTWO

48 AMUNICJA MAŁOKALIBROWA Z MATERIAŁÓW ZASTĘPCZYCH. CZĘŚĆ 1
PIOTR J. BOCHYŃSKI

54 LODOWE TCHNIENIE PÓŁNOCY.
TOMASZ BIENEK

FORTYFIKACJE

62 BATERIA „VARA”. CZĘŚĆ 1
JACEK JAROSZ

FELIETON

70 PODCINANIE GAŁĘZI
RADOSŁAW BICZAK

71 KSIĘGARNIA „ODKRYWCY”
NOWOŚCI KWIETNIA

08

20

28

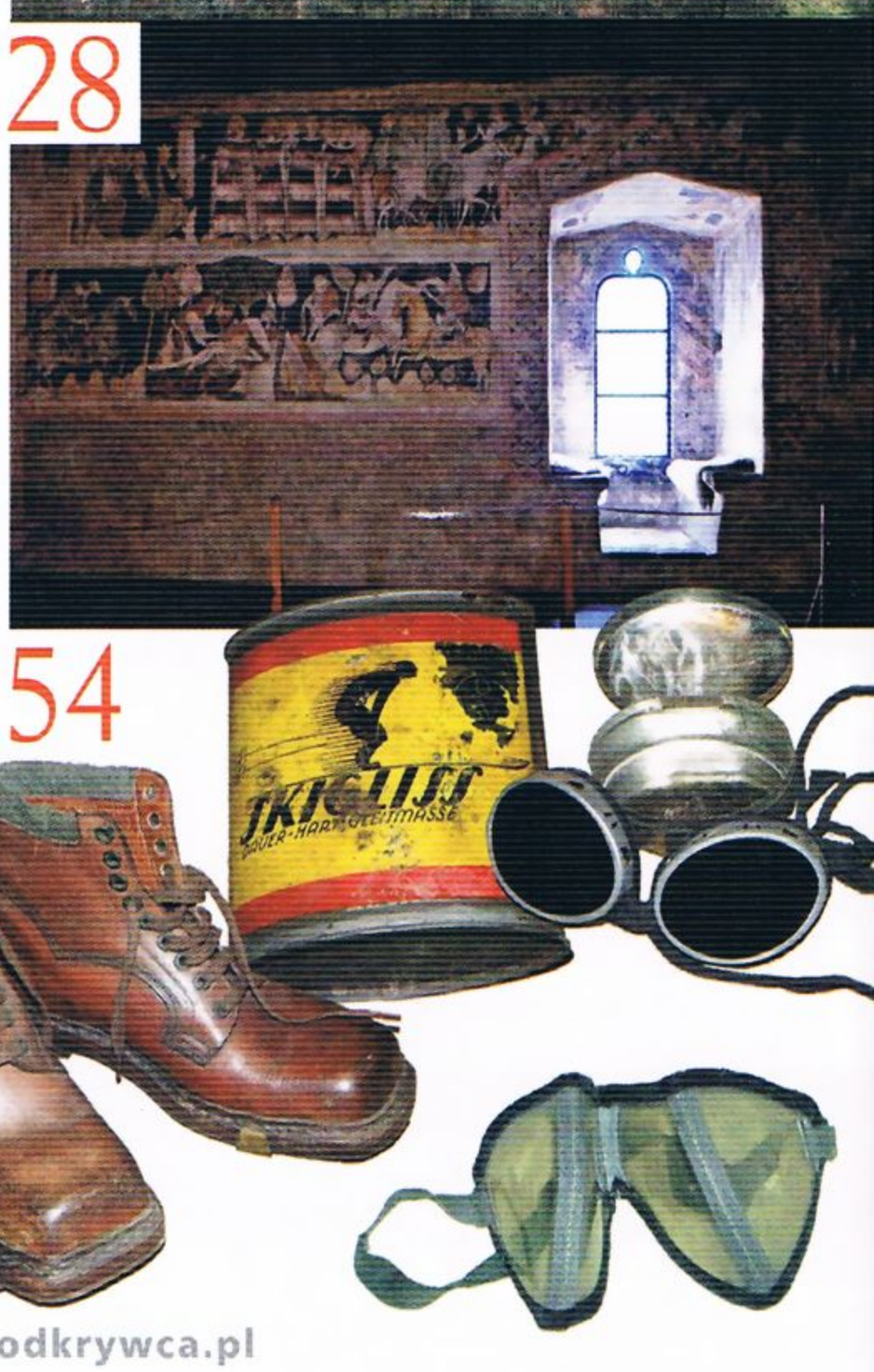

54

XII KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA”

„Z ODKRYWCĄ W NURCIE HISTORII PILICY”

SPAŁA 19-21 MAJA 2017 r.

Przygotowania do tegorocznej konferencji wkroczyły w decydującą fazę. Najwyższy czas, aby podać informacje organizacyjne, na które wszyscy zainteresowani czekają z niecierpliwością. W poprzednich numerach przedstawiliśmy Państwu miejsca, do których chcemy Was zabrać – teraz czas na konkrety.

Zaczynamy w PIĄTEK 19 MAJA. Biuro konferencji czynne będzie już od godziny 13:00 w Ośrodku „Zacisze” w Spale przy ulicy Piłsudskiego 20, który należy do sieci Natura Tour. Usytuowany jest nieco od centrum Spały (pomnik Żubra), przy drodze do Konewki, w otoczeniu pięknego sosnowego lasu.
XII Konferencję rozpoczniemy tradycyjnie o godzinie 16:00 w sali konferencyjnej ośrodka „Zacisze”. Jak co roku zaczniemy blokiem tematycznych prelekcji, które przybliżą nam punkty programu wyjazdowego. Prelegentami, których w tym roku zaprosiliśmy, będą: Andrzej Kobalczyk, Gabriela i Mariusz Ziółkowscy, Jarosław Pązik, Dorota Bill-Skorupa, Juliusz Szymański i Łukasz Orlicki. Po zakończeniu prelekcji, które planujemy na godzinę 19:00, zapraszamy wszystkich na kolację do sali restauracyjnej ośrodka „Zacisze”.

SOBOTA 21 MAJA – *I dzień zwiedzania*. Na ten dzień planujemy niespodziankę, niestety do dnia przekazania numeru do druku jeszcze nie do końca potwierdzoną – mamy na to jednak czas – 2 miesiące do konferencji. Potwierdzone punkty naszej wyprawy turystycznej to m.in. romański kościół i odbudowany zamek Kazimierza Wielkiego w Inowłodzu, Muzeum im. Antoniego hr. Ostrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim, bunkier w Jeleniu i Spała. Dzień zakończymy wizytą w bunkrze w Konewce, współorganizatora tegorocznej konferencji i wspólnym grillem w jego otoczeniu.

NIEDZIELA 22 MAJA – *II dzień zwiedzania.* Zabierzemy Was znowu do Tomaszowa, a dokładnie do Skansenu Rzeki Pilicy, Grot Nagórzyckich i nad Błękitne Źródła. Około 14:00 planujemy zakończenie XII Konferencji.
Uwaga: z racji niepotwierdzonego jeszcze jednego z punktów programu kolejność zwiedzania może ulec zmianie.

KILKA BARDZO WAŻNYCH INFORMACJI DOTYCZĄCYCH AKREDYTACJI, REJESTRACJI I NOCLEGÓW

Cena jednej akredytacji wynosi 270,00 zł brutto, w tym 50,49 zł podatku VAT (219,51 zł netto).
W ramach wpisowego każdy uczestnik ma zagwarantowany udział we wszystkich punktach programu konferencji, zestaw materiałów konferencyjnych, w tym płytę CD ze specjalną prezentacją, okolicznościowy znaczek, przejazd autobusami, wejście do wszystkich zwiedzanych obiektów bez dodatkowych opłat, ubezpieczenie NNW na czas trwania konferencji, piątkową kolację oraz sobotni obiad i kolację. Inne koszty, w tym zakwaterowanie czy dojazd, uczestnicy opłacają niezależnie

Rejestracja

UWAGA: tegoroczna rejestracja odbywać się będzie za pośrednictwem zupełnie nowego formularza elektronicznego. Po wejściu na naszą stronę główną: www.odkrywca.pl znajdziecie link do formularza rejestracyjnego, który tym razem przygotowała dla nas firma Eventshaper.pl
Formularz jest bardzo prosty – należy wpisać dane osobowe, adres, mail, telefon, PESEL (do ubezpieczenia).
W drugiej części należy podać imiona i nazwiska osób, z którymi chcecie być razem w jednej grupie, informacje o szczególnej diecie oraz zaznaczyć czy potrzebujecie fakturę i podać dane niezbędne do jej wystawienia. Mamy nadzieję, że wyjątkowo intuicyjny formularz nie sprawi nikomu trudności. Po prawidłowym wypełnieniu formularza otrzymacie potwierdzenie rejestracji na podany adres mailowy oraz będziecie mogli dokonać płatności – online, za pośrednictwem systemu Dotpay lub bezpośrednio na konto organizatora. Ten fakt zostanie także potwierdzony mailem. Wszystkim uczestnikom zwracamy jeszcze raz szczególną uwagę na podanie osób, z którymi chcecie być w jednej grupie (jeśli ktoś jest zainteresowany), ponieważ tuż przed rozpoczęciem konferencji, w biurze konferencyjnym, odznaczamy Waszą obecność na przygotowanych wcześniej listach grupowych i wówczas, UWAGA, zmiany mogą być niemożliwe.
UWAGA – system rusza 1 kwietnia br. i działa do wyczerpania 200 akredytacji lub do 6 maja br. Wszelkie reklamacje, zwroty i zmiany personalne przyjmujemy do 11 maja br. Po tym terminie nie będziemy mogli przy rezygnacji z uczestnictwa zwrócić wpłaty.

Noclegi

Dla uczestników tegorocznej konferencji noclegi zarezerwowaliśmy w Ośrodku „Zacisze” w Spale, przy ul. Piłsudskiego 20. Ośrodek dysponuje pokojami dwu- i trzyosobowymi. Rezerwacji noclegów można dokonać od 1 kwietnia br. na hasło „Odkrywca”:
– telefonicznie pod numerem +48 44 724 23 56
– e-mailem pod adresem: spala@naturatour.pl
Nocleg za jedną osobę kosztuje 80,00 zł za dobę ze śniadaniem w pokoju wieloosobowym. Pojedyncze osoby rezerwujące większy niż jednoosobowy pokój powinny liczyć się z wyższą opłatą. Właściciel obiektu, w celu sprawnej obsługi gości, prosi o wcześniejsze wpłaty. Parking jest bezpłatny.
Mamy dla Was także drugą opcję noclegu, w położonym w centrum Spały domu wypoczynkowym FWP „Żbik” przy ul. Mościckiego 19 dysponującym pokojami dwuosobowymi. Rezerwacja będzie dostępna od 1 kwietnia br. na hasło „Odkrywca”:
– telefonicznie pod numerem +48 44 710 14 18 w godzinach 9–17
– e-mailem pod adresem: spala@fwp.pl
Nocleg za jedną osobę kosztuje 60,00zł za dobę ze śniadaniem w pokoju dwuosobowym. Pojedyncze osoby rezerwujące pokój dwuosobowy powinny liczyć się z wyższą opłatą. Parking jest bezpłatny. Opłat można dokonywać przy meldowaniu.
W każdym obiekcie obowiązuje dodatkowa opłata klimatyczna w wysokości 2 zł za dobę od osoby płatna na miejscu.

Zawsze najnowsze i najaktualniejsze informacje będą zamieszczane na naszej stronie www.odkrywca.pl, a także na profilu na Facebooku:
https://www.facebook.com/Odkrywca
Możecie do nas napisać na adres e-mail konferencja@odkrywca.pl lub dzwonić pod numery: 71 329 71 71, 71 328 83 71, 501 675 126

SERDECZNIE ZAPRASZAMY DO SPĘDZENIA WEEKENDU Z „ODKRYWCĄ” W SPALE.

ORGANIZATOR: ODKRYWCA TAJNY • WOJNA • HISTORIA

WSPÓŁORGANIZATORZY: Miejskie Centrum Kultury w Tomaszowie Mazowieckim; TRASA TURYSTYCZNA GROTY NAGÓRZYCKIE

PATRONAT: MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO Witold Stępień; INOWŁÓDZ

NOCLEGI: FWP; NATURAtour

SKRZYNIE KAPITANA REUTERA

MACIEJ BARTKÓW

Po 15 latach wracamy do opisanej na łamach „Odkrywcy" historii dotyczącej odkrycia w Dusznikach Zdroju poniemieckich skrytek. Tym razem by ją ostatecznie wyjaśnić...

W grudniu 2003 roku ukazał się w „Odkrywcy" artykuł Joanny Orłowskiej zatytułowany „Skrzynie dla Wilkołaka". W tekście, opierając się na opowieści emerytowanego oficera kontrwywiadu, który działał po zakończeniu II wojny światowej na terenie Dolnego Śląska, autorka opisała historię kilku skrytek, jakie odnalezione miały zostać w roku 1950 w okolicach Duszник-Zdroju. Pozyskane przez informatora Joanny Orłowskiej dane pochodzić miały z dokumentów śledztwa zawierającego zeznania niejakiego kpt. Jürgena Sassa. Miał on być saperem, a także specjalistą od budowy umocnień wojskowych szefem sztabu szkoły dywersyjno-wywiadowczej funkcjonującej w ostatnich miesiącach II wojny światowej w Dusznikach Zdroju. Jak mogliśmy przeczytać:

„Kapitan Sass został przywieziony do Polski na początku maja 1950 roku przez dwóch oficerów NKWD z Moskwy. Zatrzymali się w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu. (...) Rosjanie zamierzali zweryfikować w terenie informacje otrzymane od Sassa. Obiecano mu, że w zamian za wyjawienie szczegółów dotyczących działalności tajnej placówki, którą kierował, zostanie zwolniony i będzie mógł swobodnie wyjechać do NRD. W czasie kolejnych dni pobytu w Polsce zawieziono Sassa do Dusznik. Jednym z kolejnych celów był rejon Stronia Śląskiego w Górach Bialskich. Szczegóły tej tajnej operacji znam od Kazimierza Jasińskiego, ówczesnego pracownika WUBP we Wrocławiu, który w niej uczestniczył. Oficerom WUBP z Wrocławia, NKWD i kpt. Wehrmachtu towarzyszyła tego pamiętnego dnia grupa żołnierzy XI pułku KBW z Wrocławia. Dojechali do Stronia, dalej droga prowadziła w rejon wsi Młynowiec i wyżej w Góry Bialskie, w okolice tzw. Pięciu Dróg. Kapitan Sass wskazywał

www.odkrywca.pl

wówczas miejsca, które Wehrwolf przeznaczył na schowki. Rzeczywiście nie kłamał. (...) Wykopano 12 drewnianych, smołowanych skrzyń o wymiarach około 200x80x60 cm. Przetransportowano je do Wrocławia, gdzie w koszarach XI pułku KBW ich zawartość podzielili między siebie kadra i żołnierze. Resztę »łupów« przewieziono do siedziby WUBP".

Według informatora, w skrzyniach znajdowały się pieniądze, głównie radzieckie czerwieńce, które wyszły już wtedy z użycia.

„Poza tym setki tysięcy angielskich fałszywych funtów, którymi Niemcy opłacali swą agenturę i zwolenników. Wyrabiano je w małej fabryce w Janowicach Wielkich koło Jeleniej Góry. W kolejnych skrzyniach widziałem środki łączności, baterie anodowe suche do radiostacji, lekarstwa, a także alkohol, głównie koniak. Nie brakowało też ciepłych ubrań, między innymi kożuchów. W kilku skrzyniach zapakowano broń. Zapamiętałem też tabletki pozwalające przetrzymać głód, wielkości dwugroszówek. Próbowaliśmy je, a reszta powędrowała na śmietnik".

Rosyjskie czerwieńce z 1937 roku.

Informator Joanny Orłowskiej dodał, że żadnych dokumentów związanych z tą sprawą nikt nigdy już nie odnajdzie. Jak stwierdził: „Jestem pewien, że zostały spalone". Były podoficer KBW i funkcjonariusz wrocławskiego WUBP miał jednak rację tylko częściowo. Nie wiedział ponadto, że w roku 1950 Sowieci przywieźli do Polski nie tylko kpt. Jurgena Süssa (bo tak naprawdę nazywał się ten niemiecki oficer), ale także kogoś znacznie od niego ważniejszego. Osobę, która nie tylko udzieliła szeregu istotnych informacji, ale także wskazała miejsca ukrycia kilkudziesięciu skrzyń dla dywersantów. Osobą tą był dowódca Frontaufklarungskomando nr 212 (Oddział Wywiadu Frontowego) kpt. Alfred Reuter. Zanim jednak dotarłem do dokumentacji wytworzonej w związku z tą sprawą przez WUBP we Wrocławiu, udało mi się odszukać także i inne materiały potwierdzające fakt odnalezienia na Dolnym Śląsku w roku 1950 „skrzyń dla Wilkołaka".

PPT na tropie

Co ciekawe informacje dotyczące tworzenia przez Niemców w końcowych miesiącach II wojny światowej zamaskowanych schowków są w zachowanych archiwaliach solidnie udokumentowane. Przy czym na ich ślad natknąć się można nie tylko w Instytucie Pamięci Narodowej, ale także w Archiwum Państwowym we Wrocławiu. Tam, w teczkach dotyczących działalności Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych, odnaleźć można również dokumenty związane ze sprawą skrytek organizowanych w okolicach Dusznik Zdroju. W jednym z nich, „Zgłoszeniu Witolda Fiałkowskiego z dnia 8 stycznia 1950 roku", przeczytać możemy:

„Zgłaszam do PPT, że wyśledziłem w lesie kierunek bunkra poniemieckiego w Dusznikach Zdroju. Znalazłem w lesie ścięte brzozy i świerki, około 10 sztuk, odległość brzozy od brzozy mniej więcej 5–8 metrów, prowadzą w górę lasu do dwóch skał, jednej dł. 4 m., drugiej dł. 3m., przed jedną ze skał ostatnia ścięta brzoza posiada trójkąt żelazny – jak od skrzynki amunicji i jest pomalowany zieloną farbą, na skale koło ziemi jest znak „14m" kierunek szpiców trójkąta – jeden wskazuje kierunek ziemi – drugi kierunek na wschód – a szpic trójkąta na zachód.
Pozostawiam do rozwiązania zagadkę przez PPT. Niemka, dziś wysiedlona, opowiadała, że przed wkroczeniem wojsk radzieckich – Niemcy zamknęli dostęp do Zdroju i wozili samochodami ciężarowymi różny sprzęt w w/w kierunku, który był przywieziony z Wrocławia. Od chwili kiedy się o powyższym dowiedziałem, zainteresowałem się poszukiwaniami w tych lasach. Wiadomość o ściętych brzózkach dowiedziałem się od Niemca Schmrorautsa".

Opisany teren już następnego dnia został poddany lustracji przez Kazimierza Teslara – inspektora penetracyjnego Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych. W sporządzonym po zakończeniu czynności protokole czytamy:

„Zgodnie z zarządzeniem Dyrekcji PPT i delegacją służbową nr 815 z dnia 27 XII >>>

www.odkrywca.pl

>>> 1949 roku udałem się do lasu za miastem Duszniki Zdrój w kierunku Zieleńca, na podstawie zgłoszenia Fiałkowskiego Witolda z dnia 08.01.50 r. w sprawie zgłoszenia ob. Fiałkowskiego. Sprawdziłem, że na skale znajduje się namalowana zieloną farbą cyfra „14m" i że przed skałą jest ścięta brzoza, na której znajduje się trójkąt żelazny przybity gwoździkami. Przy dalszych poszukiwaniach znaleziono mniejszą skałę, na której jest znak trójkąta i znak okrągły – oba znaki są namalowane farbą olejną koloru zielonego.
Po sprawdzeniu w/w faktów, ze względu na mrozy i obfity śnieg, dalsze poszukiwania przerwano, jednocześnie celem zebrania informacji u leśniczych i kamieniarzy. Ob. Schmorauts – autochton, w tych dniach zbiegł z Dusznik i jest poszukiwany – z tych względów nie mogłem przesłuchać ob. Schmorausta, którego wozacy drzewa zauważyli kręcącego się w pobliżu w/w skały. Ziemne roboty będzie można przeprowadzić na wiosnę po roztopach. Wskazane przez ob. Fiałkowskiego brzozy ścięte – jako kierunek bunkra nie wskazują właściwego kierunku, ponieważ ściętych drzewek różnej średnicy jest dużo w tym leśnym terenie górzystym i skalnym".

Decyzją przełożonych Teslara sprawę powyższą zakwalifikowano, jako rokującą nadzieję, do dalszej penetracji. Ta jednak nigdy nie nastąpiła. Z dniem 1 stycznia 1950 roku Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych postawiono bowiem w stan likwidacji. Zlikwidowane zostało w dniu 1 lipca 1950 roku, kiedy to w jego miejsce powołano Przedsiębiorstwo Upłynnienia Remanentów.

Z kolei w oświadczeniu dotyczącym mających istnieć na terenie Dusznik Zdroju bunkrów i podziemnych korytarzy, jakie w dniu 19 lutego 1949 roku złożył inspektorom PPT ówczesny burmistrz tego miasta Józef Haas, stwierdził on, iż wedle jego wiedzy na terenie gromady Graniczna – Podgórze znajdować się miały 2 bunkry, które do dzisiaj (tj. do roku 1949) nie zostały wykryte. Najciekawszy jest jednak dopisek datowany na dzień 10 maja 1950 roku, znajdujący się na tym dokumencie wykonany ręką jednego z inspektorów PPT: „Dotychczasowe badania bez wyników. Bunkry prawdopodobnie istnieją – sprowadzono w tej sprawie oficerów niemieckich z Moskwy. Bunkrów nie ujawniono – do dalszego badania".

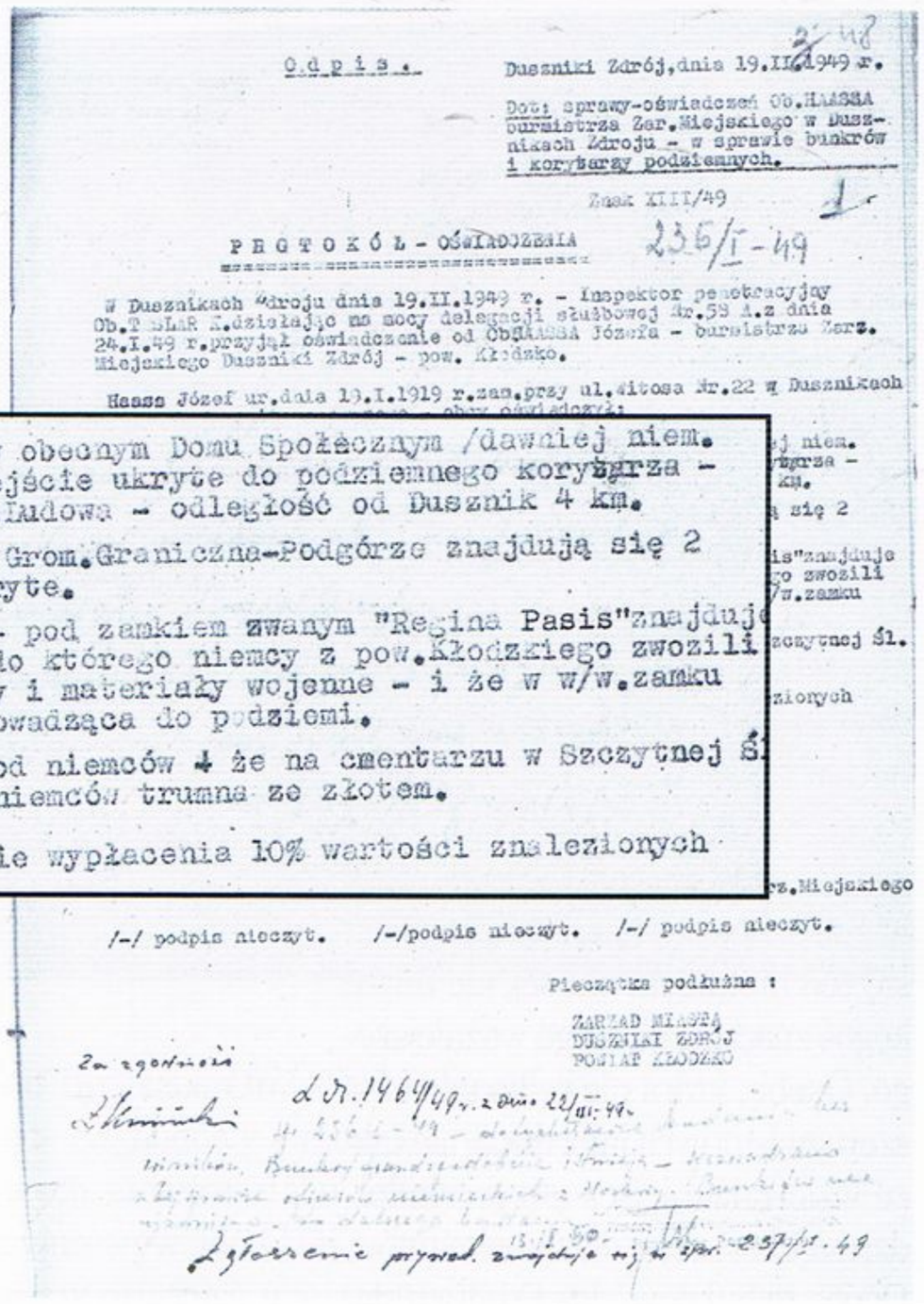

Odpis. Duszniki Zdrój, dnia 19.II.1949 r.

Dot: sprawy-oświadczeń Ob. HAASSA burmistrza Zar. Miejskiego w Duszn. Zdroju – w sprawie bunkrów i korytarzy podziemnych.

Znak XIII/49

PROTOKÓŁ - OŚWIADCZENIA 236/I-49

W Dusznikach Zdroju dnia 19.II.1949 r. – Inspektor penetracyjny Ob. T. z UBiR K. działając na mocy delegacji służbowej Nr. 59 z dnia 24.I.49 r. przyjął oświadczenie od Ob. HAASSA Józefa – burmistrza Zarz. Miejskiego Duszniki Zdrój – pow. Kłodzko.

Haass Józef ur. dnia 19.I.1919 r. zam. przy ul. Witosa Nr. 22 w Dusznikach

1/ że w Dusznikach-Zdroju w obecnym Domu Społecznym /dawniej niem. Hotel /- znajduje się wejście ukryte do podziemnego korytarza - który ma wyjście w Grom. Ludowa - odległość od Dusznik 4 km.

2/ oświadcza, że na terenie Grom. Graniczna-Podgórze znajdują się 2 bunkry - do dziś niewykryte.

3/ że w Grom. Szczytnej Śl. - pod zamkiem zwanym "Regina Pasis" znajduje się bunkier i magazyny do którego niemcy z pow. Kłodzkiego zwozili samochodami cenne rzeczy i materiały wojenne - i że w w/w. zamku jest ruchoma ściana - prowadząca do podziemi.

4/ - oświadcza, że słyszał od niemców - że na cmentarzu w Szczytnej Śl. została zakopana przez niemców trumna ze złotem.

Ob. Haass - zastrzega sobie wypłacenia 10% wartości znalezionych

/-/ podpis nieczyt. /-/ podpis nieczyt. /-/ podpis nieczyt.

Pieczątka podłużna: ZARZĄD MIEJSKI DUSZNIKI ZDRÓJ POWIAT KŁODZKO

Za zgodność

L.dz. 1464/49 z dnia 22/II-49

Zgłoszenie przyjął

Oświadczenie burmistrza Dusznik Zdroju złożone Inspektorowi PPT.

Wstęp groził śmiercią

Informacje o pracach związanych z budową skrytek odnaleźć można także w licznych doniesieniach agentury UB z okolic i samych Dusznik Zdroju. Przykładowo tajny współpracownik, noszący pseudonim „Litera" informował, że według pozyskanych przez niego informacji, przebywający w Dusznikach-Zdroju w roku 1945 żołnierze niemieccy „przez rok czasu w skałach na granicy czeskiej robili tajne roboty budowlane". Jak możemy przeczytać dalej:

„Wstęp na teren robót groził śmiercią. W tym czasie niezliczona liczba samochodów ciężarowych stale [jeździła] w kierunku granicy czeskiej. Samochody te były szczelnie zakryte plandekami, tak że mieszkańcy Dusznik nie wiedzieli co się w nich wozi".

Powyższe informacje tw. „Litera" uzyskał od niejakiego Oswalda Gepperta, mieszkańca Dusznik-Zdroju, przebywającego wówczas w więzieniu. Ten, przesłuchany następnie przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu, potwierdził swoje słowa. Identyczne oświadczenie Geppert złożył także inspektorowi penetracyjnemu PPT Kazimierzowi Teslarowi.

Inny konfident UB, noszący pseudonim „Robert", relacjonował w dniu 3 grudnia 1950 roku: „Odnośnie wojskowych bunkrów w lasach dusznickich dowiedziałem się dopiero po tym gdy pierwsze bunkry były odnalezione. Miały to być przeważnie bunkry żywnościowe. Przypominam sobie, że po dojściu do wiadomości publicznej o istnieniu tych bunkrów, tak Niemcy jak i Polacy przeszukiwali te lasy. Pewnemu polskiemu rolnikowi z Zacisza udało się wejść na minę i urwało mu rękę. (...) Później słyszałem, że dwaj gospodarze z Grunwald odnaleźli dwa bunkry na tak zwanych Zeefeldern. W jednym z bunkrów miał być motocykl, a w tym drugim opony i benzyna".

Notabene pierwsze informacje dotyczące schowków w Dusznikach

fot. IPN

www.odkrywca.pl

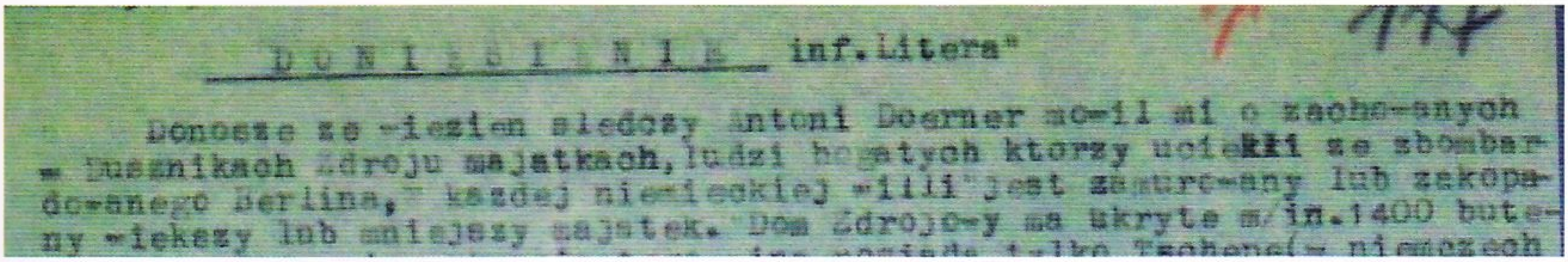
DONIESIENIE inf. Litera"

Donosze że więzień śledczy Antoni Doerner mówił mi o zachowanych w Dusznikach Zdroju majątkach, ludzi bogatych którzy uciekli ze zbombardowanego Berlina, w każdej niemieckiej willi jest zamurowany lub zakopany większy lub mniejszy majątek. Dom Zdrojowy ma ukryte m/in. 1400 butelek

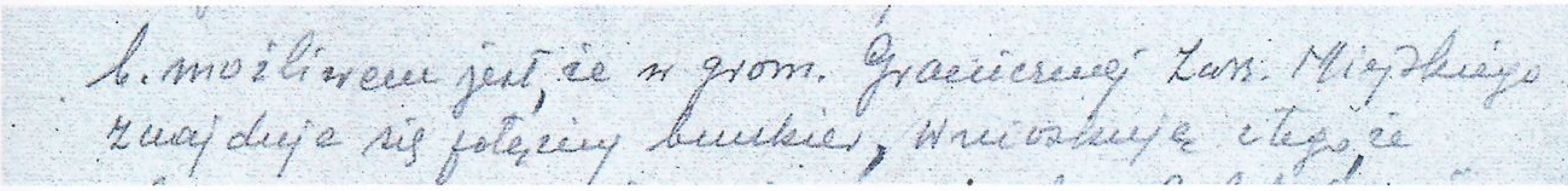
6. możliwym jest, że w grom. Granicznej Zarz. Miejskiego znajduje się połączony bunkier, wnioskuję z tego, że

Fragmenty doniesienia TW „Litera" oraz oświadczenia Oswalda Gepperta.

Zdroju pochodziły z przesłuchania niejakiego Jerzego Majcherka, jakie ten złożył w dniu 29 sierpnia 1945 roku. Zatrzymany przez Informację Wojskową pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec oraz uczestnictwa w szkole dywersyjno-szpiegowskiej, Majcherek przyznał się do tego drugiego zarzutu i zeznał:

„Z rozporządzenia kierowników szkoły, na wypadek kapitulacji wszystkie grupy musiały przeprowadzać walkę z Armią Czerwoną drogą terroru i dywersji, a także napadaniem na nieduże sztaby i drobne grupy Czerwonej Armii, do czego w okolicy wsi Grunwald w lesie były utworzone składy z zapasami amunicji, a także materiałami wybuchowymi. (...) W okolicy wsi Grunwald znajduje się kilka składów. W okolicy leśniczówki są składy mąki w wadze do 7-miu cetnarów, cukru do 200 kg., spirytusowych wyrobów do 200 worków, papierosy do dwunastu tysięcy sztuk, konserwy – różne do trzystu pudełek, chleba wypieczonego 150 kg., sucharów do 150 kg., owoce suszone do 100 kg., mięsne konserwy do 200 pudełek, czekolada do 20 kg., cukierniczych wyrobów 10 kg".

Jerzy Majcherek, późniejszy tajny współpracownik UB o ps. „John" i „Janicki", uzupełnił swoje zeznanie także o informację dotyczącą ukrytej w schowkach broni. Według jego słów miało się tam znajdować:

Z amunicji i broni: niemieckich automatów 12 sztuk, rosyjskich automatów – 4, pistoletów różnych gatunków – 12, kulomiot – 1, do niego 6000 kul, granaty ręczne – 100 sztuk, wybuchowych materiałów 50–60 kg, lontu do 200 metrów, zapalników – 50 sztuk, naboi do automatów – 15000 sztuk.

Niestety, skrytki, o jakich zeznawał Majcherek nie zostały odnalezione. Z zachowanej dokumentacji wynika, że wkrótce po złożeniu swoich pierwszych zeznań udał się on z nieustalonym kapitanem sowieckim do Dusznik Zdroju celem wskazania znanych mu schowków. Po dotarciu na miejsce okazało się jednak, że te zostały zniszczone. Jak opisał to po latach sam Majcherek: „zastaliśmy je zburzone i wypalone". Zeznał także, że w okolicy Dusznik Zdroju schowki konstruowane były przez kilka niezależnych od siebie grup, lecz miejsca ich budowy znane było tylko ich członkom. Wówczas nikt jeszcze nie wiedział, że w przeciągu najbliższych lat pojawi się możliwość zweryfikowania prawdziwości jego słów… CDN.

Maciej Bartków
Autor książek „Werwolf na Dolnym Śląsku" i „Strażnicy IV Rzeszy". Koordynator projektu „Tajemniczy Bytom".

Jerzy Majcherek.

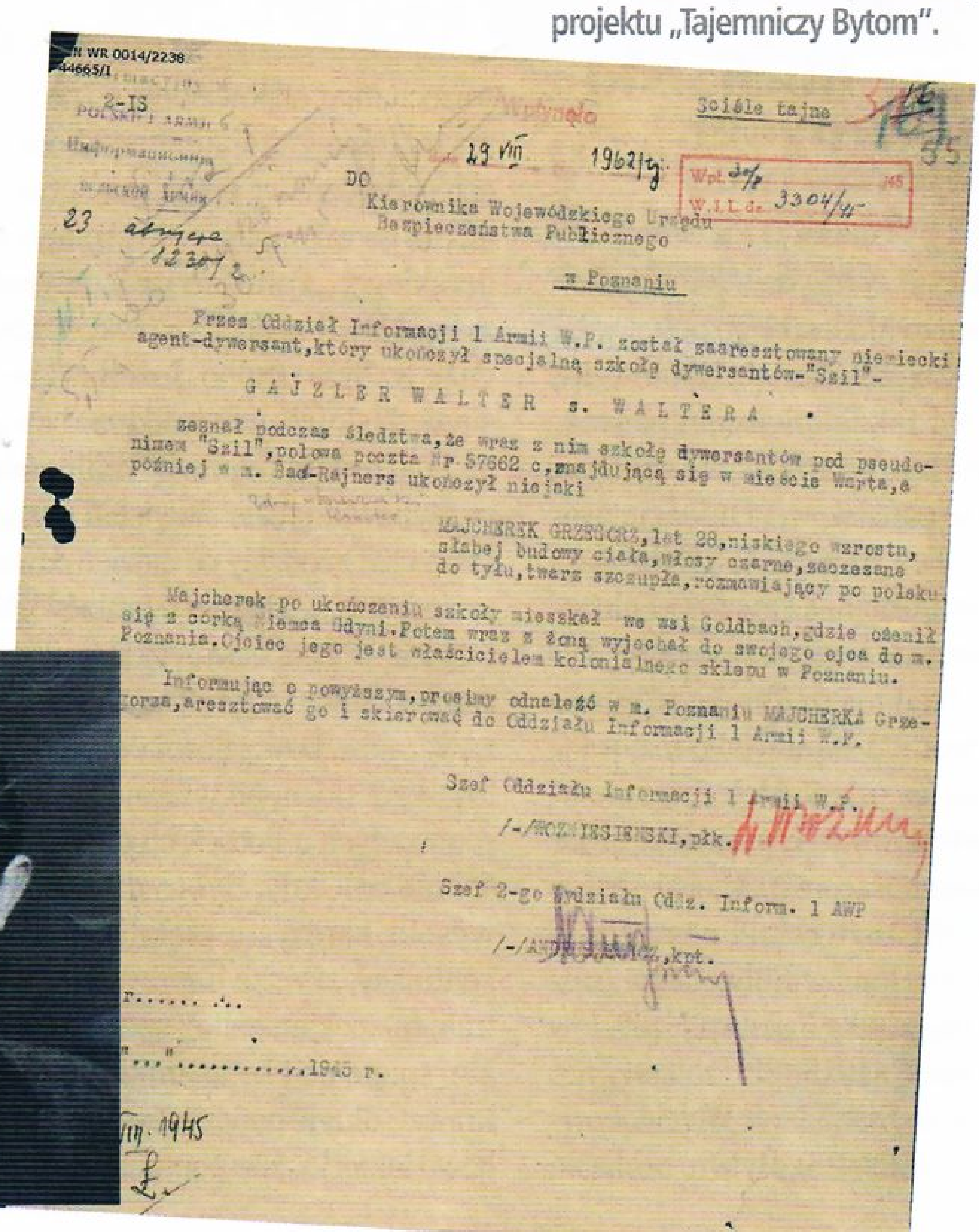
N WR 0014/2238
44665/I

2-IS

Ściśle tajne

29 VIII 1945 r.

DO
Kierownika Wojewódzkiego Urzędu
Bezpieczeństwa Publicznego
w Poznaniu

Przez Oddział Informacji 1 Armii W.P. został zaaresztowany niemiecki agent-dywersant, który ukończył specjalną szkołę dywersantów-"Szil"-

GAJZLER WALTER s. WALTERA

zeznał podczas śledztwa, że wraz z nim szkołę dywersantów pod pseudonimem "Szil", polowa poczta Nr 57662 c, znajdującą się w mieście Warta, a później w m. Bad-Rajners ukończył niejaki

MAJCHEREK GRZEGORZ, lat 28, niskiego wzrostu, słabej budowy ciała, włosy czarne, zaczesane do tyłu, twarz szczupła, rozmawiający po polsku.

Majcherek po ukończeniu szkoły mieszkał we wsi Goldbach, gdzie ożenił się z córką Niemca Gdyni. Potem wraz z żoną wyjechał do swojego ojca do m. Poznania. Ojciec jego jest właścicielem kolonialnego sklepu w Poznaniu.

Informując o powyższym, prosimy odnaleźć w m. Poznaniu MAJCHERKA Grzegorza, aresztować go i skierować do Oddziału Informacji 1 Armii W.P.

Szef Oddziału Informacji 1 Armii W.P.
/-/KOZNIESIENSKI, płk.

Szef 2-go Wydziału Odd. Inform. 1 AWP
/-/ANDRZEJEWSKI, kpt.

OSTATNI STRAŻNICY SKARBÓW

WYWIEZIONYCH WE WRZEŚNIU 1939 R. Z ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

Ratowanie we wrześniu 1939 r. polskich skarbów narodowych przed niszczeniem i rabunkiem – zarówno ze strony Niemców, jak i Sowietów – to szeroki, skomplikowany i nie do końca poznany temat. Przyjrzyjmy się bliżej jednemu z epizodów tych dziejów i jego bohaterom.

JOLANTA ADAMSKA
JERZY PLATAJS

Kacper Michalski – kamerdyner i majordomus prezydentów II RP

Rolę oficjalnej rezydencji Prezydenta Ignacego Mościckiego pełnił w latach 1926–39 Zamek Królewski, który był także miejscem najważniejszych uroczystości i spotkań o randze państwowej i międzynarodowej. Mieściła się tu też Kancelaria Cywilna i Gabinet Wojskowy głowy państwa oraz jego apartamenty prywatne. Stąd też na Zamku wprowadzone zostało stanowisko majordomusa (z łac. marszałek dworu, zarządca domów wielkopańskich), które powierzono Kacprowi Michalskiemu (ur. 28 XII 1876 roku), poprzednio kamerdynerowi w Belwederze, siedzibie Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego (l. 1919–22), a następnie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego (l. 1922–26). Była to osoba ze wszech miar odpowiednia do pełnienia tej funkcji. Adiutant przyboczny obu prezydentów, por. Henryk Comte, tak go wspomina z okresu belwederskiego: „Pan Kacper był dyplomatą. Mówił mało, na słówko wyciągnąć go było trudno. Jeżeli wdawał się w dyskurs, to zawsze z rozwagą i całkowitą odpowiedzialnością za wypowiedziane słowa lub uwagi. Pochodził z rodziny od dawien dawna zasiedziałej w służbie u hrabiów Potockich. W Łańcucie był klucznikiem zamku. Stąd też świetna znajomość zwyczajów, obyczajów i ceremoniałów dworskich, bo wizyty głów koronowanych u Potockich do rzadkości nie należały. Był to mężczyzna wysoki, barczysty, pięknie się prezentujący, zawsze ubrany w czarny frak, takąż kamizelkę, spodnie krótkie, spięte pod kolanami, elegancki krawat, długie pończochy i obowiązkowo lakierki. Nie popełnię zbytniej przesady, jeżeli powiem, że pan Kacper pełnił niejako funkcję nieoficjalnego szefa protokołu. Gdy chodziło o rozmieszczenie gości przy stole biesiadnym, zazwyczaj konsultowałem się z panem Kacprem. To samo zresztą robili i inni adiutanci, i dobrze na tym wychodziliśmy". I dalej: „Trzeba było widzieć pana Kacpra, gdy dyrygował służbą w czasie przyjęć. Biada lokajowi, który niezgrabnie lub niewłaściwie podał talerz lub półmisek. Pan Kacper nie zwrócił głośno uwagi, w ogóle nie odezwał się. Miał do zastosowania w takich przypadkach swoistą sankcję: nadepnął lokajowi na nogę. To wystarczyło, bo wzrost pana Kacpra, przy jego potężnej tuszy wynosił ni mniej ni więcej tylko 1 metr 90 cm! Taką milczącą uwagę można było zapamiętać na całe życie, zwłaszcza jeżeli lokaj miał odciski". Bronisław Młynarski zapamiętał z kolei

fot. NAC (Narodowe Archiwum Cyfrowe)

www.odkrywca.pl

Kacpra Michalskiego z okresu jego służby u prezydenta Mościckiego: „Znali go wszyscy, co przez długie lata odwiedzali Zamek Królewski, znali go warszawiacy, znali go dyplomaci krajów obcych, co gościli na przyjęciach u Prezydenta. Przypuszczam, że niejeden członek korpusu dyplomatycznego, czytając te słowa, przypomni sobie bez trudu imponującą postać Michalskiego w bogato haftowanym fraku francuskim, w atłasowych spodniach, w pończochach długich i pantoflach lakierowanych o zdobnych klamrach, i gdy to długą laską marszałka dworu, zakończoną złotym orłem polskim, stukał w inkrustowaną posadzkę Sali audiencyjnej, anonsując tubalnym głosem Prezydentowi przybycie gościa, nazwiskiem i pełnym tytułem... Piastował swój urząd przez dwadzieścia lat, przez cały czas trwania wskrzeszonej niepodległości. A wydawać by się mogło, że żył i służył w tych starych murach od wieków, od czasów królów, że pozostał ich jedyną żywą spuścizną. Istotnie bowiem, był jedynym człowieczym symbolem, co łączył teraźniejszość ze splendorem królewskim, zagasłym na Zamku Królewskim przed stu pięćdziesięciu laty".

Gmach Zamku Królewskiego miał charakter muzealny; znajdowały się w nim liczne dzieła sztuki oraz przedmioty szczególnie ważne dla historii kraju. Był też siedzibą Dyrekcji Państwowych Zbiorów Sztuki, a same zbiory udostępniano zwiedzającym.

Wobec szybkiego postępu armii niemieckich, w pierwszych dniach września 1939 roku na Zamku rozpoczęto przygotowania do ewakuacji na wschód.

Audiencja pożegnalna nuncjusza apostolskiego ks. kard. Francesco Marmaggiego u prezydenta RP Ignacego Mościckiego, Kacper Michalski stoi drugi z lewej, 30 V 1936 rok.

U księcia Janusza Radziwiłła – XIII ordynata na Ołyce

5 września kolumna prezydencka z jego rodziną, urzędnikami oraz spakowaną częścią cennych dzieł i przedmiotów, na które składały się (wg T.A. Pruszaka): obrazy Jana Matejki „Batory pod Pskowem" i „Rejtan na sejmie warszawskim", kilka arrasów, słynny dywan wilanowski (jedwabny kobierzec perski z XVI w.), regalia Stanisława Augusta oraz nieliczne najcenniejsze obiekty pochodzące z Muzeum w Kórniku, Biblioteki Narodowej i Biblioteki Kapituły w Pelplinie, a także 17 pudeł z zastawą stołową – wyruszyła ze stolicy. Jej licząca ponad 400 km trasa prowadziła przez Lublin do Ołyki, niewielkiej mieściny w pow. łuckim, >>>

www.odkrywca.pl

>>> woj. wołyńskiego, znanej przede wszystkim jako stare gniazdo rodu Radziwiłłów (obecnie Ukraina). „W czasie tej dramatycznej wędrówki konwój prezydencki – jak relacjonował w 1940 roku Michalski – był dzień i noc ścigany i bombardowany przez samoloty niemieckie".

7 września prezydent, wraz ze swoim „dworem" i bagażami, dotarł do Ołyki, gdzie pozostał tydzień, do 14 września, goszcząc w zamku księcia Janusza Radziwiłła (należały do niego również majątki ziemskie Szpanów i Nieborów oraz pałac w Warszawie, obecnie siedziba Muzeum Niepodległości). Janusz Radziwiłł (1880–1967), ochotnik w wojnie 1920 roku, pełnił ważne funkcje państwowe w przedwojennej Polsce; był m.in. posłem na sejm i senatorem, a ostatnio – przewodniczącym senackiej Komisji Spraw Zagranicznych.

8 września zjawił się w Ołyce premier Sławoj-Składkowski, który w tym czasie, w drodze do Rumunii, zatrzymał się w Łucku, i który następnego dnia przybył ponownie w towarzystwie wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Wieczorem 12 września do Prezydenta przyjechali: Premier, Naczelny Wódz Rydz-Śmigły i minister spraw zagranicznych Józef Beck. W rozmowach tych niewątpliwie uczestniczył Janusz Radziwiłł.

Zamek Radziwiłłów w Ołyce (od frontu), od 1945 roku szpital psychiatryczny, 2003 rok.

Prezydent Ignacy Mościcki (w środku) z wizytą u księcia Janusza Radziwiłła w Ołyce, 1929 rok.

fot. NAC, MKiDN (Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego)

Wrześniowe szlaki ewakuacyjne

Musimy tu sobie uświadomić, że – według polskich planów wojennych – w południowo-wschodniej Polsce, na tzw. przedmościu rumuńskim, przewidywana była koncentracja wojsk w oczekiwaniu na zbrojną interwencję Francji i Anglii. Przez wschodnie województwa II RP – w kierunku granicy z Rumunią – wyznaczone zostały również trasy ewakuacyjne najważniejszych polskich urzędów i zbiorów, w naiwnym przekonaniu o bezpieczeństwie tych szlaków. Owe błędne założenia polskiego rządu spowodowały wiele tragicznych dla Polski i Polaków następstw. Pomijając już kwestie zasadnicze, to np., jak wynika z rozkazu Berii z 5 października 1939 roku, w ręce Sowietów wpadły akta polskiego wywiadu, w związku z czym powołane zostały 3 grupy NKWD (operacyjna, ewidencyjna i śledcza), w celu ich przetłumaczenia i „opracowania". Mało tego, trasą Warszawa-Lublin-Łuck-Śniatyń (ponad 700 km), przemieszczał się w dniach 5–13 września transport ponad 30 autobusów i samochodów osobowych wiozących około 80 ton złota ze skarbców Banku Polskiego i jego oddziałów. Po dramatycznej podróży polskie złoto wyekspediowane zostało drogą morską z rumuńskiego portu w Konstancy (3,8 ton pozostawiono w Dubnie na potrzeby polskiego rządu); jego skomplikowane losy nie do końca jednak zostały wyjaśnione. Także przykładowo, 18 września, jak wynika z meldunku NKWD, między Nowogródkiem a Stołpcami ujęto naczelnego dyrektora Lasów Państwowych, wiceministra rolnictwa Adama Loreta z 18 współpracownikami, a także przewożonymi aktami.

14 września prezydent Mościcki wraz z osobami towarzyszącymi opuścił Ołykę, by w nocy z 17/18 września razem z członkami rządu przekroczyć polsko-rumuńską granicę na moście na Czeremoszu w Kutach. Do Polski nigdy już nie powrócił. >>>

www.odkrywca.pl

Obrazy Jana Matejki: „Rejtan na sejmie warszawskim" (282 x 487 cm) i „Batory pod Pskowem" (322 x 545 cm).

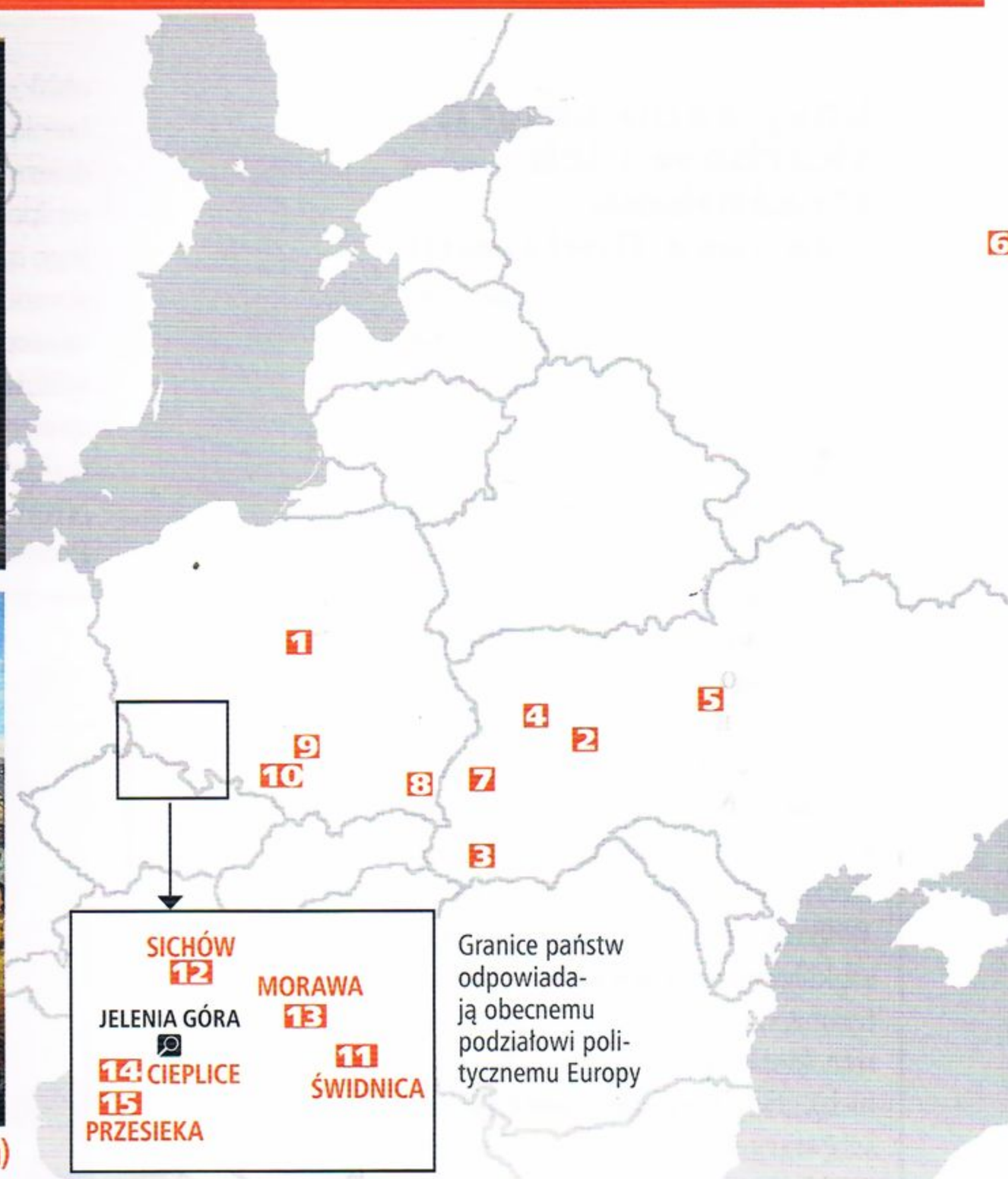

WĘDRÓWKA SKARBÓW Z ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

1 WARSZAWA – Zamek Królewski – siedziba Prezydenta RP, także miejsce przechowywania cennych zbiorów narodowych. W pierwszych dniach września 1939 r. rozpoczęto przygotowania do ewakuacji Ignacego Mościckiego, jego Kancelarii Cywilnej i Gabinetu Wojskowego, oraz części zamkowych skarbów. 5 września kolumna prezydencka ruszyła na wschód.

2 OŁYKA – zamek księcia Janusza Radziwiłła. 7 września przybył tu prezydent Mościcki wraz z rodziną i towarzyszącymi mu osobami, a także wywiezionymi z Warszawy cennymi dziełami i przedmiotami. Były to: obrazy Jana Matejki „Batory pod Pskowem" i „Rejtan na sejmie warszawskim", kilka arrasów, słynny dywan wilanowski (jedwabny kobierzec perski z XVI w.), regalia Stanisława Augusta oraz nieliczne najcenniejsze obiekty pochodzące z Muzeum w Kórniku, Biblioteki Narodowej i Biblioteki Kapituły w Pelplinie, a także 17 pudeł z zastawą stołową. 14 września Mościcki wyjechał z Ołyki. „Gdy Prezydent opuszczał kraj /.../, stary Michalski pozostał w Ołyce. Miał tam strzec, jak wierny pies, drobnej cząstki historycznych obrazów, srebra i porcelany, wywiezionych w ostatniej chwili z Zamku" – skomentował Młynarski.

3 KUTY – 17 września 1939 r. Prezydent RP opuszcza Polskę udając się do Rumunii.

4 ŁUCK – po aresztowaniu ks. Janusza Radziwiłła i Kacpra Michalskiego (prawdopodobnie 19 września) ocalałe po rabunku przedmioty, w tym dwa obrazy Matejki, wywiezione zostały do muzeum w Łucku.

5 KIJÓW – pismem z 8 XII 1939 r. zastępca szefa NKWD Ukrainy informuje Berię o wysyłaniu do Moskwy – zgodnie z jego życzeniem – uzyskanych podczas aresztowania księcia Radziwiłła przywileju Karola V dla Mikołaja Radziwiłła oraz „historycznych dokumentów i drogocenności byłej Polski": szkatuły z ornamentami z brązu i orłami, z pamiątkową tabliczką wewnątrz informującą, iż jest przeznaczona do przechowywania polskiej konstytucji z 1815 r., oryginalnego tekstu konstytucji z 1815 r. – w ozdobnej oprawie – z podpisem Aleksandra I i jego pieczęcią, a także trzech innych dokumentów z 1821 i 1822 r., związanych z ową konstytucją; ponadto dwóch srebrnych świeczników z epoki Napoleona z Zamku Królewskiego i srebrnego kubka.

6 MOSKWA – w połowie października 1939 roku przewieziono z Kijowa na Łubiankę księcia Radziwiłła. W grudniu tego roku przekazane tu zostały przejęte w Ołyce (wymienione wyżej) dokumenty i cenne przedmioty.

7 8 9 10 11 12 13 14 15
LWÓW, PRZEMYŚL, WIŚNICZ, SOSNOWIEC, ŚWIDNICA, SICHÓW, MORAWA K. STRZEGOMIA I CIEPLICE, PRZESIEKA K. JELENIEJ GÓRY.
Wędrówka obrazów Matejki, od 1943 aż do lipca 1945 roku, kiedy odzyskują je polscy muzelnicy i ostatecznie trafiają z powrotem na Zamek Królewski w Warszawie.

www.odkrywca.pl

>>>

Losy zamkowych skarbów i ich strażników – Janusz Radziwiłł

W Ołyce pozostał książę Radziwiłł, polecono też zostać Kacprowi Michalskiemu. I to pod ich pieczą znalazły się teraz skarby zabrane z Zamku Królewskiego. Dlaczego taką decyzję podjęto i czemu cenne dla Polski przedmioty pozostawiono, trudno zgadnąć. Jak pisaliśmy, uderzenia Sowietów nikt się nie spodziewał, a być może liczono na to, że Niemcy nie „ruszą" księcia Radziwiłła, blisko spokrewnionego z ich panującymi ongiś cesarskimi rodzinami, ponadto osobistego znajomego Hermanna Goeringa (we wrześniu 1938 roku Marszałek Rzeszy zaprosił księcia na polowanie na swoich terenach łowieckich w Puszczy Rominckiej leżącej w Prusach Wschodnich). „Gdy Prezydent opuszczał kraj /.../, stary Michalski pozostał w Ołyce. Miał tam strzec, jak wierny pies, drobnej cząstki historycznych obrazów, srebra i porcelany, wywiezionych w ostatniej chwili z Zamku" – skomentował Młynarski.

17 września w granice Polski wdarły się oddziały Armii Czerwonej. Mimo sporej odległości od granicy (około 100 km) szybko dotarły do Ołyki. Równocześnie z wojskami posuwały się, wykonujące specjalne rozkazy Berii, grupy operacyjno-czekistowskie NKWD. Radziwiłłowski zamek został zajęty i doszczętnie splądrowany. Książę Janusz wraz z synem Edmundem (1906–1971), ppor. kaw. rez., i rodziną, został aresztowany (dokumenty sowieckie podają dzień 19-go września; sam nakaz aresztowania podpisany został dopiero 15 października). Aresztowany też został Kacper Michalski.

Ocalałe po rabunku przedmioty, w tym wspomniane dwa obrazy Matejki, wywiezione zostały do muzeum w Łucku.

Książę Edmund znalazł się w obozie jeńców wojennych tzw. jużskim (na terenie miasteczka Talica, około 30 km od Juży, w obwodzie smoleńskim), skąd w połowie października przeniesiony został do obozu specjalnego NKWD w Kozielsku. Jego ojciec, książę Janusz Radziwiłł, stanowił dla Sowietów szczególnie cenną „zdobycz". Przez więzienia w Równem i Płoskirowie przewieziony został do Kijowa, gdzie przesłuchiwał go osławiony Iwan Sierow, szef NKWD Republiki Ukraińskiej, kat Polaków; meldunki do Berii w sprawie księcia wysyłał jego zastępca, Mikołaj Gorliński. Wkrótce jednak przyszedł rozkaz Berii, aby księcia przekazać do Moskwy i 16 października Gorliński zameldował o wysłaniu tam Radziwiłła razem z aktami jego sprawy. W Moskwie księcia Janusza osadzono na Łubiance, gdzie dwukrotnie prowadził z nim rozmowy sam Beria.

Co istotne, w dwóch pismach Gorliński melduje też – w pierwszym, z 13 października – o „złotych i brylantowych" przedmiotach, znalezionych podczas aresztowania ks. Radziwiłła, tj.: „zegarku[ach], bransoletach, papierośnicach itd." oraz o dokumencie z 1547 roku z oryginalnym podpisem cesarza Karola V (chodzi o wręczony ks. Mikołajowi Czarnemu Radziwiłłowi przez cesarza dyplom, nadający jemu, jego bratu Janowi i Mikołajowi Rudemu, dziedziczne tytuły książąt cesarstwa). W drugim zaś, z 8 grudnia, Gorliński zawiadamia o przekazaniu – zgodnie z rozkazem Berii – do Moskwy, przejętych w Ołyce „historycznych dokumentów i drogocenności byłej Polski" oraz wspomnianego przywileju Karola V. W załączniku wymienia: szkatułę z ornamentami z brązu i orłami, z tabliczką pamiątkową wewnątrz informującą, iż jest przeznaczona do przechowywania polskiej konstytucji z 1815 roku, dalej zaś – w ozdobnej oprawie – oryginalny tekst tejże konstytucji 1815 roku z podpisem Aleksandra I i jego pieczęcią, a także 3 inne dokumenty z 1821 i 1822 roku związane z ową konstytucją, a następnie: dwa srebrne świeczniki z epoki Napoleona z Zamku Królewskiego w Warszawie oraz srebrny kubek.

W sprawie uwięzionych poszły wysokie interwencje; matka – również uwięzionego – księcia Leona Radziwiłła z Nieświeża, ks. Maria Róża, była przyjaciółką królowej włoskiej Heleny. Najprawdopodobniej na polecenie Goeringa zabiegał o ich zwolnienie ambasador Rzeszy w Moskwie Werner von Schulenburg. Tak więc

Widok na bramę byłego obozu NKWD w Starobielsku, 1995 rok.

fot. MKiDN

www.odkrywca.pl

w grudniu 1939 roku Radziwiłłowie nieświescy i ołyccy zostali wypuszczeni z sowieckich obozów i więzień.

A co z Kacprem Michalskim?

O Kacpra Michalskiego nikt się nie upomniał; jego losy po wejściu Sowietów nie były dotychczas znane. Pojedyncze wzmianki podają jedynie, że zaginął na wschodzie. Jak się jednak udało ustalić, znalazł się on w obozie specjalnym NKWD w Starobielsku i zamordowany został wiosną 1940 roku w Charkowie (zbrodnia katyńska). Por. Bronisław Młynarski, jeden z nielicznych ocalałych jeńców tego obozu (nb. syn wybitnego skrzypka, dyrygenta i kompozytora Emila, a także szwagier światowej sławy pianisty Artura Rubinsteina), zaobserwował przybycie Michalskiego do obozu w styczniu 1940 roku. Pisze on: „Gdym pewnego wieczoru tęsknie błądził wzrokiem po zachodnim widnokręgu, usłyszałem nagle krzyki, po czym widziałem, jak dwaj bojcy siłą wepchnęli z wąskiego przejścia tzw. prochodnoj budki, na teren obozu, starego człowieka rosłego wzrostem, w cywilnym ubraniu, z tobołkiem na zgarbionych plecach. Zatoczył się na lodzie i upadł. Zanim zdążyłem zbiec ze schodów, starzec wstał i szedł ślepo przed siebie, nie wiedząc w którą stronę skierować swe chwiejne kroki. Zbliżyłem się do niego, pytam, kim jest, skąd przybył? »Michalski jestem« – odrzekł szeptem. Zaprowadziłem go do naszej chaty; daliśmy mu chleba i gorącej herbaty. Siedział skulony na deskach dolnej pryczy, zawinięty w resztkach ongiś dobrego futra, z wełnianą czarną pończochą naciągniętą na głowę. Zgodnie ze zwyczajem, jaki istniał w stosunku do nowoprzybyłych, nie zadawaliśmy mu żadnych obcesowych pytań. Mówił zresztą z widocznym trudem przez bezzębne usta. Mimo zmienionej twarzy, zarośniętej szpakowatą brodą, jak przez sen zacząłem rozpoznawać jego nobliwe rysy. Wreszcie, odważyłem się zapytać – czy to możliwe, że jest to Michalski, Majordomus na Zamku Warszawskim u Prezydenta RP. Skinął głową potakująco. Więc poznałem go, któż go zresztą nie znał!".

Już po godzinie Michalski został wezwany do komisarza obozu Michaiła Kirszyna i dopiero po kilku dniach mógł Młynarskiemu opowiedzieć swoje przeżycia. „Przeszedł przez kilka więzień. Podczas serii brutalnych »doprosów« wybito mu wszystkie przednie zęby i wyłamano kilka żeber. »Dworski« tytuł jego oraz bliskie z Prezydentem obcowanie posłużyło, aby w wykoślawionej imaginacji sowieckiej policji uznać go za grubą rybę, z której należy wydusić wiadomości przedniej wagi! W wojsku Michalski nigdy nie służył. I znowuż dzięki tytułowi »Majordomus« uznano go za majora wojskowego bez dalszej dyskusji. Okoliczność ta była chyba powodem, że po doprowadzeniu go w więzieniach do ruiny fizycznej, odstawiono go do oficerskiego obozu w Starobielsku. Po długich nocnych badaniach przez [Michaiła] Lebiediewa, szefa NKWD [szef Oddziału Specjalnego komendantury obozu], oraz przez samego komisarza Kirszyna, ten ostatni rozkazał umieścić go, jako majora, w bloku nr 13. »A więc stałem się majorem…« – stary Michalski zakończył swe opowiadanie z odcieniem uśmiechu na wynędzniałej twarzy. I odtąd »nowomianowany« major został tak samo tytułowany przez brać jeniecką, mimo iż na swych starczych barkach nosił szmatławe futro, a na swej białej głowie starą dziurawą pończochę!".

Kacper Michalski nie figuruje jednak w księdze z biogramami jeńców Starobielska zamordowanych w Charkowie („Charków. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego", Warszawa 2003). W przypadku bowiem Starobielska mamy dużo mniej „komfortową" sytuację, niż jeżeli chodzi o obozy „katyńskie" w Kozielsku i Ostaszkowie, co do których dysponujemy listami z nazwiskami jeńców, wywożonych na miejsca egzekucji w Lesie Katyńskim i Kalininie (Twer), przekazanymi Polsce w 1990 roku przez Gorbaczowa. Tu otrzymaliśmy tylko – sporządzony w komendanturze obozu po wymordowaniu jeńców – jeden spis z nazwiskami osób wywiezionych z obozu i numerami ich akt. Spis ten, jak wynika z analizy dokonanej przez autorów księgi cmentarnej Charkowa, zawiera 3856 nazwisk (ze Starobielska >>>

Charków, dziedziniec byłego więzienia NKWD, w którym zamordowano jeńców Starobielska, 1996 rok.

fot. Zbigniew Siekański

www.odkrywca.pl

>>> wysłano w kwietniu-maju 1940 roku do Charkowa na śmierć 3809 jeńców) i nie jest pełny (figurują na nim także nazwiska jeńców zmarłych w obozie, ocalałych oraz wywiezionych wcześniej do więzień NKWD). Autorzy księgi, za „niepodważalną wskazówkę" na to, iż dany oficer był w Starobielsku do czasu wywożenia jeńców na śmierć, uznali więc także jego korespondencję z tego okresu (dostarczoną przez rodzinę). Na wspomnianym NKWD-owskim spisie nazwisko Kacpra Michalskiego nie zostało wymienione; jego akta mogły być do Moskwy wysłane wcześniej lub też skierowane do innego wydziału centrali NKWD. Jednak, jak stwierdziliśmy podczas analizy dokumentów sowieckich, taka „niepodważalna wskazówka" istnieje także co do jego pobytu w Starobielsku w okresie wywózki jeńców na egzekucje, tj. w dniach 5 IV-12 V 1940 roku. A jest nią pismo NKWD, datowane na 8 kwietnia 1940 roku, podające stan liczbowy obozu, tzn. ilość jeńców z rozbiciem na poszczególne stopnie wojskowe. Jako ostatnia pozycja tego wykazu figuruje „lokaj Mościckiego".

Tak więc, prezydencki kamerdyner i majordomus, ostatni strażnik skarbów wywiezionych we wrześniu 1939 roku z Zamku Królewskiego, więzień NKWD i jeniec Starobielska, został zamordowany w kwietniu-maju 1940 roku w Charkowie.

Nie ma on jednak, tak jak inni jeńcy Starobielska, imiennej tabliczki na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie. Nie figuruje również w spisach ofiar zbrodni katyńskiej.

Miejmy nadzieję, że dojdzie do tego teraz, gdy udało się ustalić, w jakich okolicznościach i kiedy zginął, a także, gdzie spoczywają jego szczątki.

Prof. Stanisław Lorentz nadzoruje w Przesiece załadunek odnalezionych dzieł sztuki.

fot. arch. Odkrywca

Wędrówka obrazów Jana Matejki

Jeszcze parę słów o obrazach Jana Matejki pozostawionych na zamku w Ołyce. Jak podaliśmy wyżej, przewiezione zostały do Łucka i złożone w tamtejszym muzeum. W 1941 roku Łuck zajęli Niemcy, którzy w grudniu 1943 roku obrazy Matejki przewieźli do Lwowa, gdzie polscy specjaliści stwierdzili, iż przez cały ten okres, a więc 4 lata, leżały złożone w kostkę[!] i przesypane naftaliną [!]. Wkrótce jednak, w kwietniu 1944 roku (jedynie prowizorycznie, z konieczności, zabezpieczone), rozpoczęły z kolei wędrówkę na zachód, już w „towarzystwie" trzeciego obrazu Matejki, „Unii Lubelskiej", zdjętego przez Niemców ze ścian lwowskiego ratusza. Przez Przemyśl, Wiśnicz, Sosnowiec, Świdnicę, Sichów, Morawę k. Strzegomia i Cieplice, obrazy trafiły w końcu do Przesieki k. Jeleniej Góry, gdzie w lipcu 1945 roku dotarli do nich polscy muzealnicy. Po kilku latach tułaczki, Batory i Rejtan zdobią na powrót ściany odbudowanego Zamku Królewskiego w Warszawie. <

Jolanta Adamska
Historyk. Współautorka (z Andrzejem Przewoźnikiem) kilku książek o tematyce katyńskiej. Autorka artykułów z historii II wojny światowej.

Jerzy Platajs
Historyk. Specjalista Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Autor książki i artykułów dot. zbrodni katyńskiej.

LITERATURA:

H. COMTE, **Zwierzenia adiutanta w Belwederze i na Zamku,** Warszawa 1976
T.A. PRUSZAK, **Zabezpieczanie i ratowanie dzieł sztuki w Warszawie wobec zagrożeń w okresie II wojny światowej,** „Almanach Muzealny" nr 8/2014
B. MŁYNARSKI, **W niewoli sowieckiej,** Londyn 1974
K. ZALEWSKA, J.R. KUDELSKI, **Wojenne losy Batorego pod Pskowem, Rejtana i Unii Lubelskiej Jana Matejki,** MKiDN 2014

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

SKARB SKORZENEGO POD SAMOTNIĄ

TOMASZ RZECZYCKI

Czy człowiek, który w 1943 roku brawurowo uwolnił z internowania Mussoliniego, trzynaście lat później poszukiwał wrocławskiego złota koło schroniska PTTK Samotnia w Karkonoszach?

Niniejsza opowieść sprawia wrażenie niewiarygodnej, chociaż pewne jej szczegóły noszą znamiona prawdopodobieństwa.

Niebywała sensacja ujrzała światło dzienne ponad trzydzieści lat po przeprowadzeniu Operacji Dąb, w wyniku której przywódca państwa włoskiego Benito Mussolini został wyswobodzony z aresztu w hotelu narciarskim Campo Imperatore. Elektryzująca informacja żyła swoim życiem przez dwa tygodnie lutego 1974 r., po czym, najprawdopodobniej, zgasła – tak samo jak dziesiątki innych tego typu wydumanych przekazów o skarbach w zaminowanej sztolni. Trudno wszak uwierzyć, że obersturmbannführer Otto Skorzeny, były oficer Waffen-SS, przyjechał do Polski Ludowej ledwie jedenaście lat po wojnie i to w pojedynkę po to, by na terenie Karkonoszy prowadzić prymitywne rozpoznanie terenu.

List zza krat

Przyjrzyjmy się zgromadzonym dokumentom, odnalezionym podczas kwerendy w Instytucie Pamięci Narodowej. Sprawa zaczęła się 28 stycznia 1974 roku, gdy więzień Józef Cichocki, osadzony w Zakładzie Karnym w Wołowie, napisał list do Służby Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu:

List wpłynął do adresata 1 lutego 1974 roku, a wrocławska bezpieka sprawie nadała bieg. Na początku funkcjonariusze chcieli sprawdzić, kim jest nadawca. W tym celu mjr J. Szymański 7 lutego 1974 roku wysłał list do zastępcy komendanta powiatowego Służby Bezpieczeństwa w Wołowie:

„W załączeniu przesyłam list Józefa Piechockiego przebywającego w Zakładzie Karnym w Wołowie. Proszę o zebranie szczegółowych informacji o w/wymienionym więźniu, jego aktualnym zachowaniu się w zakładzie karnym, możliwościach agenturalnego zabezpieczenia go celem wysondowania reakcji i ewentualnych zamiarów np. ucieczki podczas akcji lokalnej. Następnie, po zorganizowaniu zabezpieczenia operacyjnego, proszę w oparciu o załączony list, przeprowadzić szczegółową rozmowę z więźniem na poruszony w liście temat:". [...]

Nie jest tajemnicą, że nawet wśród funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa nie brakowało takich, którzy byli pasjonatami poszukiwania domniemanych skarbów, kosztowności czy dokumentów, rzekomo ukrytych przez Niemców na terenie późniejszych Ziem Odzyskanych. Niejednokrotnie też służby specjalne i wojsko były skore do wszczęcia różnego rodzaju poszukiwań i penetracji, w tym też obiektów podziemnych.

Schronisko Samotnia znajduje się nad Małym Stawem w Karkonoszach. W jego okolicy miał się rzekomo znaleźć Otto Skorzeny w 1956 lub 1957 roku.

Złoto Wrocławia?

Jedną z najgłośniejszych tego rodzaju spraw skarbowych była akcja poszukiwania informacji na temat domniemanego ładunku złota z banków wrocławskich, jaki miał być w pierwszym półroczu 1945 r. wywieziony z miasta przez Niemców i ukryty gdzieś na Śląsku. W czasach PRL zrealizowano na ten temat audycje radiowe i telewizyjne, także niektóre gazety opublikowały artykuły wskazujące kolejne tropy. Jednym z rejonów, gdzie rzekomo miały dojechać bankowe samochody ciężarowe, były północne Karkonosze, w tym rejon należącego później do Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego schroniska Samotnia nad Wielkim Stawem.

Trudny świadek

SB weryfikację doniesienia wołowskiego więźnia rozpoczęła 11 lutego 1974 r. od wizyty w zakładzie karnym. Udał się tam niejaki plutonowy E. Machowski. Oto, co napisał przełożonym:

NOTATKA SŁUŻBOWA

„W dniu 11.02.1974 r. będąc w Zakładzie Karnym w Wołowie przeprowadziłem rozmowę z ob. Niedzielskim Marianem, który jest wychowawcą na pawilonie gdzie odbywa karę Ob. Piechocki Józef. Wychowawca stwierdził, że skazany Piechocki podczas odbywania kary wielokrotnie był karany dyscyplinarnie. W ostatnim okresie był 1 raz nagradzany talonem owocowym. Piechocki nie czynił prób ucieczki z Zakładu Karnego".

plut. E. Machowski

Pierwsze wrażenie nie było korzystne dla autora listu o karkonoskim skarbie. Niezdyscyplinowany więzień, który tylko raz zasłużył na talon owocowy, nie mógł budzić zaufania.

Więcej szczegółów na temat osadzonego w zakładzie karnym w Wołowie zawarł plutonowy Machowski w kolejnej notatce dla przełożonych, sporządzonej 12 lutego 1974 r., czyli dzień po wizycie u wychowawcy z zakładu karnego: >>>

POWIADOMIENIE

„Zaświadczam, że w związku z apelem w polskim radiu, odnośnie ukrytego skarbu (złota) w Karkonoszach przez oficerów niemieckich do specjalnych poruczeń, postanawiam udzielić prawdziwych informacji oraz wskazać miejsce, gdzie znajduje się powyższy skarb.
Moje powiadomienie proszę potraktować jako oświadczenie, że w razie kłamliwej informacji mogę być pociągnięty do odpowiedzialności. Dlatego też proszę o przywiezienie dokładnych map z lat 1956 i 1957. Jeżeli istnieje możliwość proszę o przybycie specjalisty od rysunków i szkiców. Inne szczegóły i sprawy będę uzgadniał bezpośrednio po przybyciu pracownika Służby Bezpieczeństwa".

Piechocki Józef

fot. Bundesarchiv Bild

NOTATKA SŁUŻBOWA
dot. Piechocki Józef
„W dniu 11. II. [19]74 r. będąc w Zakładzie Karnym w Wołowie uzyskałem następujące informacje o skazanym Piechockim Józefie:
Piechocki Józef s. Henryka i Janiny Obałek ur. 18.03.1946 r. w Białymstoku, obyw[atelstwo] polskie, narodowość polska, wykształcenie podstawowe. W[yżej]/w[ymieniony] był 6-krotnie karany za rozboje, pobicia, wyłudzanie pieniędzy. Pierwszy wyrok od 5.II.1963 r. do 14.VI.1964 r., następnie od listopada 1964 r. do chwili obecnej przebywa w Zakładzie Karnym. Koniec kary na 7.03.1977 r. Suma kary wynosi 12 lat i 100 dni. Uznany jest za niebezpiecznego więźnia. W aktach znajduje się bardzo dużo raportów karnych, ostatnio miał jedną nagrodę (talon owocowy). Zatrudniony jest w celi przy nawijaniu cewek [...] i lutowaniu. Siedzi w celi kilkuosobowej na pawilonie 2A. Piechocki Józef zameldowany jest na stałe Będzin ul. Zagórska 27. W/g oświadczenia kierownika ochrony obecnie nie ma źródła informacji, które mogłoby zabezpieczyć Piechockiego Józefa".
plut. E.Machowski

>>> Wczytując się w przywołany raport, można pogłębić wcześniejszą opinię na temat więźnia. Jednoznaczną. Czy z tak niebezpiecznym człowiekiem można było więc podjąć grę operacyjną?

Bezpieka mimo wszystko uznała, że należy to zrobić. W końcu, trawestując przysłowie, nie święci garnki kradną, a tym bardziej garnki czy może raczej pojemniki ze złotem. Nie święci zazwyczaj też je odnajdują. Dlatego to 15 lutego 1974 r. znany nam już plutonowy Machowski odbył spotkanie z Józefem Piechockim.

Spotkanie w górach

Jego efektem był kolejny ręcznie pisany meldunek dla przełożonych:

NOTATKA SŁUŻBOWA
„W dniu 15.02.1974 r. na terenie Zakładu Karnego w Wołowie przeprowadziłem rozmowę z Piechockim Józefem s.[ynem] Henryka – skazanym. W rozmowie Piechocki udzielił następujących informacji w związku z napisanym listem 28.I.1974 r. na temat ukrytego skarbu w Karkonoszach.
Do roku 1959 przebywał na stałe u dziadków w Kowarach. W r. 1956 lub 1957, idąc z Bierutowic czerwonym szlakiem na Śnieżkę przygodnie spotkał mężczyznę w wieku 45–50 lat. Jak na owe czasy mężczyzna ten miał bardzo dobry sprzęt turystyczny, aparat fotograficzny dobrej marki. Szli razem w kierunku Śnieżki. Mężczyzna chciał potwierdzić, czy Piechocki zna dobrze teren, pytał o okolice schroniska Samotni, pytał czy teren jest zabudowany, jak daleko do granicy, czy blisko jest wojsko, jaki duży jest ruch ludności. Po drodze robili zdjęcia. Chciał, aby go zaprowadzić w okolice Samotni, gdzie w dole ma być dużo skał. Po dojściu do tego miejsca mężczyzna Piechockiemu kazał pilnować, czy nikt nie idzie, a sam chodził między skałami, robił zdjęcia. Następnie doszli do kapliczki około 400–500 m od Samotni i tam zatrzymali się drugi raz. Mężczyzna sam wszedł do środka i kazał pilnować, następnie po kilkuminutowym pobycie w środku wyszedł i zaczął zrywać jakieś przewody, które były w ziemi. Następnie wyciągnął bardzo dokładną mapę terenu i z portfela szkic i porównywał. Na szkicu, który był zgodny z planem, były znaki strzałek i krzyżyki. Mówił, że jest oficerem. Dobrze mówił po polsku, lecz akcent miał niemiecki. Mówił także, że jest sławny i znają go nawet we Włoszech. Na twarzy miał bliznę. W/[edłu]g Piechockiego był to Skorzeny.
Około 1 roku wstecz słyszał w radiu audycję w kilku odcinkach, w których mówili, że z Wrocławia miały być wywiezione skarby i schowane w Karkonoszach".

Turystyczno-topograficzne tropy

W tym miejscu odłóżmy na pewien czas notatkę plutonowego Machowskiego i spróbujmy zatrzymać się przy wiadomościach, usłyszanych przez niego od osadzonego w Wołowie mieszkańca Będzina. Czy w 1956 lub 1957 roku turysta spacerujący szlakiem karkonoskim z Karpacza w kierunku Samotni mógł mieć ze sobą aparat fotograficzny? Mógł, gdyż w tym czasie dozwolone już było fotografowanie w opisanej okolicy, czyli przy schronisku PTTK Samotnia. Zdecydowana większość restrykcyjnych, ba – wręcz drakońskich ograniczeń nałożonych na turystów zniesiona została jesienią 1956 r., a niektóre nieco wcześniej.

Druga kwestia jest nie mniej istotna. Tajemniczy turysta, dysponujący bardzo dokładną mapą, pyta się napotkanego człowieka, czy teren jest zabudowany. Czy jest możliwe, by w tamtym okresie turysta udający się na spacer z Karpacza w góry mógł nie wiedzieć, czy na tym terenie są jakieś zabudowania, czy też jest to teren niezabudowany? Czy poruszając się w stronę Samotni, mógł nie wiedzieć, jak daleko stamtąd jest do granicy? Ależ oczywiście. Meldunki Wojsk Ochrony Pogranicza z pierwszych kilku, czy też kilkunastu lat po drugiej wojnie światowej obfitują w relacje z zatrzymania osób, które rozpytywały okoliczną ludność, jak i którędy dojść do granicy. W tamtych czasach znajomość geografii Karkonoszy wśród Polaków stała nierzadko na niskim poziomie. Do tego dochodził brak map turystycznych, a te, które wydano tuż po wojnie, były częstokroć słabej jakości. Były to raczej schematy niż mapy. Starczy powiedzieć, że po raz pierwszy dopiero w 1964 r. wydano polskojęzyczną mapę Karkonoszy, na której szlaki turystyczne przedstawiono właściwymi kolorami.

Naturalnie istniały w tamtych czasach precyzyjne mapy topograficzne terenu, używane przez wojsko. Takie mapy zachowały się w Archiwum Straży Granicznej

www.odkrywca.pl

w Szczecinie. Porównanie ich z ogólnodostępnymi mapami daje mnie więcej taki efekt, jak gdyby porównać „Płonącą żyrafę" Salvadora Dali z rysunkiem wykonanym przez przedszkolaka z grupy pięciolatków.

Czy Józef Piechocki mógł spotkać w Karkonoszach człowieka posiadającego dokładną mapę? Mógł. Weźmy pod uwagę, że np. zimą 1955/1956 stacjonowali w Samotni geolodzy, prowadzący w okolicy poszukiwania. Być może szukali uranu, być może czegoś innego, ale na pewno ważnego dla gospodarki narodowej. Karkonoski Park Narodowy utworzony został wszak w styczniu 1959 roku, a więc parę lat później i rygory ochrony przyrody nie były wtedy przeszkodą do prowadzenia poszukiwań geologicznych. Pobyt geologów w Samotni tamtej zimy potwierdzają wzmianki w śląskiej prasie.

Czy w pobliżu Samotni mogły być zakopane podziemne kable? Mogły. Układali je w terenie wiele lat wcześniej Niemcy. Karkonoskie schroniska stanowiły inną klasę obiektów niż skromne, drewniane schroniska polskie w Karpatach, pozbawione prądu elektrycznego, centralnego ogrzewania czy telefonu. W Karkonoszach do schroniska można się było dodzwonić, a wieczór spędzić przy świetle żarówki.

Ale co innego się nie zgadza. Z Bierutowic w kierunku Śnieżki prowadził wtedy szlak niebieski. Polskiego czerwonego szlaku wcale tam nie było. Nie istniała też w okolicy Samotni jakakolwiek kapliczka. Zwłaszcza taka, do której można by było wejść. Poniżej Samotni, za jeziorem, stoi tylko Domek Myśliwski, ale odległy jest o ponad 600 metrów w linii prostej. W 1956 r. był on nieczynny, ale już w kolejnym został wydzierżawiony od Lasów Państwowych i zaczął funkcjonować jako prywatne schronisko turystyczne, nienależące do PTTK. Rozmiar, wystrój, wreszcie sama bryła Domku Myśliwskiego kompletnie nie przypomina jakiejkolwiek kapliczki. Widać więc już, mówiąc kolokwialnie, że cała opowieść kupy się nie trzyma.

Otto Skorzeny miał charakterystyczną atletyczną sylwetkę. Blizna na twarzy sprawiała, że trudno go było pomylić z kimś innym. Zdjęcie pierwsze: Skorzeny uwalnia Mussolliniego w 1943 r. Zdjęcie drugie: Skorzeny w 1945 r. roku.

Finał

I ostatnia kwestia. Czy Otto Skorzeny mógł w tym czasie przebywać w Karkonoszach? Wiadomo, że kilka lat po wojnie zamieszkał w Hiszpanii. Urodzony w 1908 roku niemiecki oficer miał w 1956 lub 1957 roku około 48–49 lat, a więc pasowałby do przedziału wiekowego wskazanego przez wołowskiego więźnia. Czy Skorzeny znał w tym czasie język polski w formie komunikatywnej, tego nie wiem. W każdym razie jego rodzina miała wywodzić się z okolic Gniezna, gdzie przed pierwszą wojną światową żyli wszak Polacy. Tylko czy Otto Skorzeny zaryzykowałby wyjazd z Hiszpanii do Polski Ludowej, by wśród karkonoskich skał szukać pojemników ze złotem? Na samą myśl o czymś takim na moich ustach pojawia się uśmiech.

Oczywiście jeśli ktoś uwierzy historyjce będzińskiego więźnia, niech jedzie w Karkonosze i niech próbuje znaleźć opisane miejsce. Obawiam się jednak, że to beznadziejna sprawa.

Co innego jednak zwróciło uwagę funkcjonariusza badającego informacje uzyskane od więźnia. Wróćmy do jego meldunku, na końcu którego przedstawił swoją opinię:

WNIOSKI:

„- Piechocki we wspominanych latach miał 10 lub 11 lat, trudno wierzyć, aby sam wybierał się na Śnieżkę.
- W rozmowie często się zacinał, robił wrażenie zmieszanego
- w rozmowie z wychowawcą tow. Niedzielskim, Piechocki przekazywał relację powyższą kilkakrotnie, zawsze coś zmieniając".

Na tym przypuszczalnie sprawę zakończono, w każdym razie w skarbowej teczce archiwalnej na ten temat nie ma żadnych relacji z poszukiwań. Tak to kolejny już raz kolorowy świat złudzeń w bezpośrednim zetknięciu z rzeczywistością okazał się o wiele mniej barwny, niż oczekiwał tego autor listu z więzienia. Niestety. Po prostu... <

Tomasz Rzeczycki
Badacz dziejów podziemnych tras turystycznych Polski, przejść granicznych w Sudetach i historii sudeckich schronisk PTTK. Autor książki „Góry Polski".

fot. Bundesarchiv Bild

DETEKTORY KRZEMOWE Z LUBIĄŻA

CZĘŚĆ 4

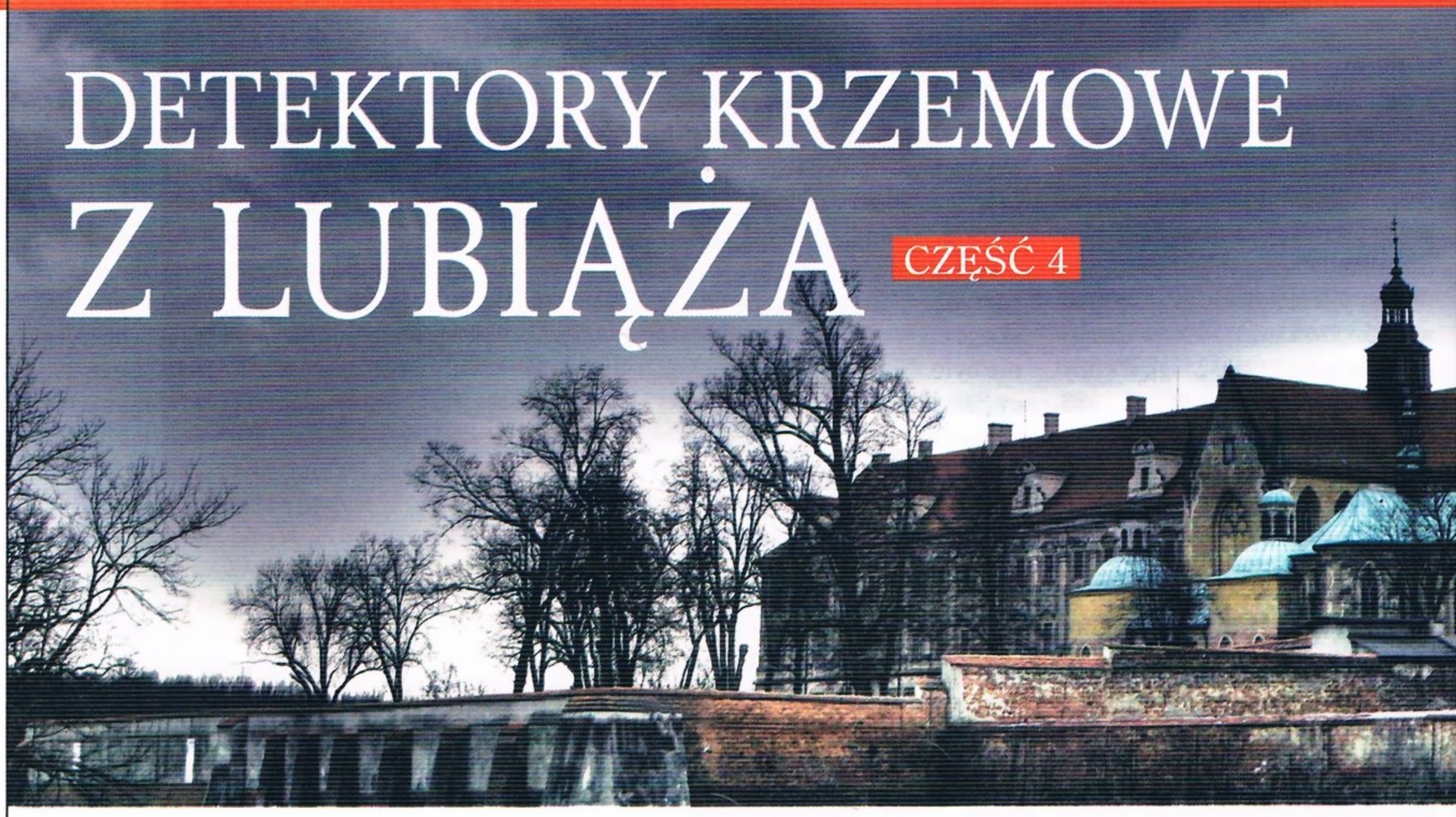

ROMUALD OWCZAREK

Laboratoria pracowały nad systemami radarowymi dla lotnictwa, ale i dla potrzeb artylerii nadbrzeżnej oraz dział okrętowych!

W poprzednim numerze przedstawione zostały dokumenty archiwalne, które pozwoliły poznać role poszczególnych laboratoriów naukowych, funkcjonujących w Pałacu Opata i w lubiąskim klasztorze.

Zaprezentowane zostały też główne programy naukowe, które w dużej części ukierunkowane były na potrzeby Luftwaffe. Kiedy goście z Berlina – w kwietniu 1944 roku – zapoznawali się w Lubiążu z postępem prac badawczo-rozwojowych, to jeden z takich programów był już praktycznie zakończony i przekazany do zastosowania w produkcji. Dotyczył on nowych detektorów, które miały wykrywać sygnały o wysokiej częstotliwości, emitowane przez lampę elektronową typu magnetron czy klistron. I takim tajnym programem firma Telefunken zajęła się od razu w Lubiążu!

Syntetyczne detektory krzemowe

Choć detektory są małymi elementami, to ich znaczenie jest ogromne, ponieważ mają odnaleźć pożądaną częstotliwość odbitych sygnałów. Oczywiście znane były wówczas różne urządzenia tego typu, ale miały one zastosowanie do stosunkowo długich fal. Od 1942 roku główny konkurent Telefunkena, firma Siemens, produkowała już opatentowane diody ostrzowe, w których zastosowała german (pierwiastek chem.) jako półprzewodnik. Krótko mówiąc, dobry półprzewodnik został jakby „zajęty" przez

Herbert Mataré

Siemensa i firma Telefunken miała dwa wyjścia: albo odkupić licencję na „german", albo zacząć szukać innego materiału półprzewodnikowego. Cała idea pracy detektora kryształkowego sprowadza się do zapewnienia wysokiej czułości odbioru sygnałów na styku tzw. złącza p-n (metal-półprzewodnik). Telefunken, marzący o utrzymaniu prymatu w swojej branży, niejako został przymuszony do szukania konkurencyjnego półprzewodnika.

Spośród różnych przebadanych półprzewodników (galena, piryt, german, krzem) uznano, że dla fal o długości do 10 cm najbardziej przydatny powinien być krzem, który charakteryzował się najlepszym czasem odzyskiwania sygnału. To ukierunkowało dalsze badania, które miały na celu znalezienie technologii pozwalającej na uzyskiwanie kryształków krzemu – w jak najczystszej postaci. Dr Rothe zabrał do Lubiąża dr. Herberta Mataré, który w Berlinie pracował pod jego kierunkiem nad problemem zmniejszania hałasów (szumów) w lampach elektronowych. Tutaj Mataré miał się zająć poszukiwaniem najlepszego modelu detektora spośród wielu różnych prototypów.

fot. Wikipedia

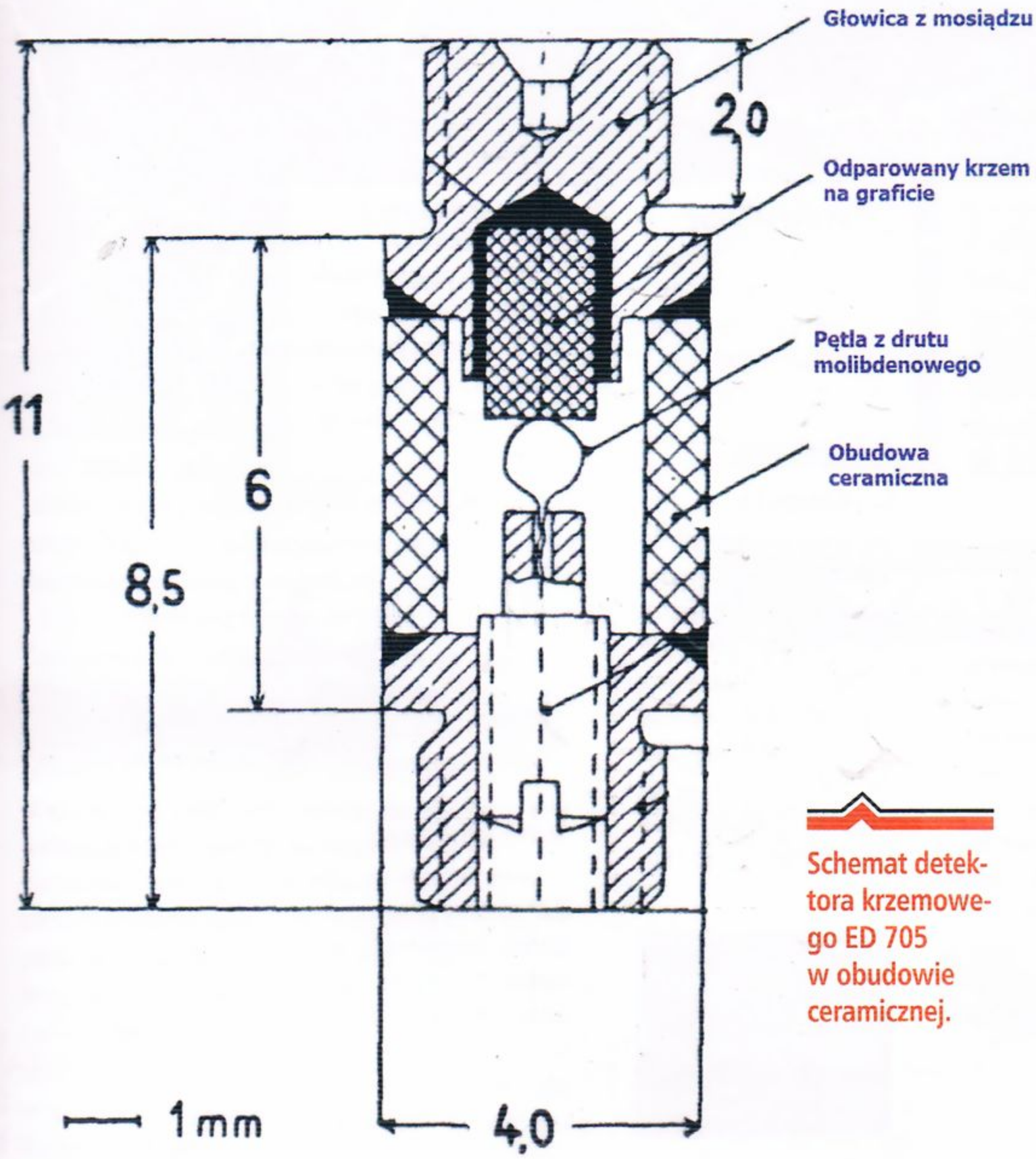

Schemat detektora krzemowego ED 705 w obudowie ceramicznej.

Na samym początku należało „wytworzyć" jak najlepsze kryształki krzemu. Mimo że krzem jest łatwo dostępny, to jednak trudno jest go oczyścić. Wszelkie zanieczyszczenia ujemnie wpływają na jakość detekcji sygnałów modulowanych. Z początku krzem pozyskiwano w formie polikryształów. Już pierwsze testy ujawniły, że „czysty" krzem powinien być wytwarzany w postaci monokryształów. Podczas prac nad krzemem dodatkową barierą okazała się temperatura jego topienia. W naturalnej postaci krzem topi się w wyjątkowo wysokiej temperaturze – przy 1400 stopniach Celsjusza. Telefunken szybko zrozumiał, że musi w trybie pilnym opracować inną technologię na „czysty" krzem. Wpadli więc na pomysł stworzenia technologii... syntetycznego krzemu. W końcu Niemcy specjalizowali się w syntetycznych zamiennikach (benzyna, guma, kauczuk, toluen), więc mieli prawo liczyć na kolejny sukces. Od razu pojawił się kolejny problem – kto to ma zrobić? Najbliżej Lubiąża nad półprzewodnikami (głównie pirytem) pracował Paul Günther z Instytutu Fizykochemicznego we Wrocławiu. Ale potrzebny był również łącznik między dr. Güntherem a placówką w Lubiążu. Przypomniano sobie o Karlu Sailerze, który już wcześniej współpracował z Güntherem. Okazało się, że ten wspaniały naukowiec jest, ale… na froncie wschodnim. Nie było żadnych problemów z reklamowaniem go z wojska i powierzeniem mu ważnych >>>

OŚRODKI ZWIĄZANE Z WOJSKOWĄ PRODUKCJĄ TELEFUNKENA

1 LUBIĄŻ – tajne laboratoria Telefunkena, projekty systemów radarowych.

2 WROCŁAW – laboratoria z Lubiąża współpracowały z Paulem Güntherem z Instytutu Fizykochemicznego, naukowcem zajmującym się półprzewodnikami.

3 BERLIN – detektory wysyłane jako części radarowe do stacji radiolokacyjnych nie były trwałe. Na front wysyłano całe ich pakiety, zaznaczając w instrukcji, aby niesprawne detektory były odsyłane do fabryki w Berlinie – Zehlendorf.

4 5 6 PRAGA, LEGNICA, DZIERŻONIÓW – m.in. w tych lokalizacjach trwały prace nad nowym magnetronem lub klistronem (generator fal radiowych wysokiej częstotliwości). W końcu udało się zbudować magnetron LMS 12, pracujący na długości fal 3,05-3,25 cm i częstotliwości próbkowania 1500 MHz.

7 GÖHREN – znajdowała się tutaj unikalna – jedyna stacja testowa radaru kombinacyjnego Würzmann. Jesienią 1943 r. Telefunken wybudował na nadbałtyckim wybrzeżu wyspy nowy radar składający się:
– z urządzeń nadawczo-odbiorczych (120 kW) z radaru „Würzburg",
– anteny „Wassermann". (Würz+mann), „składany", radar pracował na fali o długości 54 cm, wykrywając cele do 300 km.

8 PEENEMÜNDE – stanowiska startowe V1 i V2. Radar w Göhren był wykorzystywany do kontroli ich lotu.

9 HANOVER – stąd przywożono aparat „Gelse" (produkowany był w miejscowej fabryce gotowych urządzeń Gerätewerk Hanover; naprowadzał automatycznie lufy dział na cel wykryty przez radar) do Lubiąża, gdzie dokonywano jego korekty.

10 MORAVSKA TREBOVA – stąd do Lubiąża trafiało urządzenie współpracujące z radarem; to aparat celowniczy o kryptonimie „Heuschrecke" (Szarańcza).

11 KRĄŻOWNIK NÜRNBERG – nowe urządzenie „Euklid" zostało został zamontowany jedynie na tej jednostce. Pod koniec wojny pełnił rolę szkoleniową na Bałtyku. Po wojnie służył jako „Admirał Makarow" w radzieckiej marynarce.

OŚRODEK BADAWCZO-ROZWOJOWY W LUBIĄŻU BYŁ JEDNYM Z WIELU PLACÓWEK, KTÓRE WSPOMAGAŁY CAŁY CZAS GŁÓWNE ZAKŁADY TELEFUNKENA.

>>> zadań dla dobra III Rzeszy. Powstał więc jakby nieformalny 3-osobowy zespół odpowiedzialny za detektor syntetyczny. W strukturach Laboratorium Wysokich Częstotliwości grupa ta działała w ramach komórki LH3.

Od razu zasugerowano dr. Güntherowi, aby skupił się na krzemie, a nie na różnego rodzaju siarczkach, które były podstawą jego dotychczasowych badań. Na wstępie pojawiła się kwestia obniżenia temperatury topienia krzemu. Postanowiono więc sprawdzić czterochlorek krzemu. Wybór był niezwykle trafny, choćby nawet tylko z jednego powodu. Okazało się bowiem, że będzie możliwe obniżenie temperatury topienia z 1440^0 do 800^0 C. To był przełom w badaniach. „Nowy" krzem uzyskano przy użycia środka redukującego, którym po wielu próbach najlepszym okazał się glin. Tak powstał w miarę czysty, przetopiony krzem nazwany później syntetycznym. Nie była to jeszcze jakość kryształów germanu, ale można było już dalej prowadzić kolejne prace nad detektorem krzemowym. Przede wszystkim należało wybrać przewodnik, na którym osadzany będzie krzem. Przeprowadzono wiele prób, aż w końcu zdecydowano się na grafit.

W procesie technologicznym warstewki krzemu osadzano (odparowywano) na pręcikach grafitowych o średnicy 1,4 mm, które następnie łamano i lutowano w kopułce z mosiądzu. Tak powstawało złącze stykowe między mosiądzem a grafitem. Styk rektyfikacyjny z syntetycznym krzemem zaprojektowano w kształcie pętli z druciku wykonanego z molibdenu. Zastosowanie pętli z molibdenu dało początkowo dobry efekt, odczuwalny głównie w zakresie poprawy stabilności pracy detektora i lepszej odporności na wstrząsy i wibracje. Ale jednocześnie pojawiło się negatywne zjawisko – zwiększył się poziom zakłóceń, hałasu. I nad tym problemem polecono się skupić Matarému. Tak więc technologia styku-złącza: metal – półprzewodnik z wykorzystaniem krzemu powstała we Wrocławiu i jest to wyłącznie sukces duetu Sailer-Günther.

Jedna z pracowni naukowych w lubiąskim klasztorze.

fot. Wikipedia

Pierwsze prototypy detektora pojawiły się pod koniec 1943 roku. Na posiedzeniach Zespołu Roboczego „Rotterdam" (projekt budowy radaru „Berlin") dr Rothe lakonicznie wspominał tylko, że trwają prace nad nowym detektorem, nie zdradzając żadnych szczegółów np. dotyczących badań nad syntetycznym krzemem. Wszystko odbywało się w wielkiej tajemnicy. H. Mataré do lutego 1944 roku testował co chwilę dostarczane wykonywane ręcznie nowe prototypy detektorów. Wtedy szczególnym problemem było stworzenie możliwie identycznych cech dla powtarzalnej serii detektorów. Swoje prace zakończył złożeniem raportu o obwodach równoważnych dla detektorów wysokiej częstotliwości[1]. W kwietniu 1944 roku dr Rothe na posiedzeniu AGR „Rotterdam" ogłosił, że Telefunken rozpoczął produkcję syntetycznych detektorów krzemowych, które od razu zaczęto instalować w urządzeniu pasywnym „Naxos" (wykrywał tylko kierunek zbliżających się samolotów brytyjskich, wyposażonych w radar pokładowy H2S – 9 cm) oraz włączono do testów w ramach budowanego systemu radarowego FuMG 224 >>>

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

>>> „Berlin". Pierwsze detektory oznaczone zostały serią ED 700, 701 i zamiast pętli molibdenowej miały na początku drucik. Trwały dalsze prace nad poprawą czułości, co skutkowało pojawieniem się dalszych typów ED 703-705. Dwa ostatnie modele ED 704 i 705 były krótsze od poprzednich i przy ich wymianie należało stosować adaptatory. Same detektory pakowane były w skrzynki i wysyłane jako części radarowe do stacji radiolokacyjnych. Okazało się, że żywotność detektorów krzemowych pozostawiała wiele do życzenia, więc na front wysyłano całe ich pakiety, zaznaczając w instrukcji, aby niesprawne detektory były odsyłane do fabryki w Berlinie – Zehlendorf.

Telefunken nie ukrywał, że odniósł poważny sukces. Detektor szybko znalazł zastosowanie w mieszaczu oraz przy dalszych pracach nad nowym magnetronem RD2 Md2, przewidzianym do pracy na fali o długości 3 cm.

Karl Seiler od wiosny 1944 roku zajął się już tylko nadzorem nad produkcją elementów krzemowych detektora. Odpowiadał też za przyuczanie kobiet do wykonywania precyzyjnych prac dotyczących topienia czterochlorku krzemu w specjalnych piecach oraz wykonywania miniaturowych łączy typu p-n. Te prace były wykonywane w wielu fabrykach lamp Telefunkena.

Mataré kontynuował badania dotyczące zmniejszania hałasu w detektorze i rozpoczął w Lubiążu badania nad duodiodą. Zamiast pętli zaczął eksperymentalnie stosować dwie igły jako anody oraz kryształ jako katodę. Na przyrządach mierniczych otrzymywał różne wyniki. Po wojnie tak to wspominał: „...podczas eksperymentowania ze stykami punktowymi (igłami) obserwowałem różne zjawiska i otrzymywałem wyniki, których nie rozumiałem i nie potrafiłem wtedy wytłumaczyć. Ponadto nie było wiele czasu, bowiem pod koniec 1944 roku Lubiąż był zagrożony zajęciem przez Sowietów i musieliśmy się ewakuować".

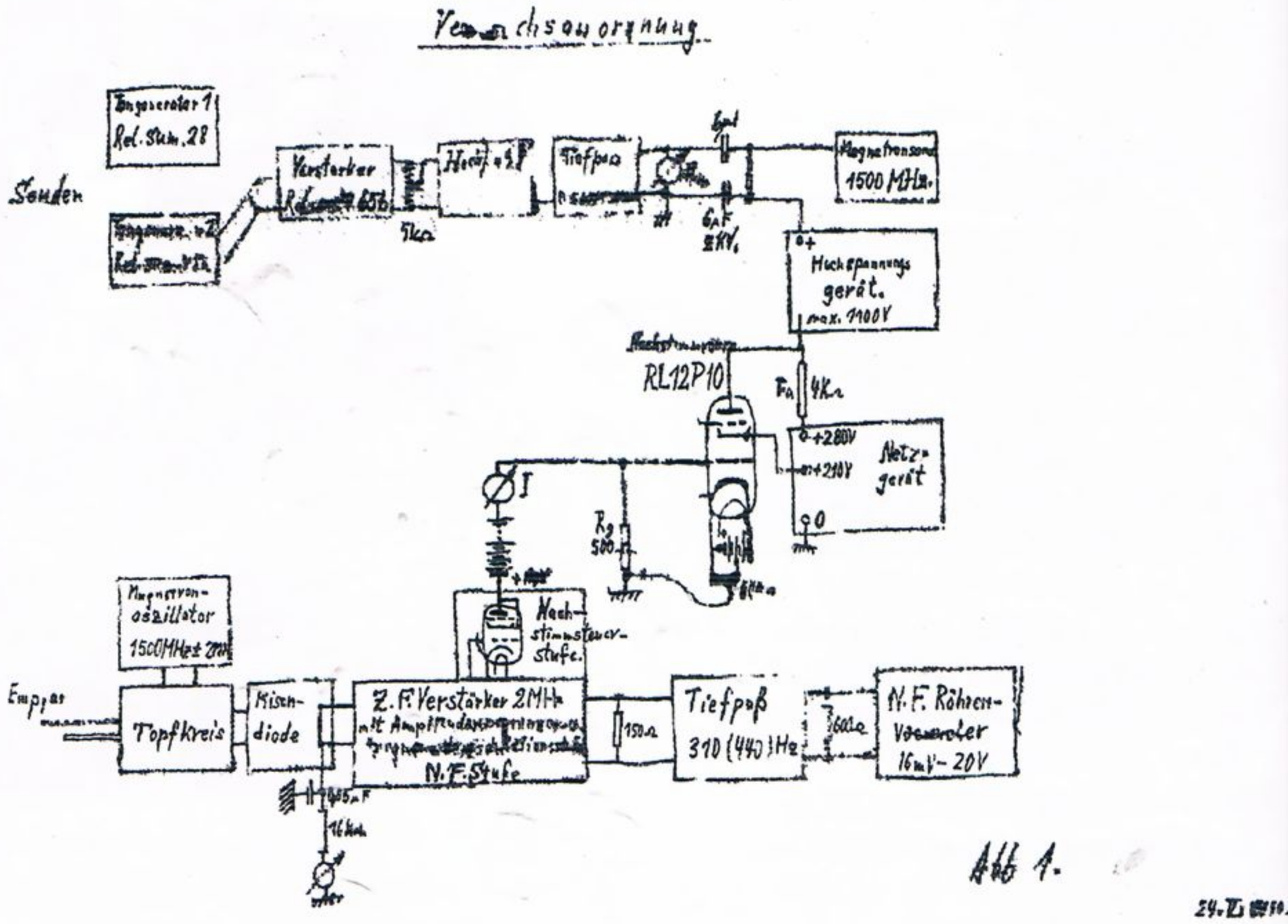

Odręczny schemat urządzenia „Berlin D".

Cytuję te wspomnienia celowo, bo te eksperymenty H. Matarégo próbuje się u nas łączyć z wynalezieniem prototypów tranzystora w Lubiążu. Do tej sprawy odniosę się w odrębnym artykule.

Berlin A I D

Naukowcy z oddziału LH2 Laboratorium Wysokich Częstotliwości włączyli się do prac nad pierwszym, niemieckim radarem pracującym na fali o długości 9 cm (Berlin A). Tutaj badania odbywały pod nadzorem Zespołu Roboczego AGR „Rotterdam". Priorytet był bardzo wysoki, czego dowodzi fakt, że dr Leo Brandt był jednocześnie szefem całej placówki naukowej w Lubiążu oraz kierującym pracami AGR. Na posiedzeniach AGR deliberowano nad wciąż pojawiającymi się problemami, gdy w tym czasie „po cichu" zaczęto prowadzić prace nad nowym systemem radarowym Berlin D, który miał pracować na fali o długości 3 cm. W zasadzie była to konieczność, bo alianci już na początku 1944 roku stosowali takie urządzenia. Wciąż oczekiwano na nowy magnetron lub klistron (generator fal radiowych wysokiej częstotliwości). Prace badawcze w tym zakresie prowadzone były m.in. w Legnicy, Dzierżoniowie i w Pradze. W końcu udało się zbudować magnetron LMS 12, pracujący na długości fal 3,05-3,25 cm i częstotliwości próbkowania 1500 MHz. To pozwalało przystąpić do budowy nadajnika-odbiornika. W tej sprawie zachował się chyba jeden z najcenniejszych dokumentów archiwalnych w postaci odręcznego szkicu zestawu urządzeń dla systemu radarowego BERLIN D. Choć sam dokument – odnaleziony w Lubiążu – brzmi tajemniczo Versuchanordnung[2] (układ badawczo-doświadczalny), to jego ideę zdradzają dwa ww. magnetrony nowego typu – w tym jeden pracujący jako oscylator lokalny. Co ciekawe schemat zdradza dalsze cechy urządzenia eksperymentalnego. W nadajniku sygnał był modulowany z dwóch generatorów o częstotliwości akustycznej (Tongenerator). Z kolei w odbiorniku zastosowano dwa filtry dolnej przepustowości dla częstotliwości na 310 i 440 Hz, co pozwalało słuchać sygnałów np. przez słuchawki lub z głośnika.

www.odkrywca.pl

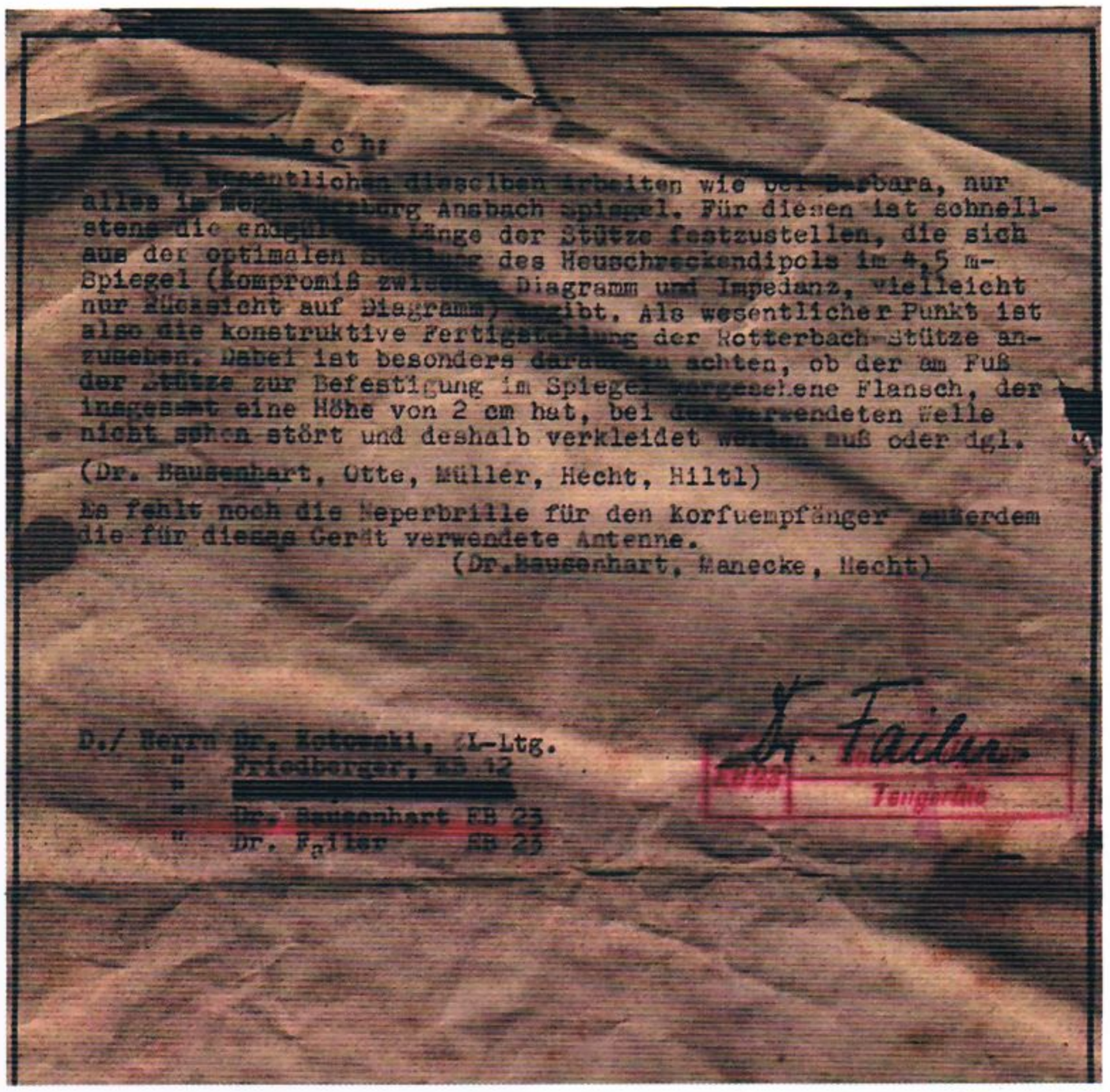

Mapa Rugii odnaleziona w Lubiążu.

Końcowa część raportu dr. Failera.

Prawdopodobnie udało się zbudować zestaw nadawczo-odbiorczy dla Berlina D i choć była to dopiero wersja laboratoryjna, to dla naukowców z Lubiąża był to niewątpliwie kolejny wielki sukces. W wielu publikacjach opisywany jest wielki bankiet naukowców z LH2 w maju 1944 roku w lubiąskim lokalu „Alter-Gerichtskrettscham" Maxa Fridricha[3]. Blisko sto osób bawiło się za blisko 1400 RM. Nie była to więc skromna kolacja w wojennych warunkach. Niestety, póki co, nie wiemy dokładnie, co świętowano – ale laboratoryjna wersja Berlina D mogła być ku temu okazją.

Eksperymentalny Würzmann

Podczas przeglądania zasobów archiwalnych DTH niespodziewanie natknąłem się na piękną kolorową mapę wyspy Rugia. Niby banalna sprawa, tylko po co naukowcom Telefunkena w Lubiążu potrzebna była taka mapa? Chciałoby się powiedzieć gdzie Rzym, a gdzie Krym – ale jednak coś mi zaczęło świtać w głowie. Przypomniałem sobie mało znaczącą informację z posiedzenia AGR. Wspomniano tam o pewnych badaniach w nadmorskim kurorcie – Göhren, położonym na przylądku w pd.-wsch części Rugii. Nie pozostało nic innego, jak szukać śladów Telefunkena na Rugii. I okazało się, że znajdowała się tutaj unikalna – jedyna stacja testowa radaru kombinacyjnego Würzmann, wg pomysłu dr. inż. W. Steepa. Jesienią 1943 roku Telefunken wybudował na nadbałtyckim wybrzeżu wyspy nowy radar składający się:

– z urządzeń nadawczo-odbiorczych (120 kW) z radaru „Würzburg",

– anteny „Wassermann".

„Składany" radar (Würz+mann) pracował na fali o długości 54 cm, wykrywając cele do 300 km. Używał tablic wczesnego ostrzegania DMG4k „Michael". Postawione zostały dwa maszty o wysokości 36 m. Powierzchnia anteny wynosiła aż 45 m². Radar był spolaryzowany głównie w układzie poziomym. Co ciekawe jego czasza skierowana była na... Peenemünde. Radar był tak tajny, że nawet nie przyznano mu kodu, stąd nie jest łatwo go odnaleźć nawet w specjalistycznych opracowaniach. Trudno się dziwić, skoro wykorzystywano go do kontroli próbnych lotów V1 i V2, wystrzeliwanych ze stanowisk startowych w Peenemünde.

I radar ten zapewne odszedłby w zapomnienie, gdyby nie sensacyjna historia, jaka wydarzyła się w styczniu 1944 roku. Czasza radaru została przypadkowa przechylona w kierunku pojawiającego się nad horyzontem Księżyca. Nagle radar po 2,5 sekundach odebrał serie odbitych sygnałów od... Księżyca! Efekt znikł, gdy Księżyc znalazł się poza wiązką radarową. Następnego dnia powtórzono próbę i uzyskano ten sam rezultat.

W historii radiotechniki fakt ten uznawany jest za pierwszy przypadek odbioru echa EME (Erde-Mond-Erde) Ziemia-Księżyc-Ziemia! Można więc powiedzieć, że to Niemcy byli... pierwsi na Księżycu.

Programy badawcze dla Kriegsmarine

Kiedy trzymałem w ręku list z Oberkommando Marine z Berlina do Lubiąża mocno się zafrasowałem, bo skąd nagle marynarka wojenna III Rzeszy pojawia się w firmie dr. Fürstenaua? >>>

>>> A jednak dalsze przeglądanie archiwów DTH dostarczyło kolejnych dowodów, że Laboratorium Antenowe EB 23 pracowało tu nad systemami radarowymi dla potrzeb artylerii nadbrzeżnej oraz dział okrętowych! Pod kierunkiem dr Hansa Failera i dr Bausenharta prowadzone były prace m. in. nad 3 projektami:

A. „EUKLID" FuMO 231

Był to specjalny radar przeznaczony do kierowania ogniem z dział okrętowych. Realizowany był w ramach zaplanowanych 5 systemów radarowych dla potrzeb Kriegsmarine. Były to:
– „Eisvogel", mający pracować na falach o długościach 20-centymetrowych,
– „Euklid" FuMO 231 – 9 cm,
– „Euklid Z" – 3 cm,
– „Kasel" FuMO 232,
– „Rettin" – dla lekkich dział.
Ww. projekty przewidziane były dla okrętów typu: niszczyciele, lekkie krążowniki, kutry torpedowe. Planowany zasięg obejmował statki odległe do 20 km.
Z raportów pracy dr Failera, dr Bausenharta wynika, że w przypadku „Euklida" testowano urządzenia „Gelse" (Komar) naprowadzające automatycznie lufy dział na cel wykryty przez radar[4]. Same badania związane były z pracą w różnych warunkach, ustawieniach technicznych oraz z wykorzystaniem nowych materiałów użytych do izolacji anteny (ważny szczegół w zakresie pracy radaru w warunkach morskich). Dokonywano korekty w konstrukcji aparatu „Gelse", który do Lubiąża był przywożony z Hanoweru, gdzie produkowany był w miejscowej fabryce gotowych urządzeń (Gerätewerk Hanover). Enigmatycznie brzmi informacja, że testy prowadzono na 3 długościach fal. Sam „Euklid" miał być jakby połówką radaru „Manheim" – czyli pracować na fali 27 cm z anteną o średnicy 1,5 m. Potem postanowiono pracować jeszcze na falach o długości 9 i 3 cm. Plany były więc bardzo ambitne. Sama koncepcja „Euklida" była już wcześniej opracowana na 27 cm, lecz ujawnienie H2S spowodowało, że Niemcy musieli rozszerzyć badania na fale o długości – 9 i 3 cm.

Z poznanych informacji wynika, że nowy „Euklid" został zamontowany jedynie na lekkim krążowniku Nürnberg.

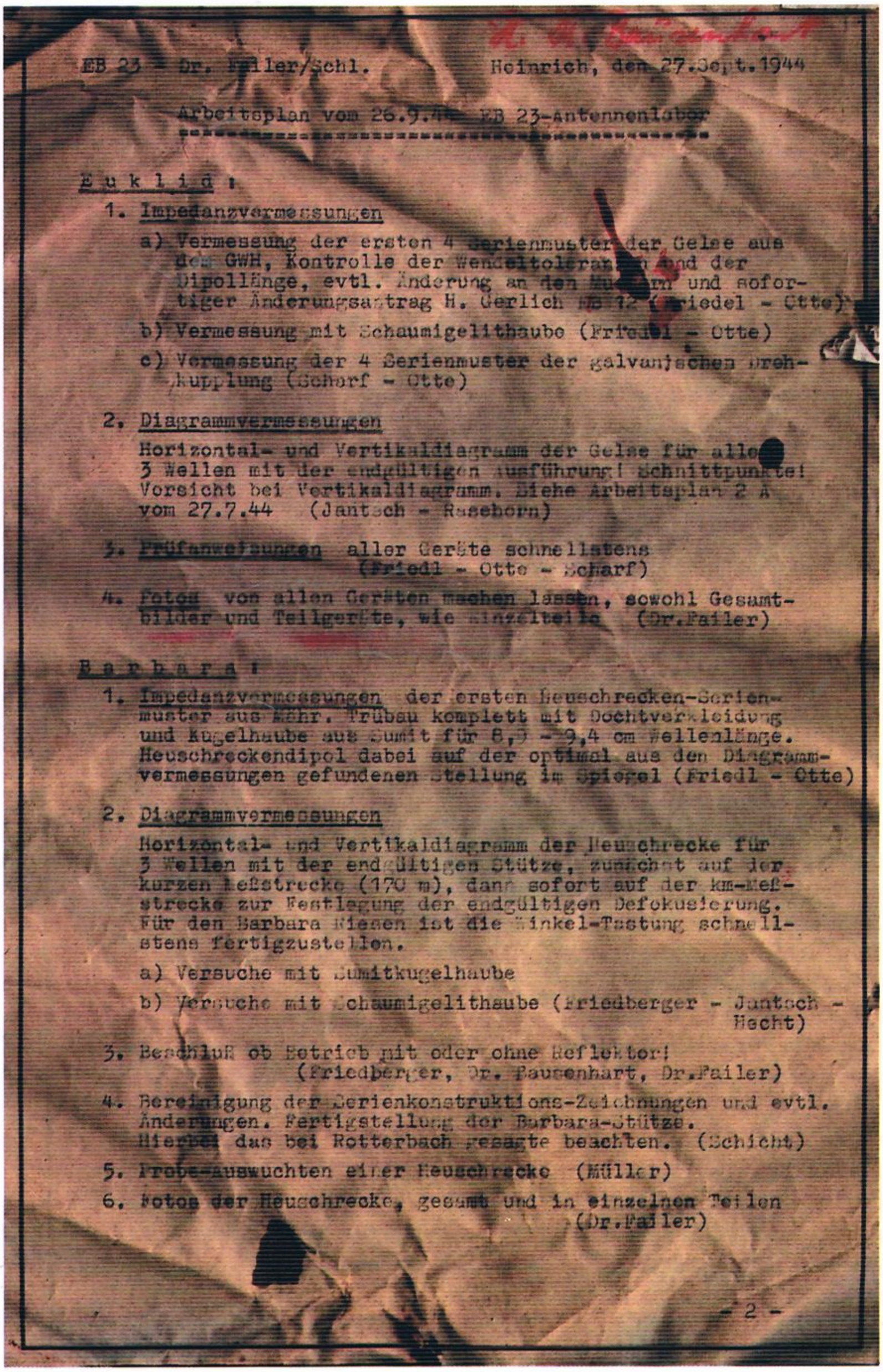

EB 23 – Dr. Failer/Schl. Heinrich, den 27.Sept.1944

Arbeitsplan vom 26.9.44 – EB 23-Antennenlabor

Euklid:

1. Impedanzvermessungen
   a) Vermessung der ersten 4 Serienmuster der Gelse aus dem GWH, Kontrolle der Wendeltoleranzen und der Dipollänge, evtl. Änderung an den Mustern und sofortiger Änderungsantrag H. Gerlich an 12 (Friedel - Otte)
   b) Vermessung mit Schaumigelithaube (Friedel - Otte)
   c) Vermessung der 4 Serienmuster der galvanischen Drehkupplung (Scharf - Otte)

2. Diagrammvermessungen
   Horizontal- und Vertikaldiagramm der Gelse für alle 3 Wellen mit der endgültigen Ausführung! Schnittpunkte! Vorsicht bei Vertikaldiagramm. Siehe Arbeitsplan 2 A vom 27.7.44 (Jantsch - Roseborn)

3. Prüfanweisungen aller Geräte schnellstens (Friedl - Otte - Scharf)

4. Fotos von allen Geräten machen lassen, sowohl Gesamtbilder und Teilgeräte, wie Einzelteile (Dr.Failer)

Barbara:

1. Impedanzvermessungen der ersten Heuschrecken-Serienmuster aus Mähr. Trübau komplett mit Dochtverkleidung und Kugelhaube aus Sumit für 8,9 – 9,4 cm Wellenlänge. Heuschreckendipol dabei auf der optimal aus den Diagrammvermessungen gefundenen Stellung im Spiegel (Friedl - Otte)

2. Diagrammvermessungen
   Horizontal- und Vertikaldiagramm der Heuschrecke für 3 Wellen mit der endgültigen Stütze, zunächst auf der kurzen Meßstrecke (170 m), dann sofort auf der km-Meßstrecke zur Festlegung der endgültigen Defokusierung. Für den Barbara Riesen ist die Winkel-Tastung schnellstens fertigzustellen.
   a) Versuche mit Sumitkugelhaube
   b) Versuche mit Schaumigelithaube (Friedberger - Juntsch - Hecht)

3. Beschluß ob Betrieb mit oder ohne Reflektor! (Friedberger, Dr. Bausenhart, Dr.Failer)

4. Bereinigung der Serienkonstruktions-Zeichnungen und evtl. Änderungen. Fertigstellung der Barbara-Stütze. Hierbei das bei Rotterbach gesagte beachten. (Schicht)

5. Probe-auswuchten einer Heuschrecke (Müller)

6. Fotos der Heuschrecke, gesamt und in einzelnen Teilen (Dr.Failer)

– 2 –

Raport Laboratorium Antenowego EB 23 z dnia 7.09.1944 roku.

B. „BARBARA" FuMO 111

Była to wersja radaru „Würzburg-Riese" przystosowana do pracy na falach o długości 8,9–9,4 cm. Cała aparatura pochodziła z projektowanego systemu „BERLIN" z tzw. pola II (Feld II). Radar pracował na częstotliwości 3,3 GHz, wykorzystując nadajnik o mocy 15 kW. Miał wykrywać cele odległe od 40-80 km.
W Lubiążu testowano urządzenie współpracujące z radarem. Był to aparat celowniczy o kryptonimie „Heuschrecke" („Szarańcza"), który do klasztoru przywożono z fabryki Telefunkena w Trübau (dziś Moravska Trebova). Testowano też nowy materiał na główki dipoli (Sumit) oraz izolacje z igelitu. Również dla Szarańczy próby przeprowadzano na 3 długościach fali.
Całość badań pozostała w sferze eksperymentów. „Barbara" z nowym urządzeniem do oprzyrządowania stanowisk

www.odkrywca.pl

artyleryjskich na wybrzeżu morskim nigdy nie została wykorzystana w praktyce.

C. „ROTTERBACH"

Była to kolejna kombinacja radarowa, tym razem przeznaczona do kierowania ogniem dużych baterii dział na lądzie. Zasięg działania radaru przewidziano na 30 km. Na bazie urządzeń nadawczo-odbiorczych „Rotterdam" (9 cm) zbudowano radar, który wyposażono w antenę z innego radaru – „Ansbach" FuSE 68. Tak powstała krzyżówka radarowa (Rotter+bach). Jedną z nowinek technicznych było zamontowanie nowego typu generatora impulsów. Antena miała średnicę 4,5 metra, a sam radar planowany był do pracy w systemie Kulmbach Z. Nie wiadomo jak zakończyły się prace nad tym radarem.

Niezależnie od ww. projektów w Lubiążu pracowano nad udoskonaleniem wcześniej już produkowanych urządzeń do namierzania kierunku nadlatujących samolotów: „Naxos" dla marynarki wojennej oraz „Korfu" dla wojsk lądowych.

Sam ośrodek badawczo-rozwojowy w Lubiążu był jednym z wielu placówek, które wspomagały cały czas główne zakłady Telefunkena, funkcjonujące w Berlinie (Zehlendorf). Można odnieść wrażenie, że tutaj raczej wiele eksperymentowano, próbując w trybie pilnym zbudować niemieckie – równorzędne technologie radarowe, podobne do alianckich. Nie umniejsza to faktu, że Lubiąż zawsze będzie można kojarzyć z detektorami krzemowymi (zwanymi przez Niemców – syntetycznymi), które dla samej firmy Telefunken – były jednak ogromnym sukcesem. Nie zmienia to jednak faktu, że III Rzesza w wojnie w eterze poniosła sromotną klęskę.

Tym artykułem kończę moje badania na terenie Lubiąża. W następnym odcinku zapraszam do Glinian i Zagórzyc, gdzie zachowały się do dziś ślady po stacjach radarowych, w których testowano nowinki techniczne opracowywane w lubiąskim klasztorze.

Autor składa podziękowania Dolnośląskiemu Towarzystwu Historycznemu za udostępnione materiały archiwalne oraz Panu Adamowi Wisthalowi z PTP Muzeum Energetyki w Łaziskach Górnych, za pomoc merytoryczną i konsultacje oraz poświęcony czas na wyjaśnianie moich wątpliwości w zakresie wysokich częstotliwości.

Romuald Owczarek

PRZYPISY

[1] SDTB Berlin Raport Nr 3 z 8 lutego 1944 (Burmeister, dr Matare, dr Seiler), s.a. I.2.060 C-05006, str. 380-395 – kopia w prywatnym archiwum autora.
[2] Skan dokumentu ze zbiorów Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego.
[3] Wacław Mazur „Lubiąż nieznany". Wiadomości Nr 6/98, str. 10.
[4] Raport z dnia 27 września 1944 r. z prac EB 23 (Euklid, Barbara, Rotterbach) – skan ze zbiorów archiwalnych DTH.

REKLAMA

Książka już w sprzedaży!

Polecamy także m.in.:

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

SIR LANCELOT Z... WIEŻY KSIĄŻĘCEJ W SIEDLĘCINIE

KATARZYNA OGRODNIK-FUJCIK

Malowidła w wielkiej sali na drugim piętrze wieży są dziś jedynym na świecie, zachowanym *in situ*, ściennym przedstawieniem historii sir Lancelota z Jeziora, najsłynniejszego z rycerzy Okrągłego Stołu.

Co dokładnie jeleniogórski inspektor podatkowy Wilhelm Klose robił w Siedlęcinie (w tym czasie Boberröhrsdorfie) w późnych latach osiemdziesiątych XIX w. i w jaki sposób dokonał ważnego odkrycia w zachowanej tam średniowiecznej wieży mieszkalnej, pozostaje w sferze domysłów. Pewnym natomiast jest, że nie zdawał sobie sprawy ani z tego, co odsłonięte częściowo przez niego polichromie przedstawiają, ani z ich prawdziwej wartości. Nie wiedzieli tego również pracujący w wieży czterdzieści lat później historycy sztuki i konserwatorzy, którzy odkryli, co prawda, górny pas malowideł, ale błędna interpretacja i niefortunnie przeprowadzone przez nich zabiegi konserwatorskie stanowiły w późniejszym czasie poważną przeszkodę w poprawnym odczytaniu treści całego >>>

Wieża mieszkalna w Siedlęcinie.

fot. Wikimedia Commons

Dekoracja malarska wielkiej sali na drugim piętrze wieży – jedyne na świecie, zachowane *in situ*, ścienne przedstawienie sir Lancelota z Jeziora.

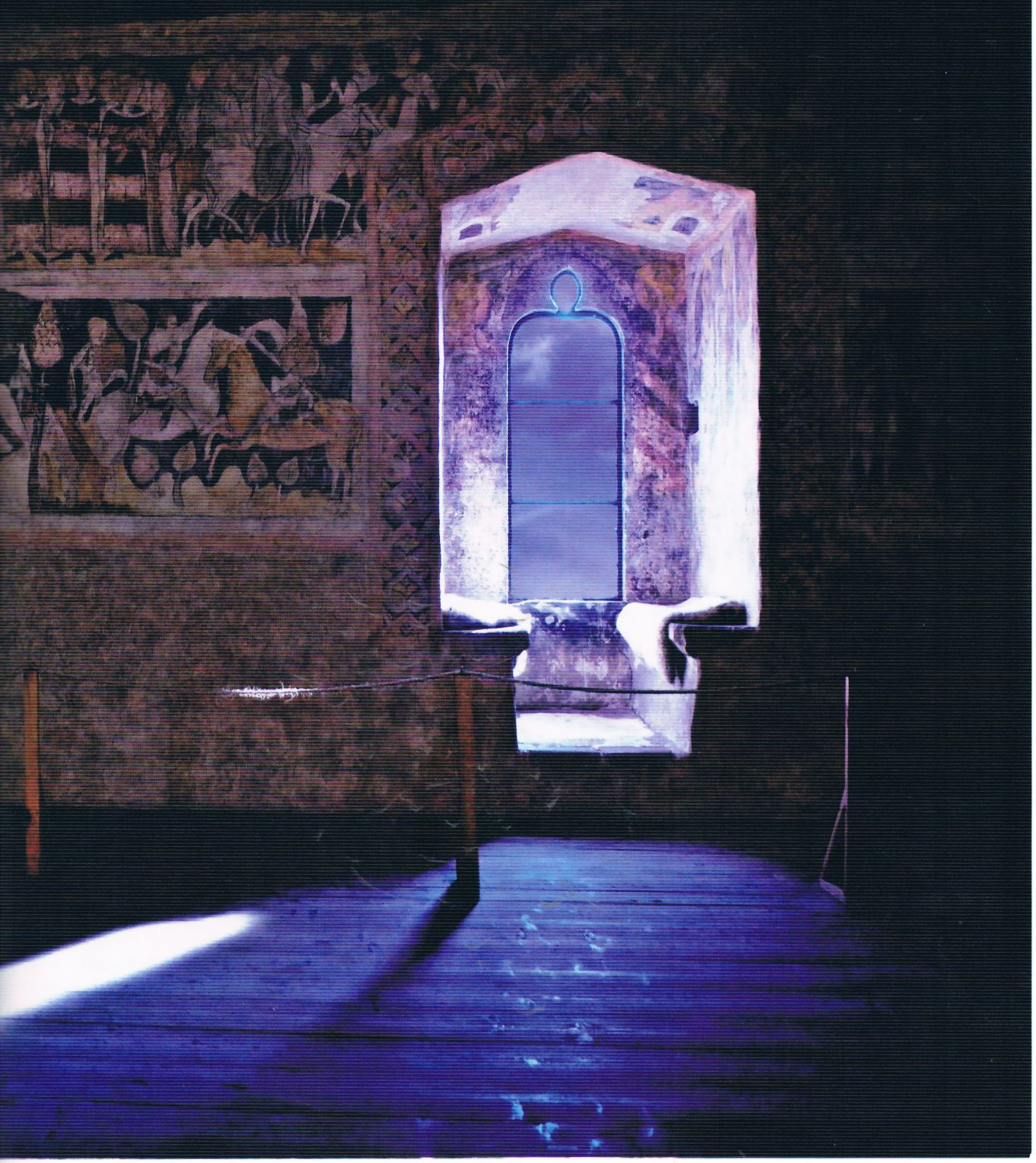

>>> cyklu. Miało upłynąć sto lat nim wrocławski historyk sztuki i wybitny znawca kultury dworskiej, Jacek Witkowski, ustalił, że malowidła zachowane w wielkiej sali na drugim piętrze wieży przedstawiają największego z rycerzy Okrągłego Stołu, sir Lancelota z Jeziora.

Z Szampanii na Śląsk

„Jako że dama moja – która z Szampanii ród swój zacny wiedzie – życzyła sobie, abym opowieść jakowąś jej złożył, czynię to nader ochotnie… To dla niej właśnie Chrétien »Historię Rycerza z Wózkiem« snuć niebawem pocznie. Ale to właśnie hrabina poddała mu przędziwo, myśl jego swoją myślą zacnej okiełznawszy, tak iże on sam od siebie nic tu już więcej nie da, okrom trudu swojego i czujnego baczenia". Pisał pod koniec lat siedemdziesiątych XII w. we wstępie do swego „Le Chevalier de la Charrette (Rycerza z wózka)" Chrétien de Troyes, podkreślając rolę, jaką odegrała w powstaniu romansu jego patronka, hrabina Maria z Szampanii (ur. 1145 r.). To ona dostarczyła i materiał, i wątek główny, przyczyniając się w ten sposób do powstania jednego z najpopularniejszych romansów o tematyce arturiańskiej. Lancelot jako bohater drugoplanowy pojawiał się już we wcześniejszych utworach Chrétiena, jednak to w „Rycerzu z wózka" wystąpił jako bohater główny. Od tej pory historia jego błyskotliwej kariery, rycerskich przygód, ale i moralnego upadku, który doprowadził w rezultacie do końca chwały całego królestwa Logres, spisywana była zarówno wierszem jak i prozą. Stała się prawdziwym bestsellerem literatury średniowiecznej i podbiła dwory Europy Zachodniej. Obok wersji Chrétiena, która stanowiła podstawę niemal wszystkich późniejszych romansów o Lancelocie, do najważniejszych należy „Lancelot en prose – Lancelot Prozą" napisany ok. 1215–1235 r. O popularności romansu świadczą wymownie nie tylko liczne jego wersje (powstałe także poza Francją), ale również ilość po dziś dzień zachowanych, częstokroć ekskluzywnie ilustrowanych, manuskryptów. Samych francuskich datowanych od XIII do XV w. przetrwało ok. 150. Być może jeden z nich dotarł początkiem XIV w. i na Śląsk, gdzie posłużył za inspirację dla twórcy cyklu siedlęcińskiego. Na ślady wpływów arturiańskich na Śląsku natrafiamy już w XIII w. Żaden egzemplarz romansów arturiańskich nie zachował się do naszych czasów, ale o popularności ich bohaterów świadczyć mogą, między innymi, imiona nadawane członkom rodów rycerskich. Mamy więc Iwana, Gawina, Tristana, Parsifala czy Hektora. Pośród rycerstwa ziemi jaworskiej przykładem są bracia Iwan i Walwan von Profen występujący na dworze ojca i stryja księcia Henryka I Jaworskiego – fundatora siedlęcińskiej wieży.

Dwory śląskich książąt, zwłaszcza świdnicko-jaworskich, pozostawały w stałych kontaktach z dworami królewskimi i książęcymi zachodniej Europy. Z pewnością więc nie bez znaczenia były tutaj bliskie związki Bolesława II Rogatki, dziadka Henryka I Jaworskiego, z rodem hrabiów Anhaltu – w roku 1242 poślubił on Jadwigę, córkę Henryka I. To właśnie hrabia Henryk, teść Bolesława, uznawany jest za minnesingera, „księcia Anhaltu" przedstawionego w scenie turniejowej na stronicach Kodeksu Manesse. To także w otoczeniu Bolesława od początku lat pięćdziesiątych XIII w. spotykamy pierwszych przedstawicieli rodu rycerskiego, którego członkowie nosić będą imiona bohaterów romansów arturiańskich i stanowić tym samym żywe dowody znajomości, być może fascynacji książąt i rycerstwa ziemi jaworskiej literaturą piękną i przekazywaną przez nią wizją rycerskiego etosu.

Jednak najwymowniejszym dowodem znajomości i fascynacji romansami o tematyce arturiańskiej oraz tego jak doskonale średniowieczny Śląsk funkcjonował w kręgu zachodnioeuropejskiej kultury dworskiej pozostają tu malowidła zachowane w siedlęcińskiej wieży.

OBEJRZYJ FILMY

Rekonstrukcja faz budowy wieży książęcej w Siedlęcinie

Wieża w Siedlęcinie z zewnątrz i wewnątrz

Staloryt przedstawiający wieżę w Siedlęcinie od południowego zachodu z około 1885 roku (autorstwa Hubera, według rysunku H. Dreschera)

Pomnik trwalszy niż ze spiżu...

Siedlęcin to niewielka miejscowość położona nad Bobrem 5 kilometrów na północny-zachód od Jeleniej Góry, w miejscu, w którym Góry Kaczawskie graniczą z Kotliną Jeleniogórską. To właśnie tutaj, w drugiej dekadzie XIV wieku, Henryk I Jaworski, wnuk wspomnianego Bolesława II Rogatki, wzniósł swą reprezentacyjną siedzibę, która dziś pozostaje jednym z najważniejszych zabytków polskiego i europejskiego średniowiecza.

Henryk, przyszły władca księstwa jaworskiego, przyszedł na świat w latach 1292–96. Kiedy początkiem listopada 1301 roku jego ojciec, Bolko I Surowy zmarł, opiekę nad liczną gromadką małoletnich dziećmi, przejęła matka, księżna Beatrycze, przy współudziale swego brata margrabiego brandenburskiego Hermana, którego reprezentował starosta Herman z Barboy. Owe rządy opiekuńcze trwały do grudnia 1307 r., kiedy to najstarszy z książąt, Bernard [Stateczny], objął samodzielną władzę w księstwie. Miało upłynąć pięć lat nim początkiem roku 1312 drugi w kolejności Henryk rozpoczął niezależne rządy w wydzielonym mu księstwie jaworskim.

Już w pierwszych latach swego panowania książę zainicjował budowę siedziby reprezentacyjnej w dzisiejszym Siedlęcinie. Wzniesiona wówczas z jego inicjatywy wieża mieszkalna pozostaje jednym z najciekawszych przykładów architektury świeckiej w Polsce oraz jednym z największych i najlepiej zachowanych obiektów tego typu na terenie Europy Środkowej. Od późnego średniowiecza przetrwała bez poważniejszych zmian, jest w niej niewiele przekształceń i większość wnętrz wygląda tak jak w drugiej dekadzie XIV w., czyli w czasie, kiedy powstały.

Jeśli wierzyć Wilhelmowi Klosemu, który opisywał wieżę pod koniec lat osiemdziesiątych XIX w. pierwotnie była ona otoczona wysokim na prawie 4 m murem obwodowym i fosą, której pozostałości są widoczne do dziś od strony północnej i wschodniej, a której

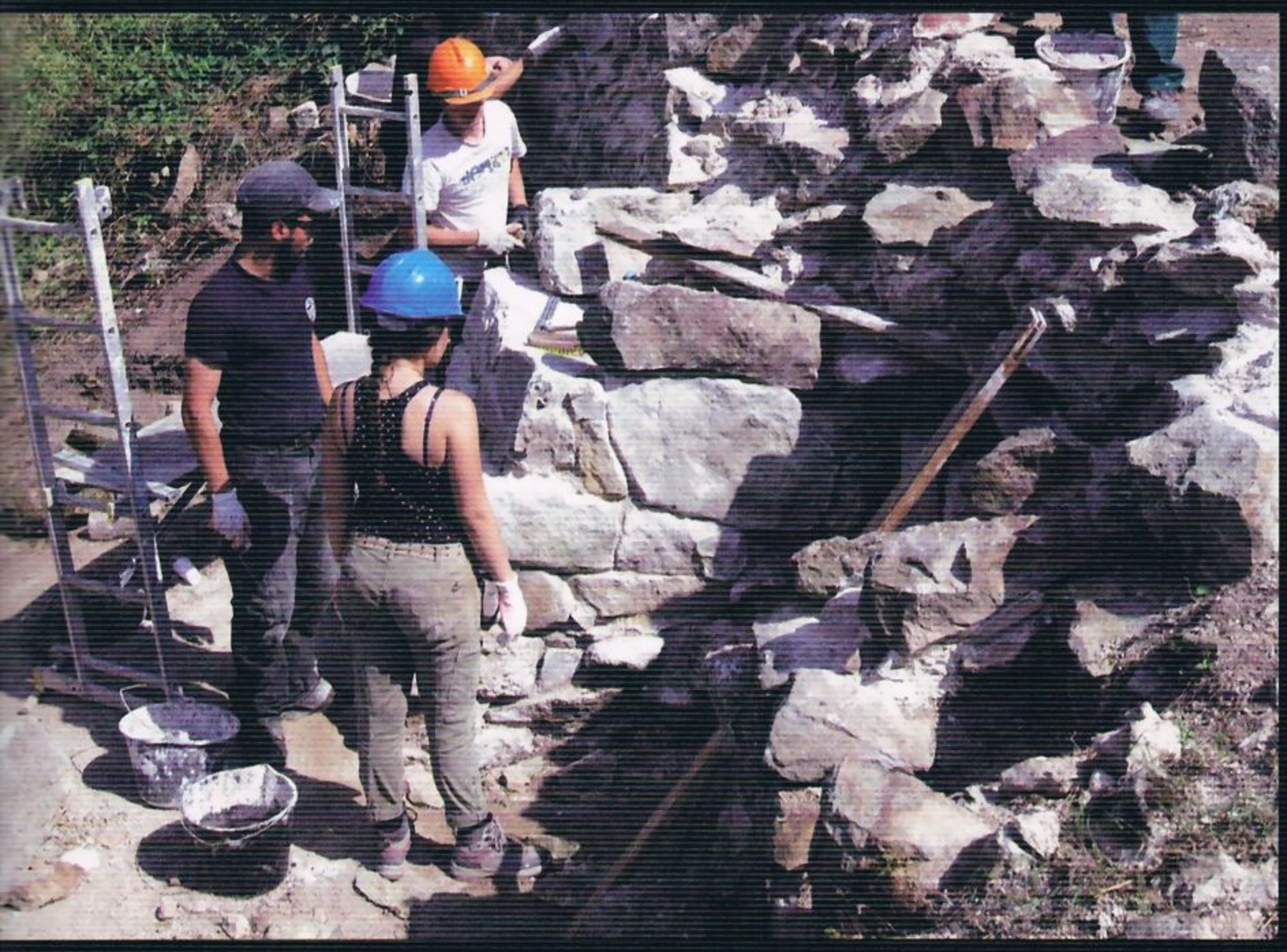

przebieg od strony południowej oraz zachodniej (odcinki zasypane w XIX i na początku XX w.) udało się ustalić podczas badań archeologicznych prowadzonych rokrocznie przy wieży. W sezonach 2010–2011 archeolodzy skoncentrowali się na badaniach we wnętrzu przylegającej do wieży XVIII-wiecznej oficyny dworskiej. To właśnie wykopy założone wówczas w jej południowo-wschodniej części przyniosły odkrycie średniowiecznego muru obwodowego oraz fosy. Należy również wspomnieć, że pierwotnie wieża była zwieńczona krenelażem, którego czytelne ślady są widoczne po dziś dzień w kondygnacji poddasza. Obecnie można w niej również zobaczyć najstarsze w Polsce zachowane stropy drewniane. Eksperty zy dendrochronologiczne wykazały, że drzewa, z których wykonano belki nad jej parterem i I piętrem ścięto w roku 1313, natomiast te, których użyto do wykonania belek nad II i III piętrem w roku 1314.

Już sama skala i wymiary świadczą o wyjątkowości tego obiektu i wyróżniają go spośród innych tego typu zachowanych na Dolnym Śląsku. Większość dolnośląskich wież mieszkalnych to siedziby rodów rycerskich, młodsze i znacznie mniejsze. Ich wymiary wynoszą zazwyczaj 10x10 m, co najwyżej 11x11m/12x12 m, podczas gdy wieża w Siedlęcinie została wzniesiona na planie zbliżonym do prostokąta o wymiarach 22x15 m, a jeśli dodać kilkunastometrowej wysokości więźbę dachową, jej wysokość wynosi ponad 33,3 m, co czyni ją bez wątpienia największą wieżą mieszkalną na Śląsku i jedną z największych na terenie Europy Środkowej.

Młodzi archeolodzy i wolontariusze podczas prac przy naprawie oblicowania grobli, którą przebiegała średniowieczna droga, sierpień 2016.

Kolejnym elementem stanowiącym o absolutnej wyjątkowości tego miejsca jest jego wyposażenie. Z bogatych niegdyś zapewne wnętrz nie zachowało się zbyt wiele, poza malowidłami. Jednak to właśnie one i ich tematyka – wątek główny zaczerpnięty z tak modnych w owym czasie legend arturiańskich – same w sobie świadczą o wysokiej świadomości fundatora i jego funkcjonowaniu w kręgu zachodnioeuropejskiej kultury dworskiej.

Sir Lancelot z... wieży

Malowidła zdobiące południową ścianę wielkiej sali na drugim piętrze wieży są najstarszymi w dzisiejszych granicach Polski malowidłami ściennymi o tematyce świeckiej i jedynymi na świecie, zachowanymi *in situ*, przedstawiającymi historię sir Lancelota z Jeziora, najsłynniejszego z rycerzy Okrągłego Stołu. Jeszcze w XX wieku w północnych Włoszech w wieży Frugarolo w Piemoncie znajdowały się malowidła młodsze o prawie 100 lat od siedlęcińskich, również przedstawiające legendę o Lancelocie, zostały one jednak zdjęte ze ścian wieży i przeniesione do muzeum w Alessandrii koło Turynu. Nie można ich zatem oglądać we wnętrzu średniowiecznego zamku, w którym powstały. Zdecydowanie więc malowidła siedlęcińskie są wyjątkowe, między innymi dlatego, że po dziś dzień można oglądać je w miejscu ich powstania.

Malowidła zostały wykonane techniką „al secco" na pobiale wapiennej i zajmują ponad 32 m² powierzchni ściany. Do tej pory historycy sztuki datowali ich powstanie najczęściej na lata czterdzieste XIV w., łącząc fakt ich nieukończenia być może ze śmiercią fundatora upatrywanego w osobie księcia Henryka (rzeczywiście, poziom artystyczny, kunszt wykonania oraz tematyka arturiańska świadczą wymownie o wysokiej pozycji inicjatora dzieła). Jednak według ostatnich ustaleń (i nadal przyjmując, iż to Henryk był ich fundatorem), dokonawszy wnikliwej analizy elementów uzbrojenia i strojów przedstawionych postaci, eksperci wysunęli tezę, że malowidła mogły powstać już wcześniej – w drugiej, najpóźniej trzeciej dekadzie XIV wieku., kiedy to fascynacje młodego wówczas księcia ideałami rycerskimi musiała być największa. Na udział w ich wykonaniu nieznanego nam z imienia artysty pochodzącego najprawdopodobniej z terenów północno-wschodniej Szwajcarii wskazują bliskie pod względem prowadzenia narracji i stylu wykonania analogie między nimi a malowidłami zachowanymi w katedrze oraz w jednym z domów patrycjatu w Zurychu.

Twórca polichromii mógł przybyć na Śląsk w orszaku żony bratanka księcia Henryka – Agnieszki z Habsburgów. W owym czasie północno-wschodnia Szwajcaria była ważnym i wielkim ośrodkiem kultury, sztuki i poezji dworskiej z centrami w Zurychu i Konstancji. >>>

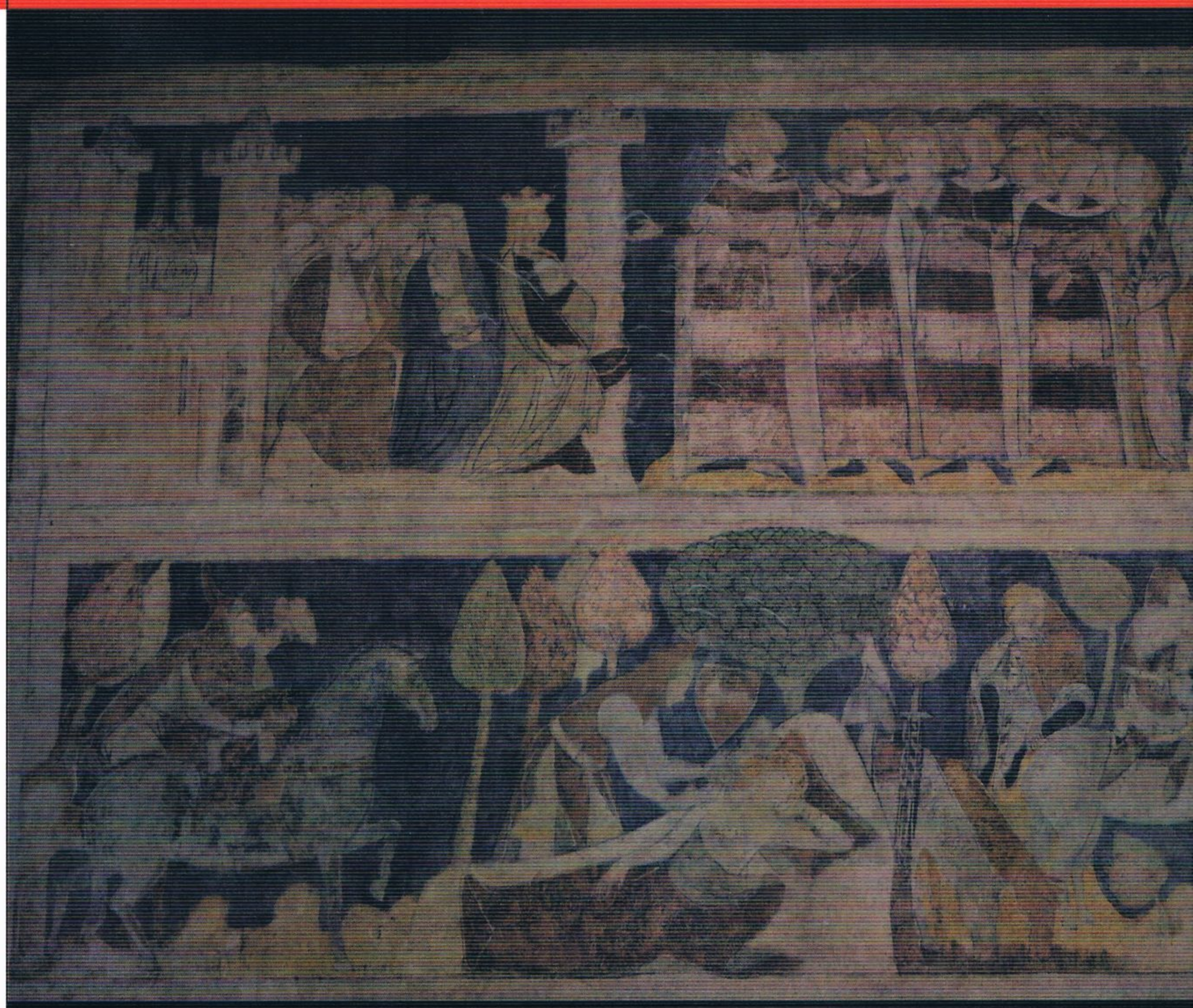

>>> W tych też stronach znajdowały się główne szwajcarskie rezydencje Habsburgów – zamek Habsburg i zamek w Lenzburgu, w którym to księżna Agnieszka miała spędzić część swego dzieciństwa. Jednak jeśli przyjmiemy, że to z nią właśnie przybył twórca siedleckich malowideł, musielibyśmy wtedy uznać jednocześnie, że polichromie te powstały dopiero po 1338 roku. Wydaje się jednak, że związki ze Szwajcarią mogły zaistnieć już wcześniej, kiedy to na jej terenie rozkwitał linearno-idealistyczny styl malowideł, na przykład w Zurychu, gdzie powstał również Kodeks Manesse, w którym sportretowano, między innymi, króla Czech i Polski Wacława II Przemyślidę i Henryka I hrabiego Anhaltu (czyli kolejno teścia i pradziada księcia Henryka I Jaworskiego) oraz wrocławskiego księcia – Henryka IV Probusa.

Od późnych lat osiemdziesiątych XIX w., kiedy to zostały odkryte i częściowo odsłonięte przez Wilhelma Klosego, do lat dziewięćdziesiątych XX w. malowidła pozostawały przedmiotem dociekań ekspertów. Historycy sztuki i literatury średniowiecznej starali się ustalić i odczytać ich treść. Jako pierwszy taką próbę podjął w roku 1918 Paul Knötel, który zinterpretował je jako historię Ywaina, jednego z rycerzy Okrągłego Stołu. W późniejszym czasie zadania z pewnością nie ułatwiały niefortunnie przeprowadzone zabiegi konserwatorów, jak ten w roku 1936, kiedy to Johann Drobek, błędnie interpretując odsłonięte już wówczas w całości malowidła, dokonał przemalowań, zmieniając postaci dam i rycerzy w zakonników. Ostatecznie, w latach dziewięćdziesiątych XX w., historyk sztuki i wybitny znawca średniowiecznej kultury dworskiej Jacek Witkowski ustalił, że na południowej ścianie wielkiej sali na drugim piętrze wieży ukazane zostały dwa z najważniejszych epizodów z życia sir Lancelota z Jeziora. Dolny pas przedstawia wydarzenia, które dały początek dniom jego chwały i doprowadziły do tego, iż został największym z rycerzem Okrągłego Stołu, górny zaś prezentuje wydarzenia, które przyczyniły się do jego moralnego upadku. Lancelot, jak wiemy,

Dekoracja malarska wielkiej sali na drugim piętrze wieży mieszkalnej w Siedlęcinie: królowa Ginewra i jej dwór (górny pas), rycerskie przygody sir Lancelota i jego kuzyna sir Lionela (dolny pas).

zapałał wielkim lecz grzesznym uczuciem do żony króla Artura, swego suwerena. To właśnie przedstawienie wybranki jego serca, królowej Ginewry, w otoczeniu dam dworu przed murami Camelotu otwiera cykl przygód zaprezentowanych w górnym pasie. Przygód, które w ostateczności doprowadziły do zmierzchu i upadku królestwa Artura. Sceny przedstawiające historię Lancelota w połączeniu z przedstawieniem św. Krzysztofa, jednego z trzech – obok św. Jerzego i św. Marcina z Tours – patrona średniowiecznego rycerstwa oraz sceną określaną jako „Memento mori" mają wydźwięk symboliczny i moralizatorski. Św. Krzysztof ma przypominać o wierności Chrystusowi, tym samym wierności ideałom wyznawanym przez każdego rycerza chrześcijanina. Lancelot z kolei jest przykładem tego, który zawiódł i zdradził, i z powodu grzesznej miłości do żony swego suwerena wierności owej nie dochował.

W roku 2006 z inicjatywy nowego właściciela wieży, Fundacji „Zamek Chudów", malowidła, które były już w bardzo złym stanie, zostały poddane kompleksowej konserwacji, dzięki czemu nie tylko ocalały, ale udało się również przybliżyć ich chronologię oraz odsłonić niektóre ich partie. Dziś zachwycają kunsztem wykonania oraz bogactwem kolorów, przyciągając nie tylko historyków sztuki, architektury czy archeologów, ale także turystów i wolontariuszy z Polski i zagranicy…

Archeologia i wolontariat

… jak, na przykład, młodego mieszkańca Orleanu, Tristana Thomasa, który planował spędzić wakacje 2016 w sposób ciekawy i pożyteczny, co oznaczać miało, między innymi, wolontariat. Kiedy więc nadarzyła się okazja, by pojechać do Polski, na Dolny Śląsk, decyzję podjął niemalże natychmiast. XIV-wieczna wieża mieszkalna w Siedlęcinie została właśnie, jako pierwszy w historii zabytek na ziemiach polskich, zaproszona do współpracy przez francuską organizację REMPART i wydała się Tristanowi wymarzonym miejscem do realizacji wakacyjnych planów. Przybył do niej na początku sierpnia, w pierwszej grupie wolontariuszy. Ze swym arturiańskim imieniem, w bliskości unikatowych malowideł przedstawiających sir Lancelota z Jeziora, czuł się w Siedlęcinie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Miał okazję pomóc nie tylko w naprawie fragmentu oblicowania grobli, którą przebiegała średniowieczna droga, ale także w trwających w tym samym czasie badaniach archeologicznych pod patronatem Instytutu Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przy okazji dowiedział się, że pierwsze prace wykopaliskowe przeprowadzono w otoczeniu wieży jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, w roku 1937, a ich ówczesny zasięg udało się później określić w roku 2009. Zapoznał się również z najnowszą historią odbywających się corocznie badań, które od roku 2008 do tej pory przyniosły wiele nowych i fascynujących informacji. Jednym z najważniejszych odkryć było odsłonięcie reliktów średniowiecznej ściany działowej, ukazującej pierwotny podział wnętrza parteru wieży. Badania prowadzone na zewnątrz pozwoliły ustalić przebieg fosy od strony południowej oraz zachodniej. Odsłonięto również wczesnonowożytny mur oporowy fosy z dwiema masywnymi przyporami i zlokalizowano nowożytny most. Każdy kolejny sezon przynosił nowe odkrycia. Założenie wykopów w południowo-wschodniej części przylegającej do wieży XVIII-wiecznej oficyny dworskiej zaowocowało odkryciem średniowiecznego muru obwodowego (pierwotnie otaczającego wieżę), średniowiecznej fosy oraz narożnika pierwotnego – prawdopodobnie XVI-wiecznego dworu. Odsłonięto XVII-wieczny kamienny most, który prowadził nad fosą przez sień dworu na wewnętrzny dziedziniec, z którego wchodziło się do wieży. Zinwentaryzowano także nasyp, którym wiodła droga z wieży mieszkalnej do kościoła parafialnego. W 2014 roku otwarto niewielki rezerwat archeologiczny, sukcesywnie wzbogacany o zabytki i plansze informacyjne. Rok później, po raz pierwszy zorganizowano Dzień Archeologa, czyli dzień otwarty, w którym to każdy, bez względu na wiek, mógł podpatrzeć archeologów przy pracy, jak również spróbować swych sił, biorąc czynny udział w badaniach bądź ich dokumentowaniu. W czasie 9. sezonu wykopalisk, w roku 2016, w którym miał okazję uczestniczyć i Tristan, rozpoznano oraz odsłonięto części wieży bramnej w średniowiecznym systemie obronnym wieży mieszkalnej.

Liczne zabytki odkryte podczas prac prezentowane są na wystawie archeologicznej (systematycznie rozbudowywanej od roku 2011) na parterze wieży. Niedawno, w ramach programów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Polski oraz z inicjatywy powołanego w 2010 roku Stowarzyszenia „Wieża Książęca w Siedlęcinie", ukazała się publikacja podsumowująca wyniki dotychczasowych badań archeologicznych prowadzonych w wieży i jej najbliższym otoczeniu. Również dziesiąty już sezon wykopalisk, zaplanowany na sierpień 2017 roku, przyniesie z pewnością nowe fascynujące odkrycia. <

Katarzyna Ogrodnik-Fujcik
Anglistka, tłumaczka, z zamiłowania mediewistka, entuzjastka sztuki i literatury średniowiecza, pierwszych Plantagenetów oraz Henryków śląskich, autorka polsko- i anglojęzycznych blogów o tematyce historycznej.

LITERATURA

ALLAIRE GLORIA, **Arthurian Art in Italy w The Arthur of the Italians: the Arthurian Legend in Medieval Italian Literature and Culture pod red. Allaire Gloria i Psaki F. Regina**, Cardiff 2014.
CETWIŃSKI MAREK, **Początki rodów rycerskich ziemi jaworskiej w Śląski Tygiel**, Częstochowa 2001.
CHRÉTIEN Z TROYES, **Rycerz z wózka czyli historia imć Pana Lancelota**, Kraków 1996.
DUCZMAL MAŁGORZATA, **Ryksa Piastówna. Królowa Czech i Polski**, Poznań 2010.
JASIŃSKI KAZIMIERZ, **Rodowód Piastów Śląskich**, Tom II, Wrocław 1975.
KARŁOWA-KAMZOWA, ALICJA, **Gotyckie malarstwo ścienne w Polsce**, Poznań 1984.
MAREK LECH, NOCUŃ PRZEMYSŁAW, **Knights of the Round Table of the Tower in Siedlęcin, Silesia**, (w:) Acta Militaria Mediaevalia t. IX (red. P. Kotowicz), Kraków-Rzeszów-Sanok 2013.
MCCASH JUNE HALL, **Chrétien's Patrons w A Companion to Chrétien de Troyes pod red. Norris J. Lacy i J. T. Grimbert**, Cambridge 2008.
wiezasiedlecin.pl – oficjalna strona Stowarzyszenia „Wieża Książęca w Siedlęcinie"
WITKOWSKI JACEK, **Książę i dama na turnieju. Przejawy obyczajowości turniejowej w sztuce śląskiego średniowiecza**, „Quart" 2010, nr 1(15).
WITKOWSKI JACEK, **Szlachetna a wielce żałosna opowieść o Panu Lancelocie z Jeziora**, Wrocław 2002.

fot. sekulada.com

BAKTERIE MADE IN POLAND

ADAM GAAFAR

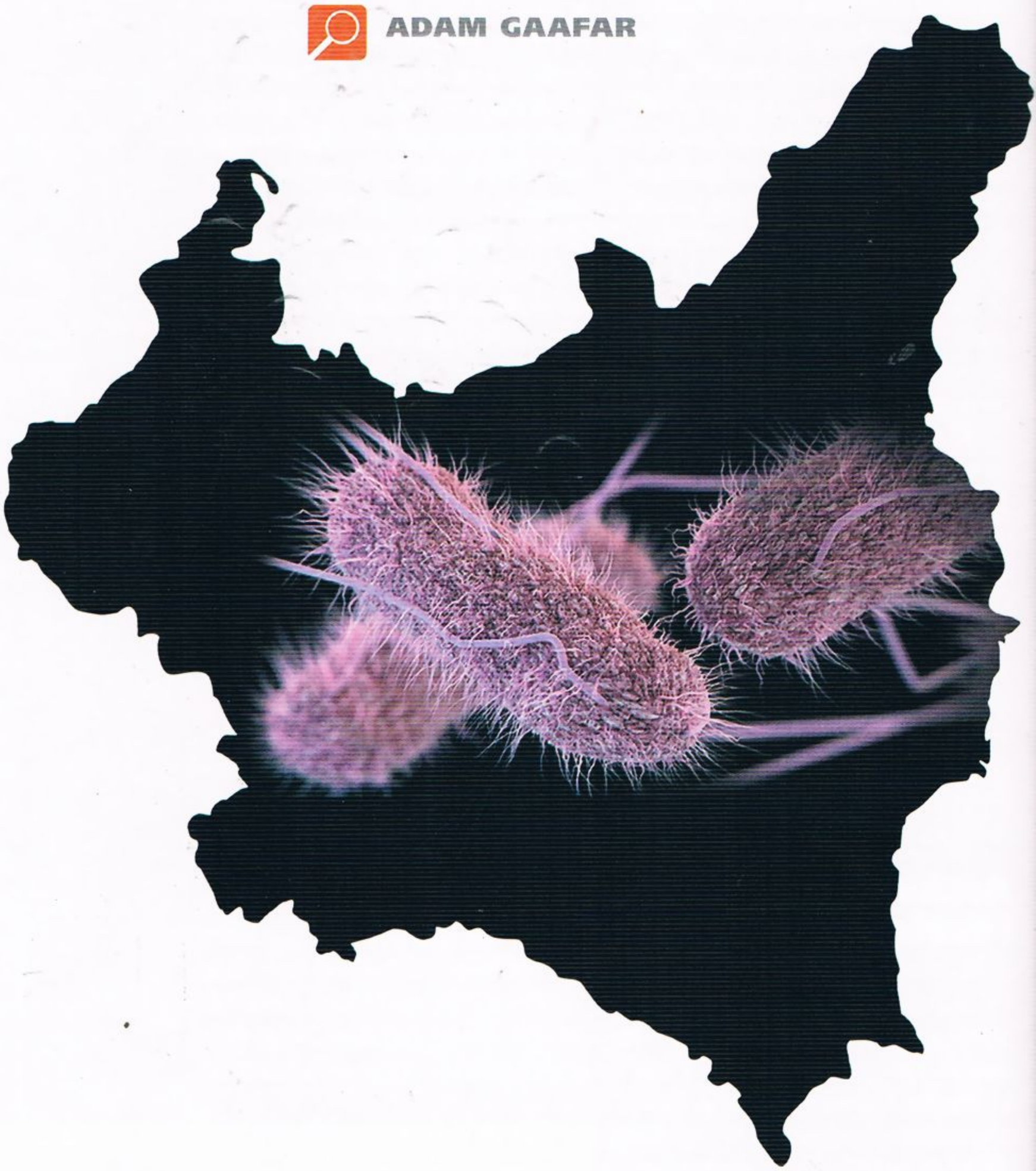

Istnieją przesłanki świadczące o tym, że w II RP prowadzono badania nad bronią biologiczną. Działania toksyn nie wahano się sprawdzać na więźniach – głównie schwytanych szpiegach.

Przed kilkoma laty historyk i publicysta Andrzej Krajewski odkrył, że broń biologiczna była w centrum zainteresowania przedwojennych polskich bakteriologów. Wyniki swojej kwerendy przedstawił w artykule „Kanapka ze śmiercią", opublikowanym na łamach magazynu „Focus Historia". Dokumenty, do których dotarliśmy, potwierdzają, że pracownicy Oddziału II Sztabu Generalnego (polskiego wywiadu) poświęcali dużo uwagi kwestii „wojny bakteriologicznej". Z materiałów tych wyłania się niezwykle intrygujący obraz nieznanych dotąd obszarów działalności sanacji. I nie tylko – pewne tropy wiodą również do grupy, która miała stosować bakterie do walki z niemieckim okupantem.

Niepokojące prognozy

Naukowcy zatrudnieni w Referacie Technicznym – jednostce badawczej polskiego wywiadu – z niepokojem monitorowali badania prowadzone przez bakteriologów z sąsiednich państw. „Niemcy, którzy jako pierwsi zastosowali broń chemiczną, chcą przy zastosowaniu broni bakteriologicznej znowu być pierwszymi" – pisali polscy naukowcy w 1938 roku w sprawozdaniu „Wojna bakteryjna". Ich pozostałe ustalenia również nie napawały optymizmem. „Abstrahując od pojedynczych wypadków w wojnie światowej 1914–1918, broń bakteriologiczna nie była jeszcze zastosowana w dużych wymiarach. Nie może jednak podlegać jakiejkolwiek wątpliwości, że w następnej wojnie światowej z broni tej zostanie zrobiony użytek, ponieważ wybija się ona dużym niebezpieczeństwem obok taniości, gdyż produkcja bakteryj chorobotwórczych nie wymaga budowania nowych fabryk"– alarmowali uczeni. Twierdzili, że narodowi socjaliści od dawna przygotowują ideologicznie naród niemiecki do tego typu wojny. Szczególne prace w tym zakresie miał ich zdaniem poczynić

www.odkrywca.pl

Heinrich Himmler. „Zaufany Hitlera, szef Gestapo, Himmler, wynalazł bombę do bakteryj o specjalnej konstrukcji. Może ona automatycznie /po nastawieniu mechanizmu zewnętrznego/ rozpylać kultury bakteryjne" – czytamy w raporcie.

Trudno sobie wyobrazić, aby w obliczu takiego zagrożenia polscy naukowcy nie podjęli badań nad potencjalnymi możliwościami zastosowania tego rodzaju broni. Przytaczany przez Krajewskiego dr Jan Golba – lekarz i mikrobiolog zatrudniony w Oddziale II – stwierdził po wojnie, że prowadzenie prac zmierzających do powstawania coraz groźniejszych szczepów bakterii było konieczne, ponieważ pozwalało przewidzieć posunięcia przeciwnika i – co za tym idzie – umożliwiało skuteczną obronę.

Incydent w Verdun

17 marca 1933 roku polska prasa codzienna donosiła o wybuchu tajemniczej epidemii w szeregach francuskiego garnizonu stacjonującego w Verdun. Oddział II interweniował błyskawicznie. Zlecił jednemu ze swoich ludzi, aby uzyskał w tej sprawie opinię paryskiego epidemiologa, z którym od dawna pozostawał w stałym kontakcie. Wszystkie informacje miały być na bieżąco przekazywane dr. Golbie.

Z uzyskanej ekspertyzy wynikało, że incydent był niegroźny: doszło do zatrucia pokarmowego, które zostało opanowane przez francuskich lekarzy w przeciągu doby. Pewna rzecz wzbudzała jednak spore wątpliwości: żołnierze zatruli się bakterią paratyfusu B, podczas gdy w tym rejonie spotykało się głównie typ A. W raporcie Oddziału II znalazło się zalecenie, aby nie bagatelizować w przyszłości podobnych przypadków, ponieważ zatrucie mogło powstać wskutek działania obcych służb, testujących w ten sposób możliwości osłabienia francuskiej armii.

Wzmożona czujność polskiego wywiadu miała też swoje odbicie w kontaktach handlowych. Referat Techniczny podawał w raporcie z 1934 roku, że po zakończeniu wojny celnej niemieccy przedsiębiorcy przygotowują się wyraźnie do ekspansji na polski rynek. Sugerowano, że warto skorzystać z tych ofert, z wyjątkiem propozycji składanych przez firmy farmakologiczne. Powód wydawał się racjonalny: gdyby wybuchła wojna, Niemcy mogliby łatwo wprowadzić groźne bakterie do materiałów opatrunkowych. Dlatego – zdaniem uczonych – polski przemysł farmakologiczny musiał być w pełni niezależny.

Wykorzystanie bakterii w ten sposób musiało stanowić realne zagrożenie, skoro znalazło się nawet w planach japońskich militarystów, prowadzących ówcześnie najbardziej zaawansowane badania nad bronią biologiczną. „Nisi zeznał, że japoński inżynier Tanaka skonstruował specjalną laseczkę do przenoszenia zarazków dżumy, płk. Ooto zaś wyprodukował specjalną „czekoladę" nadziewaną bakteriami wąglika i przeznaczoną do celów dywersyjnych" – donosił 29 grudnia 1949 roku „Dziennik Polski", relacjonujący proces japońskich naukowców w Chabarowsku. Na tej samej rozprawie ostatni dowódca Armii Kwantuńskiej, gen. Yamada Otozo, przyznał, że akcje dywersyjne miały być jedną z trzech – obok rozpylania bakterii z samolotów i zrzucania bomb bakteriologicznych – zasadniczych metod prowadzenia wojny biologicznej.

Dżuma nad Wisłą?

Przed wojną nie brakowało jednak opinii, że broni biologicznej nie da się wykorzystać w warunkach bojowych. Naukowcy zatrudnieni w Oddziale II byli innego zdania. „Od czasu do czasu wygłaszają w prasie, względnie prasie fachowej propaganda niemiecka i różni laicy, a nawet fachowi bakteriolodzy – twierdzenie, jakoby wojna bakteriologiczna praktycznie nie była wykonalną, a gdyby nawet, to byłaby obosieczną dla napastnika, gdyż epidemia mogłaby od nieprzyjaciela zwrócić się ku niemu samemu. (...) Jest to jednak nieprawdziwe" – napisali w raporcie z 1938 roku.

W Oddziale II kwestionowano również tezy niektórych zagranicznych ekspertów, zgodnie z którymi bakterie nie mogły być wystrzeliwane z pocisków lub granatów, ponieważ w wyniku eksplozji i związanego z nią gorąca, od razu by wymarły. Polscy bakteriolodzy zauważyli, że zarazki można rozpylać z samolotów, zamykając je w małych szklanych kuleczkach. W ten sposób nie mogły one zagrozić atakującemu, a do tego były odporne na czynniki atmosferyczne i działanie wysokiej temperatury.

Dur brzuszny (łac. typhus abdominalis), zwany dawniej tyfusem lub tyfusem brzusznym – ogólnoustrojowa choroba bakteryjna wywołana Gram-ujemnymi pałeczkami Salmonella enterica, serotyp Typhi (Salmonella Typhi).

Zbliżoną do tej propozycji metodę zastosowali jednak dopiero japońscy naukowcy z owianej złą sławą Jednostki 731. Ówczesny szef kompleksu, mikrobiolog Shiro Ishii, wpadł na pomysł, aby umieścić skażony ryż oraz przenoszące dżumę

Polscy bakteriolodzy twierdzili, że Heinrich Himmler stworzył projekt specjalnej bomby przenoszącej zarazki.

pchły w specjalnych porcelanowych kulach, które po zrzuceniu z samolotów roztrzaskają się o grunt. Wynalazek ten, nazwany bombami porcelanowymi Ishii'ego, można uznać za jedną z pierwszych broni biologicznych masowego rażenia, zastosowanych podczas II wojny światowej. Następni byli Sowieci, którzy w 1942 roku zrzucili z samolotów zarazki tularemii na atakujące Stalingrad oddziały III Rzeszy. Manewr ten potwierdził w praktyce tezy z lat 30. – po kilku tygodniach „niewidzialni sprzymierzeńcy" zwrócili się przeciwko czerwonoarmistom. >>>

fot. Bundesarchiv, Bild 152-11-12 / CC-BY-SA 3.0 (via Wikimedia Commons)

>>> Intryguje, że pracownicy Oddziału II brali pod uwagę wykorzystanie bakterii dżumy przez inne państwa na długo przed powstaniem japońskich bomb porcelanowych. W 1934 roku złożono na ręce szefa Departamentu Lotnictwa, gen. Ludomiła Rayskiego, meldunek, w którym stwierdzono: „Obecnie wyczuwa się duże zainteresowanie wśród bakteriologów rosyjskich, niemieckich, włoskich i innych, bakterjami dżumy, cholery, nosacizny, gorączki maltańskiej itp. chorób zakaźnych. Bakterje te są brane pod uwagę jako broń, która będzie stosowana do napadu i do dywersji". W dalszej części przekonywano: „W celu zabezpieczenia się przed tą chorobą powstaje konieczność zbadania czy w Polsce wybuch epidemji dżumy jest możliwy i w jakich częściach kraju. Tereny nadające się do dywersji bakterjami dżumy muszą posiadać odpowiednie warunki klimatyczne, tj. temperaturę powietrza – 17° i wilgotność 40%".

Wobec konieczności zachowania konspiracji gen. Rayski miał zwrócić się do Państwowego Instytutu Meteorologicznego z rozkazem sporządzenia wykresu klimatycznego na potrzeby lotnictwa. Nie wiemy niestety, czy badanie zostało ostatecznie przeprowadzone, ani jaki był jego wynik. Jest za to niemal pewne, że nie prowadzono żadnych doświadczeń nad przechowywanymi w polskich laboratoriach zarazkami dżumy. Uważano, że badania te byłyby nie tylko ryzykowne, ale również bezcelowe, gdyż choroba jest już dobrze poznana.

Dogonić i wyprzedzić

Aby lepiej zrozumieć, dlaczego polskie służby obawiały się wybuchu wojny biologicznej, trzeba wrócić do drugiej połowy lat 20. XX w., kiedy pojawiły się pierwsze wzmianki o radzieckich badaniach nad mikrobami. Niepokój budziły zwłaszcza informacje, z których wynikało, że ZSRR nie przerwało prac nad zarazkami pomimo podpisania konwencji genewskiej, zakazującej stosowania broni chemicznej i biologicznej. Co więcej, w polskich jednostkach wojskowych regularnie występowały masowe zatrucia salmonellą. Podobnie jak w przypadku późniejszego incydentu z Verdun, powiązano te zdarzenia z zaplanowanymi akcjami Niemców i Sowietów.

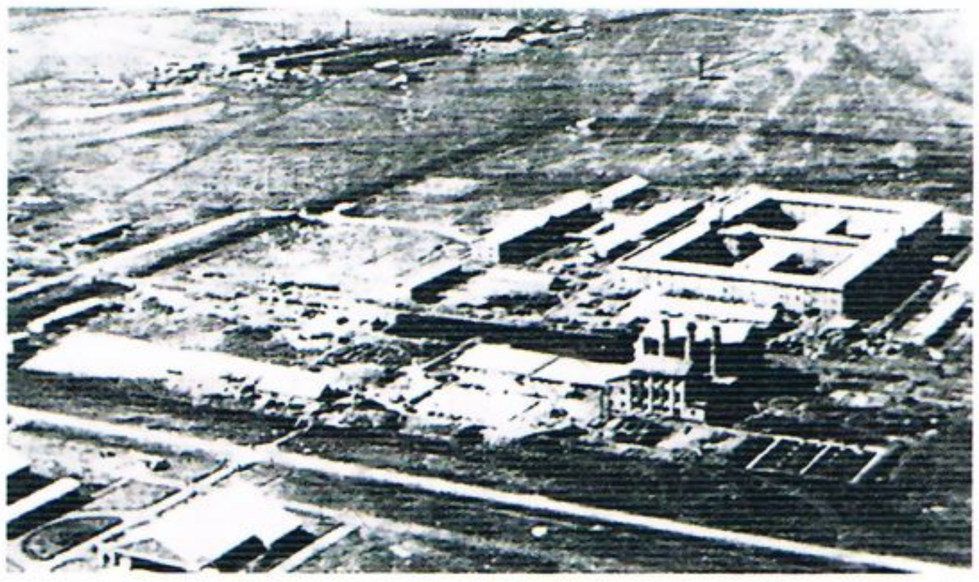

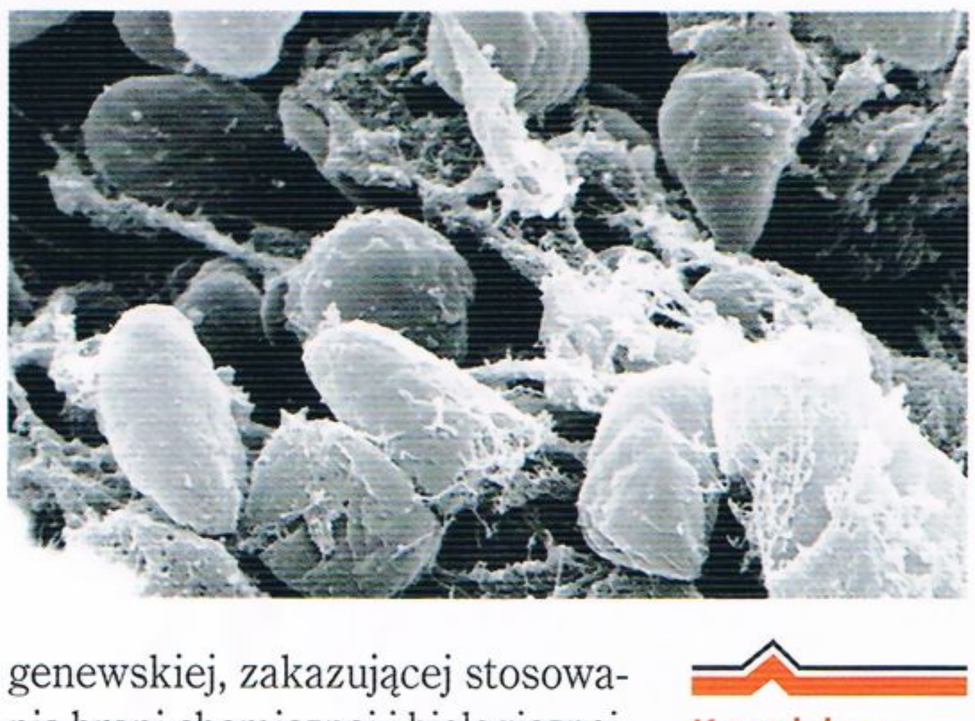

Kompleks w Pingfang zajmowany przez Jednostkę 731.

Ofiara japońskich medyków z Jednostki 731.

Dżuma – choroba ta wywołana jest infekcją G(-) względnie beztlenowych pałeczek z rodziny Enterobacteriaceae nazwanej Yersinia pestis.

Doniesienia o niebezpiecznych działaniach Sowietów znalazły się również w raportach japońskiego wywiadu, z którym Polacy współpracowali na obszarze ZSRR od 1925 roku. Oficerowie polskiego wywiadu zdawali sobie sprawę, że nie mogą pozostać w tyle za potencjalnym wrogiem. Pod egidą Oddziału II powołano w Instytucie Przeciwgazowym w Warszawie tajne laboratorium. Zatrudniono w nim czteroosobowy zespół naukowców, który zajmował się badaniem toksyn wytwarzanych przez zarazki. W 1933 roku kierownikiem placówki został wspominany już dr Jan Golba. Niezwykle zdolny, ceniony przez naukowe autorytety w kraju i za granicą. Do tego świetnie zorganizowany. Podejmując się pracy dla polskiego wywiadu, pełnił jednocześnie obowiązki lekarza Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Hoszcza" oraz asystenta światowej sławy bakteriologa dr. Ludwika Hirszfelda w Państwowym Zakładzie Higieny. W 1934 roku dr Golba pracował już w strukturach Oddziału II, obejmując stanowisko kierownika pracowni bakteriologicznej Referatu Technicznego.

Zatrudniona w laboratorium dr Janina Gerbarska-Mierzwińska opracowała wkrótce metodę przechowywania zarazków poprzez ich odwodnienie. Naukowcom udało się ponadto uzyskać sproszkowany jad kiełbasiany. Dr Golba poświęcał natomiast wiele czasu badaniom nad tyfusem. Uważał, że to właśnie on będzie głównym mikrobem stosowanym w potencjalnej wojnie biologicznej. Córka dr. Golby, Krystyna Mikke, wspominała w rozmowie z Krajewskim, że ojciec często przynosił groźne patogeny do domu. „Kiedyś kot strącił szklaną probówkę z bakteriami. Spadła i rozbiła się. (…) Gdy ojciec przyszedł po godzinie, mówię mu, co się stało, a ten za głowę się złapał i w krzyk: »To był tyfus!«. I potem był strach w domu, czy rodzina się zaraziła tyfusem, czy nie" – mówiła.

Oddział II nie ograniczył się wyłącznie do małego laboratorium. W 1935 roku przeorganizowano jednostkę badawczą wywiadu, powołując Samodzielny Referat Techniczny. Jego szefem został kpt. Ignacy Harski. W dokumentach komunistycznych prokuratorów, którzy po wojnie planowali osądzić pracowników naukowych polskiego wywiadu, znalazły się informacje, że

fot. Ludomił Rayski – Domena publiczna (Wikimedia Commons)

www.odkrywca.pl

prowadzono tu badania nad bakteriami salmonelli oraz pałeczkami czerwonki.

Testy na ludziach

Kreatywność dr. Golby okazała się dla nowo powołanej jednostki niezwykle cenna. Pewnego razu zgłosił się do Jana Kobusa, kierownika pracowni mechanicznej SRT, aby zainstalował na ramie podwozia samochodu kompresor z rozpylaczem. Powód? Planował rozpylić niezagrażające życiu i zdrowiu bakterie w kilku miejscach w Warszawie, aby sprawdzić czy wróg może zaatakować miasto w ten sposób. Eksperyment wydawał się zatem słuszny. Kontrowersje wzbudzają już za to doświadczenia z groźnymi bakteriami, które były rzekomo prowadzone na więźniach.

W 1933 roku Alfons Ostrowski –poprzednik Golby na stanowisku szefa tajnego laboratorium – udał się do garnizonu Korpusu Ochrony Pogranicza w Łuńcu. Przyprowadzono mu sowieckiego szpiega. Ostrowski poczęstował go kanapką z kiszką pasztetową, do której zaaplikował toksynę butolinową. Szpieg zmarł po dwóch dniach. Z protokołów UB, do których dotarł Krajewski, wynika, że Ostrowski powtórzył eksperyment w placówce KOP w Głębokiem. Tym razem kanapka z pasztetem zawierała jad kiełbasiany. Trucizna okazała się jednak nieskuteczna. Po jej spożyciu więzień cierpiał, ale nie umarł. Po jakimś czasie przeprowadzania doświadczeń na ludziach zaczęto domagać się również od dr. Golby, który miał za sobą kilka udanych testów na zwierzętach. Po wojnie zeznał, że wykonał kilka prób na więźniach, dostarczanych mu do stacji doświadczalnej w Brześciu >>>

Ludomił Rayski miał wziąć udział w akcji, której celem było sprawdzenie możliwości zaatakowania Polski bakteriami dżumy.

Ppłk Józef Skrzydlewski miał dostarczać dr. Golbie jeńców do eksperymentów.

REKLAMA

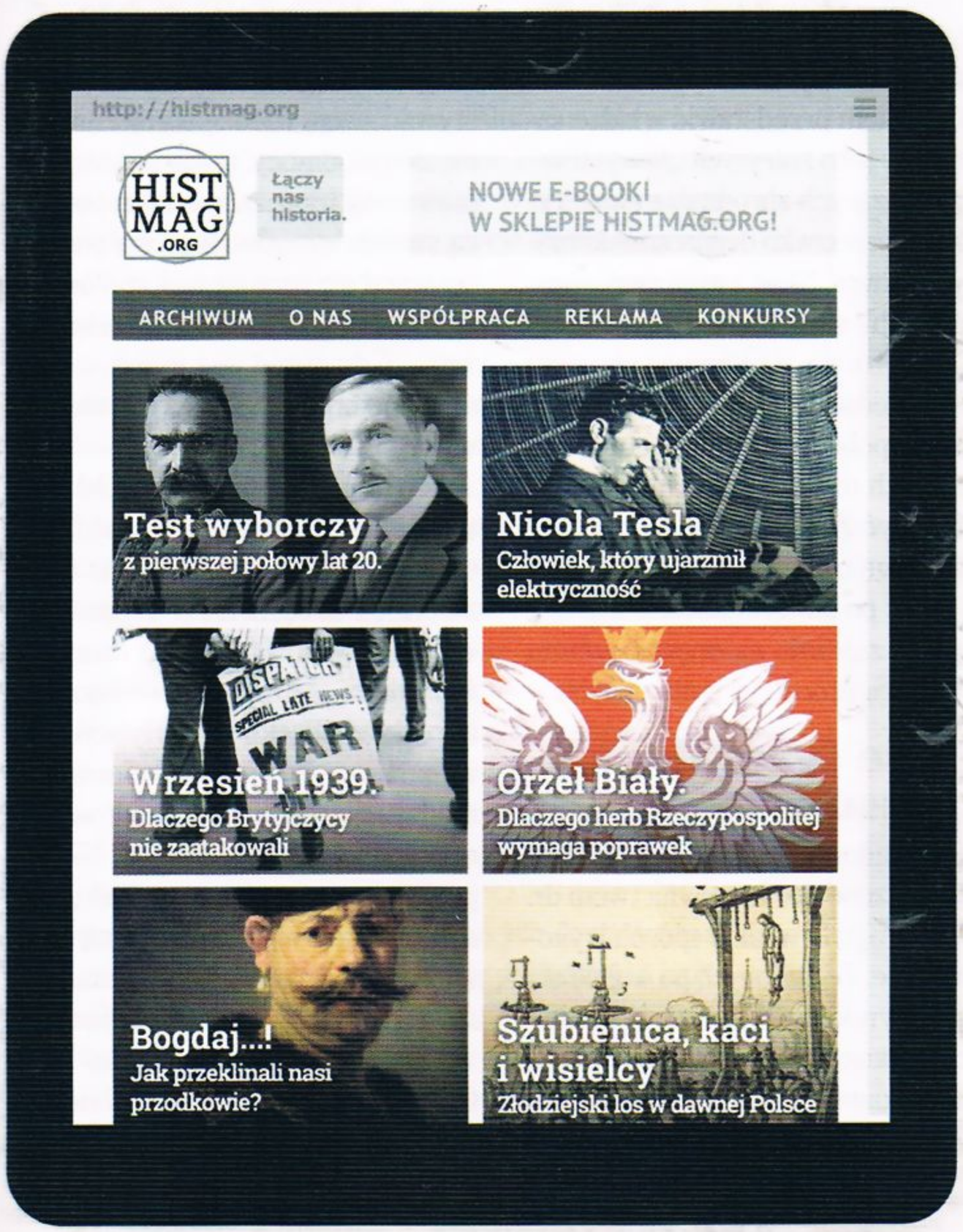

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

Brama Fortu VII w Poznaniu – w czasie okupacji niemieckiego obozu koncentracyjnego i więzienia Gestapo.

>>> nad Bugiem przez ppłk. Józefa Skrzydlewskiego. Golba miał umieszczać ich w komorze ciśnieniowej, do której wpuszczał zarazki tyfusu. „Przed dokonaniem doświadczeń moi przełożeni stwierdzili, że osoby, na których mają być dokonywane próby, są nieodwołalnie skazane na śmierć" – przekonywał uczony. Jak trafnie zauważa jednak Krajewski – nie sposób ocenić czy zeznania złożone przez Golbę i innych naukowców były prawdziwe, czy też wymuszone przez stalinowskich śledczych.

Proces polskich bakteriologów był szykowany przez komunistyczne władze od końca 1951 roku. Gdy zebrano już dość obszerny materiał dowodowy, nadeszło niespodziewanie pismo od Rady Ministrów ZSRR, w którym nakazano Bierutowi zaniechać pokazowego procesu. Stanęło na tym, że we wrześniu 1953 roku odbyła się tajna rozprawa jedynie czterech pracowników SRT: Golby, Ostrowskiego, Kobusa i Garbarskiej-Mierzwińskiej. Można się zastanawiać, dlaczego Moskwa postanowiła uciszyć tę sprawę. Tym bardziej, że proces japońskich wojskowych z grudnia 1949 roku był wykorzystywany przez propagandę wszystkich państw bloku wschodniego. Wystarczy napisać, że tytuł wspomnianego wcześniej artykułu z „Dziennika Polskiego" sugerował, że broń bakteriologiczna Cesarstwa była przygotowywana przede wszystkim przeciwko ZSRR.

Proces naukowców z Oddziału II był więc bez wątpienia korzystny z punktu widzenia Kremla i peerelowskich prominentów. Pozwalał bowiem przedstawić władze sanacyjne jako kolejnych „faszystów" prowadzących zbrodnicze eksperymenty przeciwko działaczom komunistycznym. Skąd zatem taka – wydawałoby się – nieroztropna decyzja? Możliwe, że Sowieci obawiali się przedstawienia przez pracowników polskiego wywiadu niewygodnych materiałów, które mogły obciążyć ZSRR. Krajewski zwraca uwagę na jeszcze jedną ewentualność: po śmierci Stalina nikomu już nie zależało na organizowaniu głośnych procesów politycznych.

Dwie łyżeczki tyfusu

Nie wiadomo, czy eksperymenty prowadzone pod kierownictwem dr. Golby zostały w jakiś sposób wykorzystane. Ze spisanych po wojnie relacji wynika za to, że zarazki były stosowane podczas okupacji przez zespół działający na terenie Poznania. 8 stycznia 1943 roku, tuż przed godziną 10:00, w mrocznych kazamatach Fortu VII prowadzono na szubienice 24 mężczyzn. Wszyscy należeli do Związku Odwetu – sabotażowo-dywersyjnej organizacji powołanej do walki z okupantem. Znajdował się wśród nich ppor. dr med. Franciszek Witaszek – cenion y w Poznaniu lekarz i przywódca grupy. Po wykonaniu egzekucji jeden z niemieckich profesorów poprosił o dekapitację Witaszka. Głowę umieszczono w słoju z formaliną, na który naklejono etykietkę z informacją, że należy ona do inteligentnego seryjnego mordercy.

„Na czym polegała działalność mojego męża – wspominała w 1958 roku Halina Witaszek – do czasu aresztowania nie wiedziałam. Później dopiero zorientowałam się w charakterze jego konspiracji. Działalność jego polegała na wojnie bakteriologicznej z Niemcami, stosowaniu środków chemicznych i udzielaniu informacji dotyczących materiałów wybuchowych i amunicji".

Początkowo dr Witaszek się wahał. Zastanawiał się, czy jako lekarz, który przysięgał, że będzie wykorzystywać swoją wiedzę wyłącznie do niesienia pomocy, posiada moralne prawo, aby teraz zabijać za jej pomocą swoich wrogów. Jego wątpliwości starał się rozwiać biskup Walenty Dymek, który miał go przekonywać: „Gdy naród jest mordowany, musi się bronić wszystkimi możliwymi środkami".

Członkowie Związku Odwetu mieli początkowo wcierać bakterie w poręcze schodów w niemieckich urzędach i w szpitalach wojskowych. Halina Witaszek twierdziła, że zarazki powodowały rozkład nerek i nie były wyczuwalne bezpośrednio po śmierci. Jej deklaracji nie da się jednak w żaden sposób zweryfikować. Nieco pewniejsze – mające potwierdzenie również w dokumentach gestapo – są wzmianki o zakonspirowanych kelnerach, pracujących w lokalach oznaczonych jako Nur für Deutsche („Tylko dla Niemców"). „Organizacja docierała do

fot. Radomil (Praca własna) [GFDL 1.2 (http://www.gnu.org/licenses/old-licenses/fdl-1.2.html)], via Wikimedia Commons

hoteli niemieckich, m.in. do hotelu Continental. Zorganizowani w konspiracji kelnerzy dolewali środki chemiczne do herbaty, wina itp. ucztującym żołnierzom, mającym wyjeżdżać na front. Do trunków dolewano również bakterie tyfusu" – wspominała żona dr. Witaszka. „Wiadomo na pewno, że ofiarą tej akcji padło szereg osób, m.in. dwóch czy czterech wybitnych hitlerowców" – dodawała.

Grupa Witaszka nie planowała raczej użycia bakterii na większą skalę. Otwarte pozostaje natomiast pytanie, czy bakteriolodzy z „Dwójki" byli skłonni stworzyć broń biologiczną o masowej sile rażenia, gdyby tylko wojna wybuchła nieco później. Na właściwą odpowiedź zdają się naprowadzać słowa gen. Umezu Yoshijiro, szefa japońskiego Sztabu Generalnego, który zeznał po wojnie, że w marcu 1945 roku Cesarstwo planowało atak na USA z wykorzystaniem zarazków dżumy i cholery. Yoshijiro miał przerwać przygotowania do tej operacji w ostatniej chwili, co tłumaczył później w następujący sposób: „Jeśli doszłoby do wybuchu wojny biologicznej, jej skala przerosłaby rozmiary konfliktu między Japonią i Ameryką; wywiązałaby się walka ludzkości z bakteriami, która nie miałaby końca. Naraziłoby to Japonię na pogardę całego świata".

Nie sposób ocenić, czy jego zeznania nie były wyłącznie wyszukanym blefem, ale jedno jest pewne: skutki wojny bakteriologicznej – bez względu na to, kto by ją wywołał – byłyby trudne do przewidzenia. Naukowcy z Oddziału II na pewno mieli tego świadomość. Jeśli dodać do tego, że broń biologiczna – rozumiana jako narzędzie masowego zniszczenia – służyć miała przede wszystkim do ataku, było to narzędzie zupełnie nieprzydatne w ówczesnych polskich realiach. W przypadku obrony konieczne stałoby się bowiem użycie tej broni na własnym terytorium. A to stwarzałoby już bezpośrednie zagrożenie dla polskich żołnierzy i cywilów.

Autor składa gorące podziękowania dr. Bogumiłowi Rudawskiemu za udostępnienie materiałów o grupie dr. Witaszka, znajdujących się w zbiorach Archiwum II Wojny Światowej Instytutu Zachodniego. Pozostałe materiały, na podstawie których powstał powyższy artykuł, pochodzą z Wojskowego Biura Historycznego oraz Archiwum Akt Nowych. Podczas pisania korzystałem również z: artykułu „Kanapka ze śmiercią"Andrzeja Krajewskiego (Focus Historia 10/2009) oraz książki Hall Gold „Jednostka 731. Okrutne eksperymenty w japońskich laboratoriach wojskowych. Relacje świadków".

Adam Gaafar
Dziennikarz i publicysta historyczny. Specjalizuje się w tematach związanych z dziejami propagandy politycznej i II wojną światową. Publikował m.in. w „Focusie Historia" i Wirtualnej Polsce.

REKLAMA

Marek Dudziak
W POSZUKIWANIU
Wunderwaffe
Bronie V na ziemiach polskich

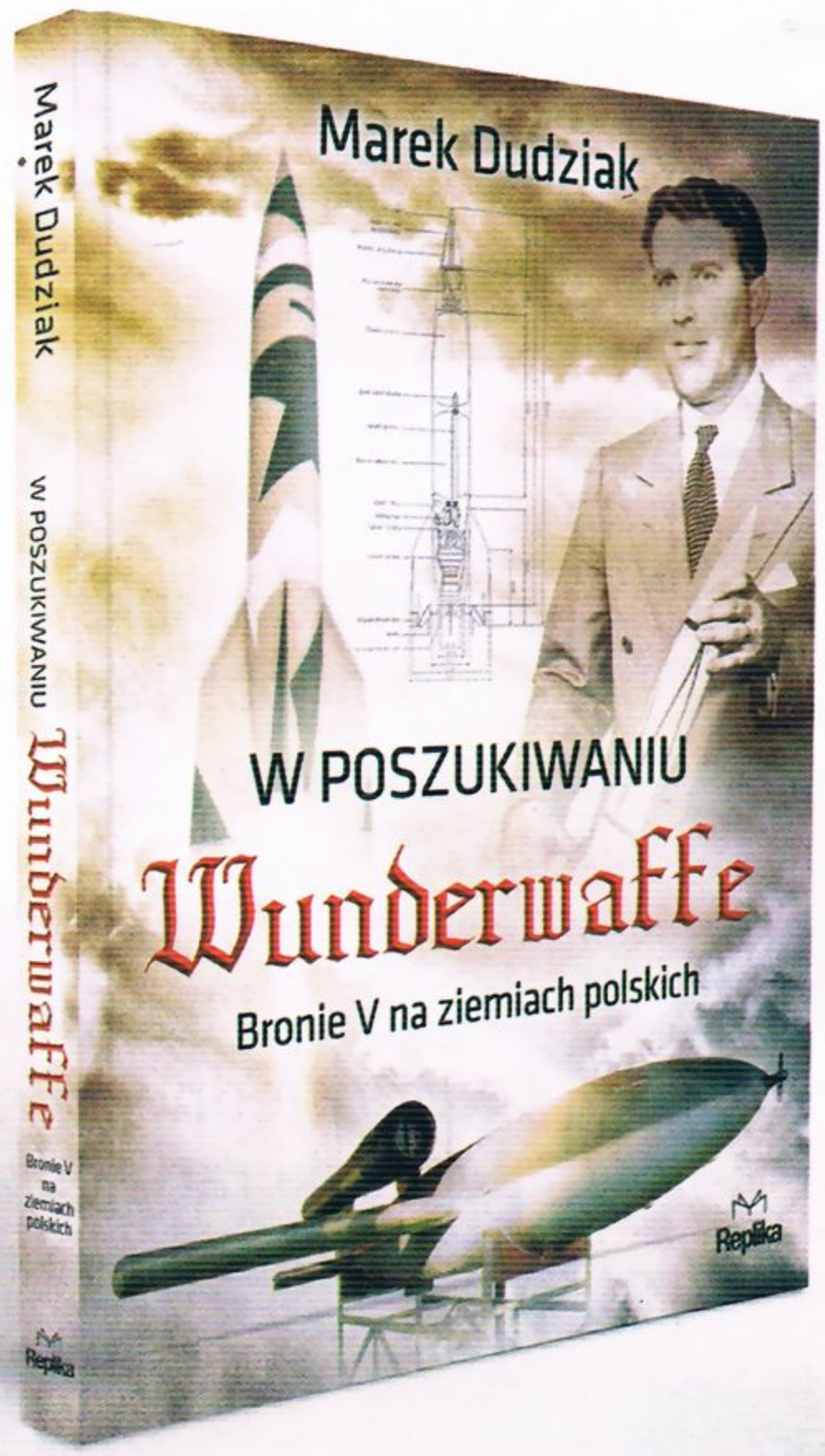

Odkryj sekrety miejsc, w których na terenie Polski tworzono bronie V!

Wydawnictwo Replika
tel. 61 868 25 37
www.replika.eu
Replika

Patroni:
KONFLIKTY.PL
ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA
NIEZLOMNI.com

PANCERNA RZEŹ W BRESLAU

RADOSŁAW SZEWCZYK

Do największego starcia niemieckiej i radzieckiej broni pancernej podczas walk o „Festung Breslau" doszło 18 kwietnia 1945 r. Wzięło w nim udział prawdopodobnie 25 wozów bojowych z obu stron. Nie były to jednak, jak by się mogło wydawać, czołgi. Niemcy i Rosjanie użyli bowiem dział samobieżnych oraz jednego niszczyciela czołgów. W wyniku tej potyczki radziecki 374. Gwardyjski (Gw.) Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej stracił prawie cały swój sprzęt.

Niemiecki niszczyciel czołgów Jagdpanzer IV/70 (V) był jednym z najwartościowszych wozów bojowych obrońców „Festung Breslau".

Zarówno Rosjanie jak i Niemcy używali pojazdów opancerzonych od początku zmagań o miasto. Działania radzieckiej 6. Armia najpierw wspierał tylko 349 Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej wyposażony w działa samobieżne ISU-152. Te wozy bojowe skonstruowano w 1943 roku. Miały służyć do zwalczania nowych niemieckich czołgów ciężkich przy pomocy haubicy kal. 152 mm. W trakcie walk okazało się, że takie konstrukcje są również przydatne do niszczenia bunkrów i punktów oporu oraz unieszkodliwiania stanowisk ogniowych w budynkach, podczas walk w mieście. Niestety, w tym ostatnim przypadku istniało ryzyko utraty cennych wozów w wąskich ulicach, gdzie Niemcy łatwo mogli je zniszczyć przy pomocy Panzerfaustów lub Panzerschreków. Na początku marca 1945 roku Rosjanie wzmocnili swoje siły pancerne, kierując do Wrocławia: 222. Samodzielny Pułk Czołgów oraz 87. Gw. Pułk Czołgów Ciężkich. Ta pierwsza jednostka była formacją zbiorczą mającą na wyposażeniu oprócz czołgów, również działa samobieżne; druga formacja była wyposażona w czołgi ciężkie IS-2. Radzieckie jednostki w marcu poniosły spore bezpowrotne straty – 15 wozów bojowych, 68 zostało uszkodzonych. Spowodowane to było specyfiką walk w mieście oraz błędnymi decyzjami dowódców, którzy np. używali czołgów ciężkich na terenach podmokłych, gdzie większość maszyn po prostu ugrzęzła i stała się łatwym celem.

Co do liczebności niemieckich wozów bojowych w twierdzy, od lat toczą się spory, ile ich w rzeczywistości było i jaka ich liczba została użyta w walkach. Najczęściej wspomina się o liście pojazdów opancerzonych podawanej przez komendantów twierdzy generałów von Ahlfena i Niehoffa w ich wspomnieniach „So kämpfte Breslau". Jest ona jednak mało precyzyjna, szczególnie jeśli chodzi o typy sprzętu znajdującego się w „Festung Breslau".

Tymczasem Horst Gleiss w swoim dziele „Breslauer Apokalypse" publikuje dwa niemieckie radiogramy z wykazem sprawnych wozów bojowych. Pierwszy, z 22 lutego 1945 r., wymienia: 1 niszczyciel czołgów: Jagdpanzer IV; 4 działa szturmowe Sturmgeschütz III; 4 czołgi: Panzer II oraz 2 „SFL", czyli niszczyciele czołgów „Marder".

Drugi, sporządzony 11 kwietnia 1945 roku, z małymi błędami w nazewnictwie, podaje:

1 „Sturmgesch. 4" [chodzi oczywiście o niszczyciel czołgów Jagpanzer IV – przyp. autora]; 5 dział szturmowych Sturmgeschütz III; 3 czołgi Panzer II; 2 niszczyciele czołgów „Sfl 7,5" [cm – przyp. autora][1]; 2 działa samobieżne „Wespe" oraz 1 improwizowane samobieżne działko przeciwlotnicze „Sfl Zwillingsflak 38" uzbrojone w 2 sprzężone działka kal. 20 mm.

Pojazdy te wchodziły na wyposażenie 1. kompanii pancernej (dowódca ppor. Ventzke) ze składu Batalionu Niszczycieli Czołgów „Breslau" (dowódca mjr W. Retter). Najwartościowszym pojazdem obrońców był wspomniany Jagdpanzer IV/70(V) uzbrojony w armatę 7,5 cm StuK 42 L/70, która była modyfikacją armaty używanej w czołgach Pz.Kpfw. V „Panther". Lufa miała 5 metrów długości i w odróżnieniu od wersji czołgowej nie miała na końcu hamulca wylotowego. Zaraz za Jagdpanzerem podstawowy potencjał obrońców stanowiły działa samobieżne Sturmgeschütz III. Te dwa >>>

Radzieckie działo samobieżne ISU-152, w które wyposażony był 374 Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej.

Fot. Commons Wikimedia, Radosław Szewczyk

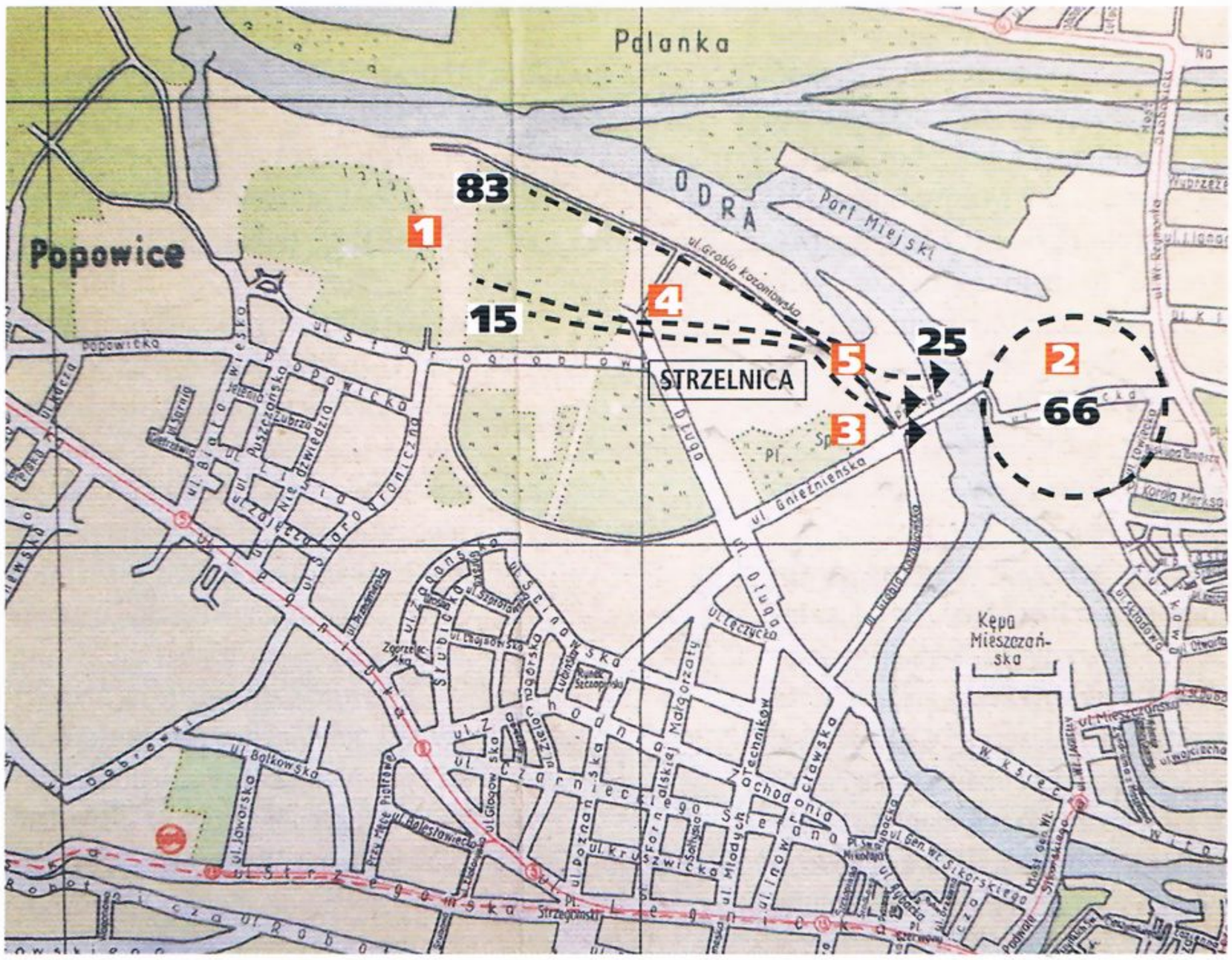

RADZIECKIE ZAŁOŻENIA

1 **15.04.1945 r. – Rosjanie docierają do nasypu kolejowego.** 374. Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej z 16 działami samobieżnych ISU-152 w ciągu dwóch kolejnych dni przygotowuje się do ataku, prowadzi rozpoznanie i organizuje współdziałanie z pododdziałami 112. DS. W tym czasie saperzy niwelują zbocza nasypu, tak aby mogły przejechać przez niego działa samobieżne.

2 **18.04.1945 r. – rozpoczyna się atak.** Cel: zajęcie sporego przyczółka na prawym brzegu Odry –dzisiejszy rejon elektrociepłowni, ul. Łowiecka. Bliższy cel: zajęcie stacji Popowice (obiekt nr 15), składu paliw (obiekt 83 – dzisiejsza Górka Szczepińska).

3 Zaplanowany błyskawiczny, wyprzedzający pozostałe jednostki, rajd dział samobieżnych (4. bateria) z desantem (50 żołnierzy) na pancerzach (4. bateria) w celu zdobycia i utrzymania przyczółka aż do nadejścia posiłków.

4 **Zdobycie zachodniej części strzelnicy, przejście w rejon stoczni, pod koniec dnia zdobycie terenu dzisiejszej elektrociepłowni** (1. i 3. bateria z piechotą 524. Pułku Strzeleckiego, cel 66).

5 **Zdobycie składu paliw i przystani (obiekt 83), dojście do mostu kolejowego (obiekt 25)**, do końca dnia zajęcie wschodniej części dzisiejszej elektrociepłowni (2. bateria z piechotą 385. pułku strzeleckiego)

RADZIECKI ATAK

6 **Baterie przerywają obronę przeciwnika i docierają w rejon strzelnicy.** Desant w liczbie pierwotnie 50 ludzi jest już częściowo zniszczony, część żołnierzy zeskoczyła z pojazdów jeszcze na nasypie kolejowym. W tym miejscu znajduje się 1 i 4 bateria (zachód strzelnicy).

7 **2 i 3 bateria z 385. pułkiem strzeleckim w rejonie składu paliw.**

8 Pozostałe jednostki piechoty zalegają na nasypie; pojazdy znajdujące się w okolicy strzelnicy zostają praktycznie bez osłony piechoty.

>>> typy pojazdów przez cały czas oblężenia stanowiły swoistą „straż pożarną" – odwód dowództwa twierdzy, który był kierowany na najbardziej zagrożone odcinki frontu.

Sytuacja przed bitwą

Po nieudanych próbach zdobycia miasta od południa w lutym i marcu radziecka 6. Armia rozpoczęła 1 kwietnia 1945 r. szturm od strony zachodniej. Tamtejszy teren, mniej zurbanizowany, sprzyjał użyciu broni pancernej. Do walczących tam już jednostek czołgów i dział samobieżnych 3 kwietnia dołączył 374. Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej pod dowództwem pułkownika gwardii Nikołaja Wasiljewicza Smirnowa. Jednostka ta została wydzielona z rezerwy 1 Frontu Ukraińskiego i podporządkowana 6. Armii. Liczyła 21 dział samobieżnych ISU-152. Wspierała ona 294. Dywizję Strzelecką (DS) w natarciu na zachodnim brzegu Odry. W walkach przez Kozanów pułk posunął się do Lasku Dębowego na Popowicach [Park Popowicki – przyp. autora].

15 kwietnia oddziały radzieckie dotarły do nasypu kolejowego biegnącego od „poznańskiego" mostu kolejowego przez stację Wrocław Popowice na południe, w stronę stacji Wrocław Mikołajów. Tam front ustabilizował się na kilka dni, ponieważ mający ponad 5 metrów (Rosjanie oceniali go od 6–8 metrów) wysokości nasyp o stromych zboczach, na którym znajdowało się od 4 do 14 torowisk stanowił trudną do sforsowania zaporę. Niemcy na tym odcinku wysadzili w powietrze istniejące wiadukty, które również skutecznie zatarasowały możliwość przejazdu dla broni pancernej. Według meldunku z tego dnia 374. Gw. Pułk Ciężkiej

www.odkrywca.pl

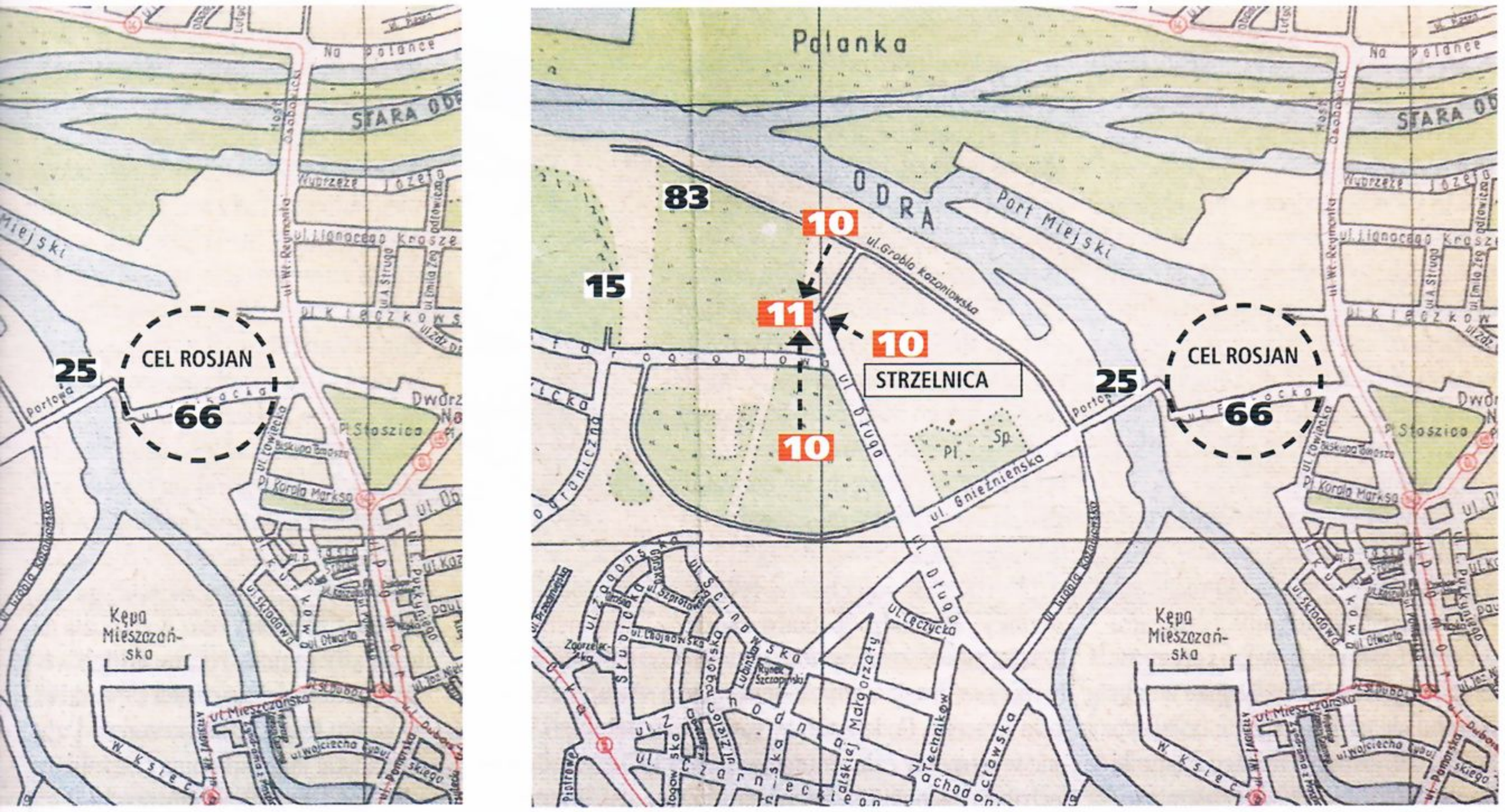

9 g. 11:00 – Niemcy w sile do 250 żołnierzy uzbrojeni głównie w Panzerfausty przy wsparciu Jagdpanzera IV kontratakują na odcinku 1. i 4. baterii. Niszczą 3 ISU-152. Kontratak zostaje przez Rosjan odparty.

9A Pozycja wozów bojowych ppor. Hartmanna.

OSTATECZNY KONTRATAK NIEMCÓW Z GODZ. 15.30.

10 g. 15.30 - kontratak Niemców z trzech stron – z południowego-wschodu, wschodu i z północy, w sile do 400 ludzi, przy wsparciu czołgów i dział samobieżnych (do 6 pojazdów)

11 Okrążenie Rosjan od zachodu, w efekcie gwardyjski pułk traci kilkanaście dział samobieżnych.

Fot. Paweł Piotrowski

Artylerii Samobieżnej miał na stanie 16 dział samobieżnych ISU-152, co oznacza, że brakowało 5 pojazdów ze stanu wyjściowego. Nie wiadomo, czy zostały uszkodzone, czy też wycofano je do rezerwy. Tymczasem Rosjanie rozpoczęli przygotowania do natarcia, które miało się rozpocząć 18 kwietnia. 374. Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej przydzielono do 112. DS. Obie jednostki miały przeprowadzić bardzo śmiały manewr. Ześrodkowały się one w rejonie stacji Wrocław Popowice, a nie koło dworca Mikołajów, jak błędnie dotychczas podawano w polskich publikacjach.

Bitwa oczami Niemców

Dotychczas największą potyczkę pancerną znaliśmy głównie z relacji niemieckich, przede wszystkim podporucznika Leo Hartmanna z 1. kompanii pancernej. Fragmenty jego relacji znalazły się we wspomnianej książce niemieckich generałów. Opisał on dość szczegółowo wydarzenia z 18 kwietnia 1945 r. Jednak relacja zawarta we wspomnieniach komendantów jest dość okrojona. Jej pełniejszą wersję zaprezentował Gleiss w IV tomie „Breslauer Apokalypse". Hartmann w swojej relacji podaje jednak mało precyzyjne >>>

Niemieckie działo samobieżne Stug III. Takie pojazdy wspierały Jagdpanzera IV ppor. Hartmanna.

www.odkrywca.pl

>>> określenia np. swojego wozu bojowego, a radzieckie pojazdy raz nazywa „pancernymi kolosami ze 152- mm armatą", a w innych miejscach „czołgami".

18 kwietnia podporucznik, słysząc odgłosy radzieckiej nawały ogniowej, rozkazał załogom przygotowanie dział szturmowych, a sam pojechał samochodem do sztabu majora W. P. Mohra w koszarach przy ul. Długiej [nieistniejące już, obecnie na tym terenie mieści się ZDiUM i hipermarket – przyp. autora]..

Jak wspomina: „W sztabie pułku panowało zdenerwowanie. Ppłk Mohr – wtedy jeszcze był majorem – powiedział, że Rosjanie z czołgami wyszli z Lasku Dębowego i przekroczyli nasyp kolejowy. Najpierw wydało mi się to niemożliwe; bo nasyp był bardzo stromy i miał co najmniej 5 m wysokości. Ale obiecałem osobiście to sprawdzić".

Z ulicy Poznańskiej pojechał niszczycielem czołgów Jagdpanzer IV (dowódca kompanii ppor. Ventzke był ranny, więc Hartmann, przejmując dowództwo, używał też jego wozu bojowego) wraz z 3 działami szturmowymi StuG III na ul. Długą. Hartmann martwił się o 2 inne działa szturmowe, które od nocy dyżurowały w miejscu przełamania. W rejonie ówczesnej strzelnicy, gdzie ulica Długa skręca w stronę stacji Popowice, niemieccy żołnierze wskazali mu miejsce, skąd nacierali Rosjanie. Jak wspomina: „(...) teraz przez lornetę nożycową zobaczyć można było dobrze zielono-brązowe kolosy z działami 152 mm. Pierwszego podpaliłem i od razu stanął w płomieniach. Mocno waliła ta długa lufa »Panthery«. Obok tego podpalonego był drugi, a trochę dalej jeszcze jeden. Pojawiało się coraz więcej stalowych potworów. Miałem wrażenie, że odbywało się to w sposób ciągły. Po wystrzeleniu amunicji, stwierdziłem, że wiele się pali, z tego 5 sztuk zniszczonych z mojego działa. Również moje działa szturmowe włączyły się do walki. Widziałem jak rosyjski czołg wysoko na nasypie kolejowym zapalił się".

Porucznik pojechał na tyły po amunicję. Po drodze spotkał dwa działa szturmowe, które w nocy pilnowały miejsca przełamania, a on uważał je za stracone. Podczas ataku również one wystrzeliły całą amunicję i teraz jechały ją uzupełnić. Następnie razem powrócili na front.

„W międzyczasie pojawiły się nowe rosyjskie czołgi i zestrzeliłem dwa z nich. Niemiecki Oberleutnant wskoczył na moje działo i zawołał, że to wspaniała »rzeź pancerna«. Moje kolejne działa zniszczyły 5 czołgów. Nie mieliśmy żadnych strat. Antena na moim dziale została odstrzelona. (...) Na godz. 15 zaplanowany był kontratak batalionu Hitlerjugend, który z naszym wsparciem wyrzucił Rosjan za nasyp kolejowy".

Wieczorem w pobliżu zakrętu na ul. Długiej, gdzie walczył Hartmann, odnaleziono radzieckie działo samobieżne ISU-152, które wpadło do głębokiego leja po bombie i zawisło na jego ścianie, grzęznąc w gruncie. Podporucznik podjął decyzję wydobycia pojazdu, który prawdopodobnie planowano używać jako sprzętu zdobycznego. 30 Volkssturmistów miało zniwelować ścianę leja, żeby można było wyciągnąć pojazd. Sam Hartmann pojechał na rozpoznanie wzdłuż Odry do poznańskiego mostu kolejowego, podczas którego wzięto do niewoli radzieckiego żołnierza. Po powrocie dowiedział się od swojego podwładnego, że w radzieckim pojeździe, który miano wydobyć, znajduje się załoga, która zaczęła strzelać również z haubicy oraz wyrzucała na zewnątrz granaty ręczne. Mimo wezwań, Rosjanie nie chcieli się poddać, w końcu ISU-152 zniszczono z Panzerfausta. Jak wspomina Hartmann: „To był 13 czołg, który poszedł na nasze konto. Ten przypadek pokazuje, jak zażarte były to walki. Często zastanawiałem się, czemu załoga nie wysiadła, tylko dalej walczyła. Ten czołg mający duży biały numer »45«, był czołgiem dowódcy jednostki. Rano jak jego jednostka ruszyła do ataku, przeszła przez nasyp i ruszyła do szturmu, on wpadł do leja. Jego ludzie zostali bez dowódcy, wtedy ja przybyłem z moim działem i zacząłem do nich walić. Rosyjski dowódca zobaczył rozmiar katastrofy i bał się wrócić, wolał zginąć w walce. (...) Od (...) Rettera dowiedziałem się, że, jak wynikało z dokumentów znalezionych przy zabitym rosyjskim oficerze, celem ich natarcia był Benderplatz [pl. Św. Macieja – przyp. RS] na drugim brzegu Odry."

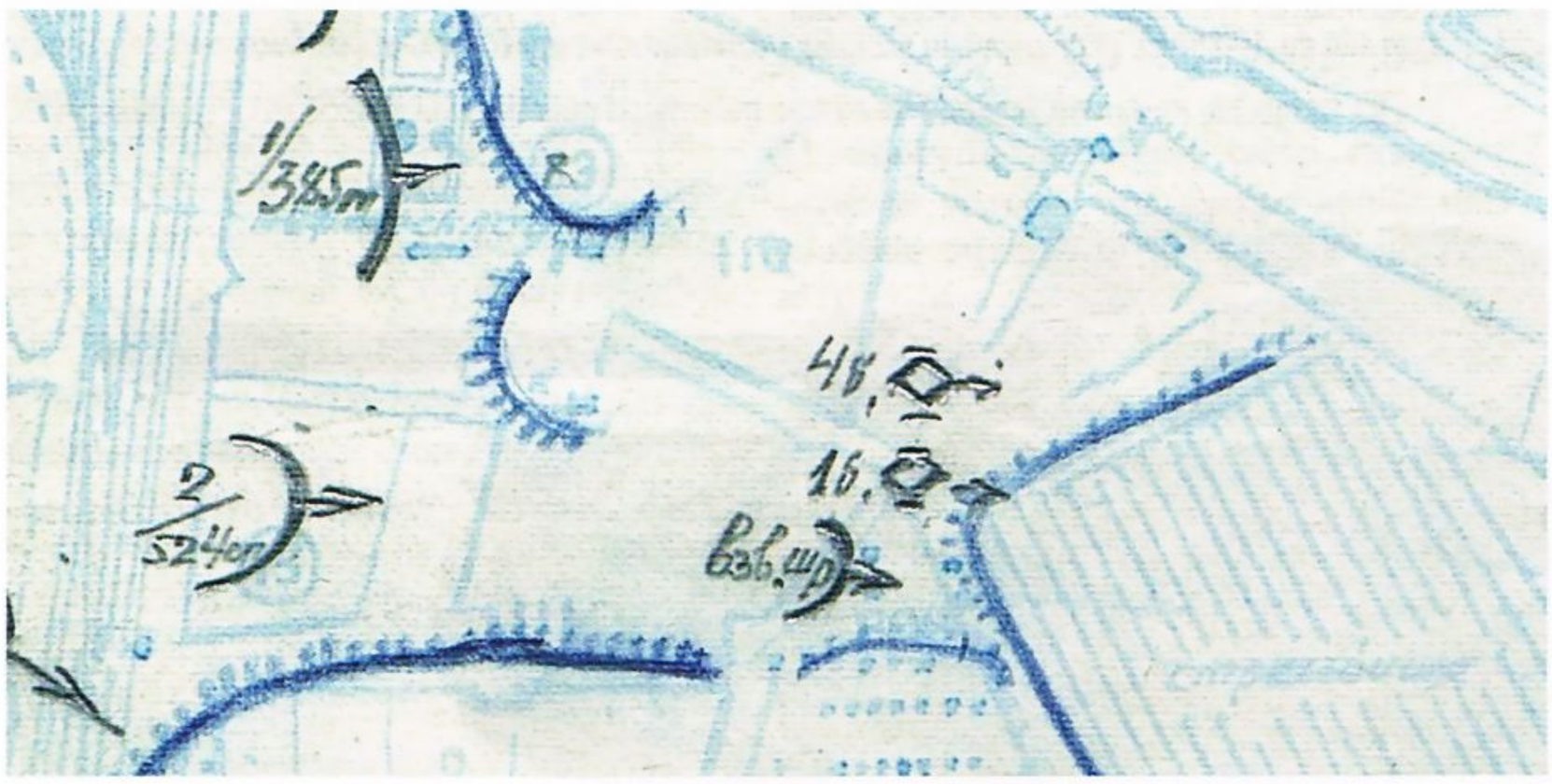

Fragment radzieckiej mapy sporządzonej w sztabie 112. DS z sytuacją bojową 18 kwietnia 1945 r.

Wersja radziecka

Jak już wspomniano 15 kwietnia 1945 roku. Rosjanie dotarli do nasypu kolejowego. Według meldunku z tego dnia 374. Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej miał na stanie 16 dział samobieżnych ISU-152. W ciągu dwóch kolejnych dni jednostka przygotowywała się do ataku, prowadziła rozpoznanie i organizowała współdziałanie z pododdziałami 112. DS. W tym czasie saperzy przy pomocy ładunków

www.odkrywca.pl

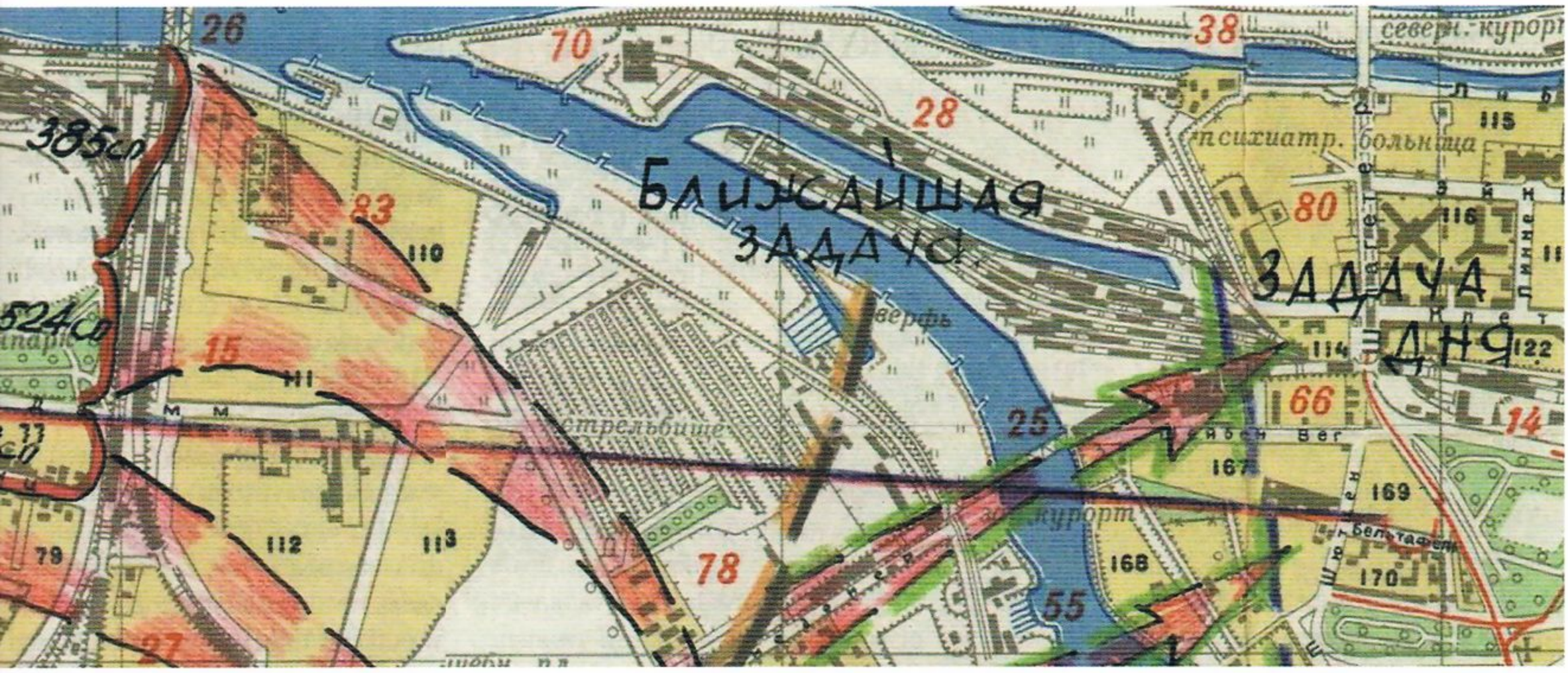

wybuchowych, a następnie łopatami niwelowali zbocza nasypu, tak aby mogły przejechać przez niego działa samobieżne.

18 kwietnia 1945 r. po trzygodzinnym przygotowaniu artyleryjskim miał rozpocząć się szturm, który na tym odcinku, w razie powodzenia miał zakończyć się zajęciem sporego przyczółka na prawym brzegu Odry. Według raportu sztabu 74. Korpusu Strzeleckiego (KS) sporządzonego przez zastępcę naczelnika oddziału operacyjnego majora Niefiedowa obie jednostki miały za zadanie: „przeprowadzić uderzenie (…) w kierunku: strzelnica, obiekt 25 [most kolejowy między ul. Gnieźnieńską, a terenem dzisiejszej elektrociepłowni – przyp. autora]. Bliskie zadania – zniszczyć obronę przeciwnika, zająć obiekty 15 [stacja kolejowa Popowice – przyp. autora], 83 [skład paliw i przystań – dzisiejsza Górka Szczepińska – przyp. autora] i wyjść na rubież: wschodni skraj strzelnicy, stocznia, zająć pozycję do forsowania Odry, zająć kwartał 167 [teren ówczesnej elektrowni, dzisiejszej elektrociepłowni – przyp. autora], węzeł dróg na północ od kwartału 167 i wyjść na rubież: wschodni skraj kwartału 167, południowo-zachodni skraj obiektu 80 [teren portu miejskiego – przyp. autora].

Dowódca dywizji miał przygotować desant do posadzenia na działa samobieżne i po przerwaniu obrony przeciwnika, grupy desantowe na działach samobieżnych miały ruszyć do przodu do przepraw na rzece Odrze, ubezpieczać uchwycone przeprawy dla piechoty działami samobieżnymi z lewego brzegu Odry.

Przydzielone zadania 374. Gw. Pułkowi Ciężkiej Artylerii Samobieżnej i jego działania:

a) 4. bateria z desantem w liczbie 50 ludzi miała zadanie po zajęciu przez piechotę wschodniego stoku nasypu, to jest na zachód od obiektu 15 [stacja Popowice – przyp. autora] na najwyższej prędkości ominąć niemieckie pozycje, wyjść na zachodni brzeg rzeki Odry (w rejonie obiektu 25) [most kolejowy – przyp. autora], zdobyć przeprawy przez rzekę Odrę i utrzymać je do podejścia piechoty.

b) 1. i 3. bateria w ścisłym współdziałaniu z piechotą 524. pułku strzeleckiego miały zadanie: wyjść na zachodni skraj strzelnicy, a następnie w rejon stoczni, do końca dnia na wschodni skraj kwartału 167 [teren elektrociepłowni – przyp. autora].

c) 2. bateria w ścisłym współdziałaniu z piechotą 385. pułku strzeleckiego miała zadanie działać na kierunku obiektu 83 [skład paliw i przystań – przyp. autora], północnego skraju strzelnicy, obiektu 25 [most kolejowy – przyp. autora] i do końca dnia wyjść na wschodni skraj obiektu 66 [elektrownia, obecnie elektrociepłownia – autora]".

Jak już wiemy natarcie radzieckich dział samobieżnych zostało powstrzymane przez podporucznika Hartmanna i jego wozy bojowe. Wygląda na to, że dotarł on w porę w rejon radzieckiego przełamania i uderzył w skrzydło pancernej szpicy kierującej się w stronę Odry. W radzieckim sprawozdaniu 6. Armii podsumowującym użycie broni pancernej w kwietniu 1945 r. tak skrótowo opisano przebieg zdarzeń i wyjaśniono przyczyny porażki:

„18 kwietnia 1945 r. podczas szturmu Wrocławia pułk otrzymał zadanie, we współdziałaniu ze 112. DS, nacierać w kierunku obiektu 25 i zająć go. Jednocześnie 4. bateria z desantem 50 ludzi z piechoty, miała wyprzedzić szyki bojowe piechoty, wyjść na zachodni brzeg Odry (obiekt 25 – most kolejowy) zająć go i utrzymać do podejścia własnej piechoty.

Trzygodzinne przygotowanie artyleryjskie zakończyło się o g. 10 [czas moskiewski – przyp. autora], ale atak rozpoczął się o g. 11, dlatego że przejście dla dział samobieżnych w nasypie kolejowym nie było gotowe. Baterie przerwały obronę przeciwnika i dotarły w rejon strzelnicy. Desant w liczbie 50 ludzi, został częściowo zniszczony, część żołnierzy zeskoczyła z pojazdów jeszcze na nasypie, piechota z batalionów strzeleckich nie wykorzystała okazji i zaległa przy nasypie kolejowym. Dalszego postępu baterie nie osiągnęły z powodu nieobecności piechoty, a wpadając w okrążenie baterie musiały odpierać kontrataki piechoty z Panzerfaustami i czołgów przeciwnika, ponosząc bezpowrotne straty". >>>

Fragment radzieckiej mapy sporządzonej w sztabie 6. Armii. Bliższym zadaniem było wyjście nad brzeg Odry, zadaniem dnia - opanowanie terenu elektrowni (z prawej strony).

www.odkrywca.pl

DANE TECHNICZNE PANCERNYCH RYWALI

JAGDPANZER IV
NISZCZYCIEL CZOŁGÓW

ZAŁOGA: 4 osoby
OPANCERZENIE: 20-80 mm
PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA: 35 km/h
ZASIĘG: 210 km
UZBROJENIE: armata 7,5 cm StuK 42 L/70 kal. 75 mm, km MG 34 kal. 7,92
WYMIARY:
długość: 8,5 m
szerokość: 3,17 m
wysokość: 1,85 m
masa: 25 t

ISU-152
DZIAŁO PANCERNE

ZAŁOGA: 5 osób
OPANCERZENIE: 20-90 mm
PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA: 36 km/h
ZASIĘG: 100-200 km
UZBROJENIE: armato-haubica wz. 1937/43 ML-20 kal. 152,4 mm, km DSzK kal. 12,7 mm
WYMIARY:
długość: 9,05 m
szerokość: 3,07 m
wysokość: 2,48 m
masa: 46 t

OBEJRZYJ FILMY

Jagdpanzer IV

ISU-152

W dalszej części wspomnianego już raportu major Niefiedow napisał:

„4. i 1. bateria postawione zadania wypełniły, 18 kwietnia 1945 r. o g. 10.30 wyszły na pozycje wyjściowe [wschodni skraj Lasku Dębowego, dzisiejszy Park Popowicki – przyp. autora], przejechały przez nasyp kolejowy i zajęły obiekt 83 (skład paliw i przystań) oraz kwartał 110 i wyszły na zachodni skraj strzelnicy.

2. i 3. bateria działająca wraz z 385 pułkiem strzeleckim wyszły w rejon składu paliw. Piechota, przekraczając nasyp kolejowy, napotkała silny ogień z broni ręcznej i maszynowej oraz artylerii i moździerzy. Zaległa na nasypie i przed nim, naprzód nie poszła, a gdy ogień przeciwnika nasilił się, poniosła duże straty i wycofała się na pozycje wyjściowe na zachodnim stoku nasypu kolejowego. Desant siedzący na działach samobieżnych, jak tylko przeciwnik otworzył ogień, zeskoczył z wozów bojowych i rozbiegł się, ponosząc przy tym straty. W ten sposób działa samobieżne pozostały bez osłony piechoty.

O g. 12 (...) przeciwnik, w sile do 250 żołnierzy, uzbrojonych głównie w Panzerfausty przy wsparciu dwóch »Panter« [Rosjanie wzięli Jagdpanzera IV za ten właśnie czołg, prawdopodobnie po odgłosie wystrzałów – przyp. – autora] i dział strzelających ogniem bezpośrednim, kontratakowali na odcinku 1 i 4 baterii.

Ogniem karabinów maszynowych i haubic dział samobieżnych, odparto kontratak przeciwnika. Podczas walki, przeciwnikowi udało się spalić 3 nasze ISU-152.

O g. 16.30 piechota przeciwnika znowu przeszła do kontrataku z trzech stron – z południowego-wschodu, wschodu i z północy, w sile do 400 ludzi, przy wsparciu czołgów i dział samobieżnych (do 6 pojazdów) i okrążyła baterie pułku w rejonie – na zachód od strzelnicy. Zaciskając pierścień okrążenia, prowadząc silny ogień artyleryjski i z Panzerfaustów do dział samobieżnych, przeciwnik spalił wszystkie działa samobieżne, które wpadły w okrążenie. W trakcie walki pułk dział samobieżnych stracił – 18 ISU, z czego w okrążeniu spaliło się 14 ISU 152".

Natomiast w innym raporcie 74. KS sporządzonym kilka dni później napisano, że podczas odpierania pierwszego kontrataku spalone zostały 3 ISU-152, natomiast podczas drugiego o g. 16:30 spalonych zostało 12 radzieckich dział samobieżnych, zginęło 11 ludzi, rannych było 21. W tym przypadku liczba strat maleje do 15 dział samobieżnych.

Do tego dochodzą jeszcze dwa ocalałe z pogromu ISU-152, o których napisano we wspominanym już sprawozdaniu 6. Armii podsumowującym użycie broni pancernej w kwietniu 1945 r.: „Brak postępu podczas dnia walki zmusił do przejścia do obrony na tym odcinku i 2 ISU-152 m/m stanęły w zasadzce na wschodnim skraju Lasku Dębowego [Park Popowicki – przyp. autora] z zadaniem osłony mostu kolejowego w rejonie (...) obiektu 15 [stacja kolejowa Popowice – przyp. autora]".

Jedne i drugie dane sugerują, że 18 kwietnia 1945 r. pułk miał więcej pojazdów niż wykazywano to 15 kwietnia – 16 sztuk. W pierwszym przypadku – 18 straconych ISU-152 oraz 2 ocalałe dają wynik 20 pojazdów, natomiast w drugim przypadku – 15 straconych ISU-152 oraz 2 ocalałe to w sumie 17 dział samobieżnych. Czyli 4 lub 1 ponadetatowe wozy bojowe pojawiły się w pułku w dniu ataku. Rozbieżności mogą również wynikać z tego, że Rosjanie po zajęciu terenu pancernej potyczki, uznali, że część dział samobieżnych nadaje się jeszcze do remontu i nie są one bezpowrotnie stracone, dlatego liczba straconych ISU-152 zmalała do 15 w późniejszym raporcie. W radzieckich dokumentach zniszczone pojazdy kwalifikowano w trzech kategoriach: jako spalone, trafione oraz te, które najechały na miny. Jeżeli wóz bojowy uznano jako spalony, to znaczyło, że był on bezpowrotnie utracony. Natomiast pojazdy z pozostałych dwóch kategorii były ewakuowane do armijnych warsztatów naprawczych, skąd po remontach i naprawach z powrotem trafiały do jednostek bojowych. Oczywiście niektóre uszkodzenia były na tyle poważne, że nie można było ich naprawić w warunkach frontowych. Takie pojazdy były odsyłane do, jak to określano w dokumentach, „zakładów przemysłowych", czyli fabryk, gdzie produkowano czołgi i działa samobieżne.

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie rozbieżności co do liczby użytych i zniszczonych 18 kwietnia 1945 roku dział samobieżnych. Otóż drugi z pułków wyposażonych w te pojazdy – 349. Gw. Pułk Ciężkiej Artylerii Samobieżnej, który toczył walki na południowym odcinku frontu, w nocy z 13 na 14 kwietnia 1945 roku wydzielił ze swojego składu 14 ISU-152. Wykonały one marsz do zachodniej części miasta, gdzie rozdysponowano je jako wsparcie do trzech walczących tam dywizji strzeleckich – 309., 359. i 218. Dywizji

www.odkrywca.pl

Strzeleckiej. Ta ostatnia jednostka sąsiadowała na południu ze wspomnianą już 112. DS. Do 218. DS przydzielono 4 działa samobieżne.

W sprawozdaniu 6. Armii podsumowującym użycie broni pancernej w kwietniu 1945 r. napisano trochę enigmatycznie, że: „18.4.45 r. po 3-godzinnym przygotowaniu artyleryjskim działa samobieżne 349. Gw. Pułku Ciężkiej Artylerii Samobieżnej ruszyły do natarcia z desantem piechoty posadzonym na pancerzach, z zadaniem wyjścia na zachodni brzeg Odry. Tam swoim ogniem miały wspierać przeprawę przywiezionego desantu przez rzekę i nie dopuścić do oskrzydlenia z prawej i lewej strony. Po przejściu przedniego skraju obrony przeciwnika pułk napotkał silną obronę przeciwnika, poniósł straty i wycofał się na pozycje swojej piechoty, skąd wspierał ją swoim ogniem. Do końca dnia obrona przeciwnika została złamana i bateria [dział samobieżnych – przyp. autora] doszła do nasypu kolejowego, który miał 6 metrów wysokości i stanowił przeszkodę dla przejazdu dział samobieżnych".

Wiele wskazuje na to, że te właśnie działa samobieżne zostały również użyte w ataku wraz z 374. Gw. Pułkiem Ciężkiej Artylerii Samobieżnej. Dokument jednak nie precyzuje jakie dokładnie poniósł on straty.

Sam podporucznik Hartmann, podsumowując swoje sukcesy, wspomina: „Następnego dnia [19 kwietnia – przyp. autora] napisano w gazecie, że Rosjanie nacierali z Muchoboru w kierunku Odry i że w walce zniszczono 25 radzieckich czołgów. Moje własne siedem trafień zostało wymienionych przez korespondenta wojennego".

Liczba 25 zniszczonych pojazdów pancernych wydaje się zawyżona, ponieważ Rosjanie podają, że w ciągu całego kwietnia bezpowrotnie stracili 22 wozy bojowe – 20 dział samobieżnych ISU-152 i 2 czołgi ciężkie IS-2. Przy działach samobieżnych nie precyzują jednak, ile konkretnie stracił każdy z dwóch gw. pułków ciężkiej artylerii pancernej, które walczyły o Wrocław.

Na końcu wspomnianego już raportu majora Niefiedowa z 74. KS wymieniono przyczyny, dlaczego śmiały manewr Rosjan się nie udał i doszło do „rzezi pancernej":

„W sprawie nieudanej operacji i dużych strat pułku dział samobieżnych w sprzęcie ustalono co następuje:

1. Artyleria w czasie przygotowania artyleryjskiego nie naruszyła systemu ognia artyleryjskiego przeciwnika w głębi kwartałów 110, 111, 113, a także w rejonie strzelnicy.

2. Artyleria z zakrytych stanowisk nie mogła prowadzić celnego ognia do stanowiskach ogniowych przeciwnika, znajdujących się wewnątrz kwartałów, nie zostały one wykryte, a ogień artylerii nie był skuteczny.

3. Piechota 112. DS i desant siedzący na pancerzach dział samobieżnych, nie wspierały działań dział samobieżnych, w wyniku czego działa samobieżne poniosły duże straty, głównie od ognia Panzerfaustów.

4. Piechota nie była nauczona działać w roli desantu i nie potrafiła współdziałać z działami samobieżnymi.

5. Oficerowie pododdziałów piechoty, szczególnie desantu, utracili kontrolę nad żołnierzami i nie dowodzili nimi.

6. Między dowódcami artylerii i piechoty współdziałanie było niedostatecznie

7. Działa samobieżne i ich załogi działały odważnie, z inicjatywą".

Pozostaje jeszcze kwestia ISU-152, który wpadł do leja i w którym jak wspomina Hartmann miał znajdować się dowódca radzieckiej jednostki. Z listy poległych oficerów 374. Gw. Pułku Ciężkiej Artylerii Samobieżnej wynika, że mógł to być poległy 18 kwietnia 1945 roku starszy lejtnant Nikołaj Iwanowicz Zimin, dowódca 4. baterii. To właśnie ten pododdział miał za zadanie śmiałym manewrem dotrzeć tego dnia do brzegu Odry.

Radosław Szewczyk
Historyk, dziennikarz, pracownik Archiwum Wojskowego w Oleśnicy.

PRZYPISY

[1] Cyfry na końcu oznaczają kaliber armaty 75 mm, czyli działa przeciwpancernego Pak 40, co wskazuje, że mogły to być Mardery, w którejś z tych wersji: Marder II (Sd.Kfz. 131), Marder III H (Sd.Kfz. 138) lub Marder III M

ŹRÓDŁA I LITERATURA:

AHLFEN H., NIEHOFF H, **Festung Breslau w ogniu**, Wrocław 2008
AHLFEN H., NIEHOFF H., **So kämpfte Breslau,** Beltheim-Schnellbach 2010
GLEISS H, **Breslauer Apokalypse 1945. Band IV,** Wedel (Holstein) 1987
MOSZCZANSKIJ I. B, **Szturm Breslau,** Tankomaster 2007, nr 1
PIOTROWSKI P., **Wojska sowieckie i niemieckie biorące udział w walkach o Wrocław z Festung Breslau 1945,** w: Historia i pamięć, pod redakcją T. Głowińskiego, Wrocław 2009

Боевой эпизод действий 112 СД с самоходными установками 18.4.45 г. в районе обекта 83, 15
Доклад о боевых действиях танковых частей 6 Армии за апрель м-ц в боях за г. ВРЕСЛАУ

REKLAMA

M@RS
www.Mars-MD.pl
Autoryzowane punkty sprzedaży:
MAXX - Radomsko
Restyling - Łódź
EL-CAR - Nowogard
GREEN Camo - Lublin
...najlepsze cewki

AMUNICJA MAŁOKALIBROWA

CZĘŚĆ 1

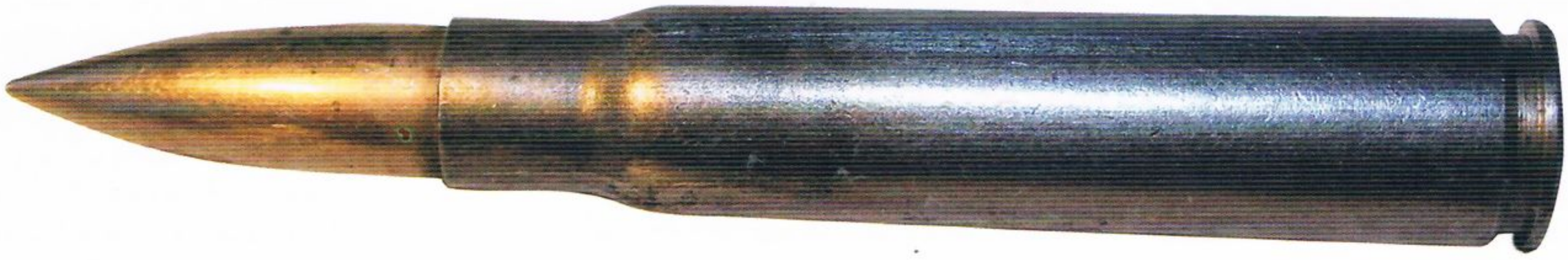

Z MATERIAŁÓW ZASTĘPCZYCH

PIOTR J. BOCHYŃSKI

Jak przebiegały badania rozwojowe w okresie II Rzeczypospolitej

Niniejszy artykuł jest próbą zapisania kolejnych białych kart naszej historii o polskim przemyśle amunicyjnym w okresie II Rzeczypospolitej. Dotyczy w tym wypadku konkretnie badań i prób wdrożenia do produkcji amunicji karabinowej wykonanej z materiałów zastępczych (w stosunku do mosiądzu). Artykuł ten, mam nadzieję, nie będzie tylko podsumowaniem dotychczasowej wiedzy, ale dopełni nieznane do tej pory informacje i szczegóły w tym temacie.

Dotychczasowe informacje i stan wiedzy w nikły sposób opisywały ten temat, wyciągając go mimo wszystko z mroków historii, ale dotyczy on głównie końcówki zrealizowanych zadań w okresie dwóch ostatnich lat (1938–39) przed wybuchem II wojny światowej, zatem wciąż nadal pozostaje on otwarty i daje szerokie pole do popisu dla pasjonatów i badaczy tych zagadnień. Podsumujmy zatem pokrótce, co wiemy w tym zakresie.

W klasycznym już opracowaniu Z. Gwoździa i P. Zarzyckiego „Polskie konstrukcje broni strzeleckiej" zawarta jest informacja, która wielokrotnie powielania jest w różnych opracowaniach i zamieszczana na stronach internetowych:

„Państwowa Fabryka Amunicji w Skarżysku eksperymentowała też z łuskami stalowymi wykonanymi z różnych rodzajów blach, lecz jak się okazało, koszt wyrobu amunicji w łusce stalowej był większy od amunicji w łusce mosiężnej, ze względu na znaczne zużycie maszyn i narzędzi użytych do produkcji. Podobne próby prowadzono również w Zakładach Amunicyjnych »Pocisk«, o czym świadczy plansza zdobyta w 1945 roku przez wojska amerykańskie w fabryce amunicji »Polte« w Magdeburgu. Na planszy tej – zawierającej zbiór polskiej amunicji – występują naboje z łuską stalową miedziowaną (próba bonderyzacji), które pochodzą z serii z 1939 roku wykonanej przez Zakłady »Pocisk«".

7,92x57 – polski nabój z łuską żelazną.

Jedyną jak do tej pory szerszą próbą opracowania tego tematu i podjęcia dyskusji w tym zakresie pozostaje artykuł Jarosława Dąbrowskiego „Łuski stalowe Polskiej amunicji karabinowej z okresu międzywojennego" zamieszczonego na łamach czasopisma Militaria i Fakty (2004, nr 2 (23)). Opisuje on jednak de facto również tylko końcowy etap tych prób (z lat 1938–39) i wysunięte w tym zakresie hipotezy nadal wymagają dalszych poszukiwań w celu ich potwierdzenia.

Cały czas jednak był brak informacji o początkach tego zagadnienia, przeprowadzonych badaniach i dalszym kierunku prowadzonych poszukiwań w tej dziedzinie w okresie międzywojennym.

Umieszczony w powyższym artykule cytat ze skryptu szkoleniowego opracowanego przez Instytut Badania Materiałów Uzbrojenia pod tytułem „Amunicja karabinowa" (1933) autorstwa T. Łukaszewskiego w brzmieniu:

fot. Grzegorz Franczyk, J.Dąbrowski

www.odkrywca.pl

„Sprawa wyrobu łusek z żelaza powinna nas żywo zainteresować dlatego, że w czasie wojny zabraknie nam mosiądzu. W ubiegłych latach robiliśmy wprawdzie skąpe próby z różnymi materiałami zastępczymi, między innemi z blachą »Armco«, huty Bismarka Boehlera i zwykłą bednarką – niestety z wynikiem niepomyślnym" opisuje co prawda początki tego zagadnienia, ale w bardzo skąpy sposób i na dodatek błędny w pewnym zakresie wedle mojej oceny. Mogło to wynikać ze skąpych informacji samego autora w tym zakresie lub też z celowego wprowadzenia w błąd, aby ukryć stopień zaawansowania prac i kierunek prowadzonych wówczas badań nad materiałami zastępczymi na łuski karabinowe.

Zagadnienie samowystarczalności

Okres I wojny światowej jak i również nasze bezpośrednie doświadczenia z późniejszej wojny polsko-bolszewickiej wykazały dobitnie, że aby odnieść zwycięstwo na polu walki nie wystarczą genialne posunięcia strategiczne dowództwa, dyscyplina i hart ducha zwykłego żołnierza. Na sukces składa się również możliwość szybkiego zaopatrzenia armii w niezbędne materiały i wyposażenie techniczne. Wykazał również, że nagromadzone zapasy w okresie pokojowym nie są wystarczające na pokrycie zużycia i strat w czasie działań wojennych.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabrało zagadnienie samowystarczalności przemysłu krajowego w okresie prowadzenia długich działań wojennych, co było bezpośrednio również powodem i przyczyną powołania do życia w roku 1932 Towarzystwa Wojskowo-Technicznego. Miało ono zespolić działania polskich cywilnych uczelni technicznych oraz zainteresowanych kręgów wojskowych. Celem były prace nad zagadnieniami związanymi z obronnością kraju w kierunku odpowiedniego przygotowania obszaru przemysłowo-technicznego do właściwego wykonania powierzonych zadań, jaki stawiała przed nim ewentualna przyszła wojna.

Analizując treść artykułów zamieszczanych w technicznych czasopismach fachowych z okresu międzywojennego (1919–1939), takich jak „Przegląd Techniczny", „Wiadomości Towarzystwa Wojskowo-Technicznego", „Przegląd Mechaniczny", „Czasopismo Techniczne", „Hutnik",

Fe N 38 B – znakowanie polskiej amunicji 7,92x57 z łuską żelazną.

„Wiadomości Instytutu Metalurgii i Metaloznawstwa", „Wiadomości Techniczne Uzbrojenia" wyłania się obraz zaangażowania ośrodków naukowych, zajmujących się tą tematyką, z których głównym była niewątpliwie Politechnika Warszawska (dalej jako: PW) z jej Katedrą i Zakładem Metalurgii i Metaloznawstwa oraz powstałym później w jej strukturach Instytutem Metalurgii i Metaloznawstwa (wykonującego głównie właśnie prace na rzecz wojska). Nie umniejsza to oczywiście roli innych uczelni akademickich, do których należała niewątpliwie Akademia Górnicza (dalej jako AG) w Krakowie oraz Politechnika Lwowska (dalej jako PL).

Profesor inż. Stanisław Płużański, zajmujący się na Politechnice Warszawskiej właśnie zagadnieniami związanymi z technologią uzbrojenia i mobilizacją przemysłu na początku lat trzydziestych w swoim prelekcjach dotyczących stanu i dalszego rozwoju polskiego przemysłu zbrojeniowego, akcentował to w słowach:

„Przemysł uzależniony od dostawy surowców pochodzenia zagranicznego, w wypadku wojny i możliwości odcięcia od źródła tych dostaw, będzie tylko balastem, względnie >>>

Schemat zastosowania stopów użytkowych i ich namiastek.

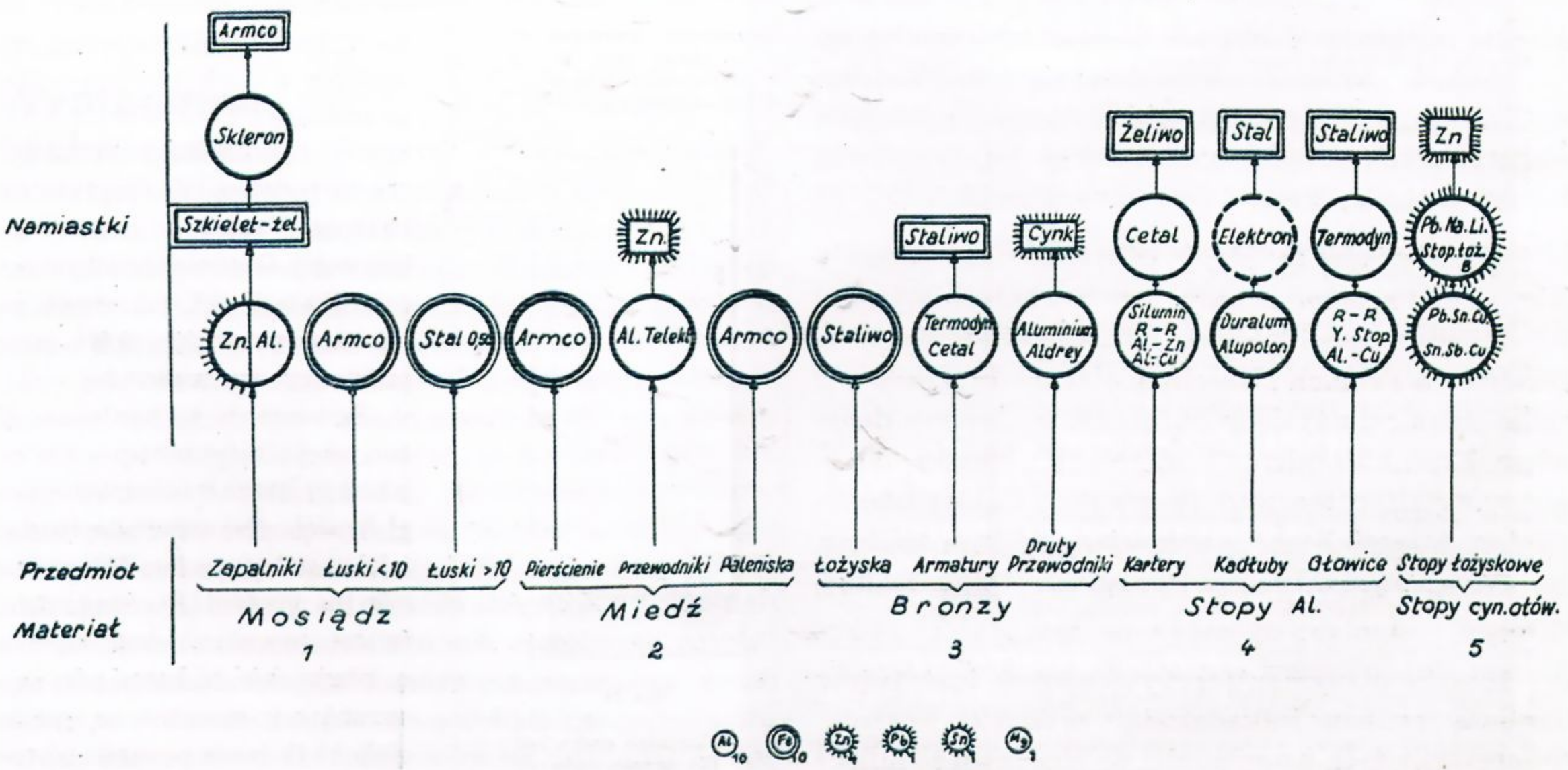

Rys. 1. Stopy użytkowe i ich namiastki.

www.odkrywca.pl

>>> – w najlepszym razie – pozycją skazaną z góry na unieruchomienie".

Znacznie szerszy wywód na ten temat można odnaleźć w jego artykule zatytułowanym „Przemysł a przyszła wojna", który później przerodził się w opracowanie książkowe („Zasady mobilizacji przemysłu na potrzeby obrony kraju", 1934). Z tej samej uczelni inny wybitny naukowiec prof. Jan Czochralski w artykule „Metale i ich namiastki w świetle samowystarczalności" również zwracał uwagę na to zagadnienie, ale już bardziej szczegółowo w słowach:

„W literaturze napotyka się wprawdzie na pewne wzmianki i wskazówki odnośnie do gospodarki surowcami i namiastkami – wskazówki te jednak są zbyt ogólne i nie wnikają bynajmniej w istotę rzeczy. Przy tym posiadają najczęściej tendencję ukrywania najważniejszych rzeczowych danych co do właściwego stosowania surowców i namiastek oraz osiągniętych za ich pomocą wyników, jak niemniej co do ich techniki manipulacyjnej.

Przytaczam tu jako przykład zastąpienie łusek mosiężnych do lekkich i ciężkich dział łuskami stalowymi. Wytwórczość łusek stalowych nie była w prasie w ten sposób omawiana, aby z punktu widzenia doboru materiału, jego plastycznej i cieplnej obróbki, jak również kontroli wyrobu można było odtworzyć jasny obraz wytwórczości, a wiadomo przecież, że ta ważna gałąź przemysłu wojennego jest z powodu swej subtelności niełatwa do opanowania."

Poglądy te i ich waga znajdowała również szeroki odzew w kręgach wojskowych w szeregu artykułów i opracowań, wymieniając chociażby takie wzmianki jak ppłk. W. Vorbrodta z opracowania „Techniczne możliwości broni, a zwłaszcza sprzętu artyleryjskiego" oraz ppłk. inż. Z. Wojnicz-Sianożęckiego w artykule „Ośrodki przemysłu wobec przyszłej wojny".

Bardziej szczegółowo tematykę podejmował prof. dr. inż. Wł. Łoskiewicz w artykule „Zagadnienie mosiądzu i jego namiastek":

„Zastępcze więc materjały należy dobierać, uwzględniając powyższe czynniki, a poza tem należy się liczyć, że materjały te muszą być dostępne w każdej chwili w dostatecznej ilości. Przed 7 laty, w artykule »O zagadnieniu metali zastępczych« podałem kilka przykładów zastępczych tworzyw z czasów wielkiej wojny. Obecnie chciałbym podać kilka ogólnych wskazówek, jakie materjały mogłyby w tym przypadku wchodzić w rachubę.

Ze względu na konieczność znacznej plastyczności – a więc jako namiastka mosiądzów – mogłaby wchodzić w rachubę bardzo miękka stal typu żelaza Armco. Stal taka ma pozatem i tę cenną zaletę, że jest stosunkowo dość odporna na rdzewienie. Niestety, przy stosowaniu tego materjału na wyroby głęboko tłoczone powstają pewne trudności fabrykacyjne, które wynikają z samej natury tego metalu:

„Przegląd Techniczny" 1937 r. – artyleryjskie łuski żelazne.

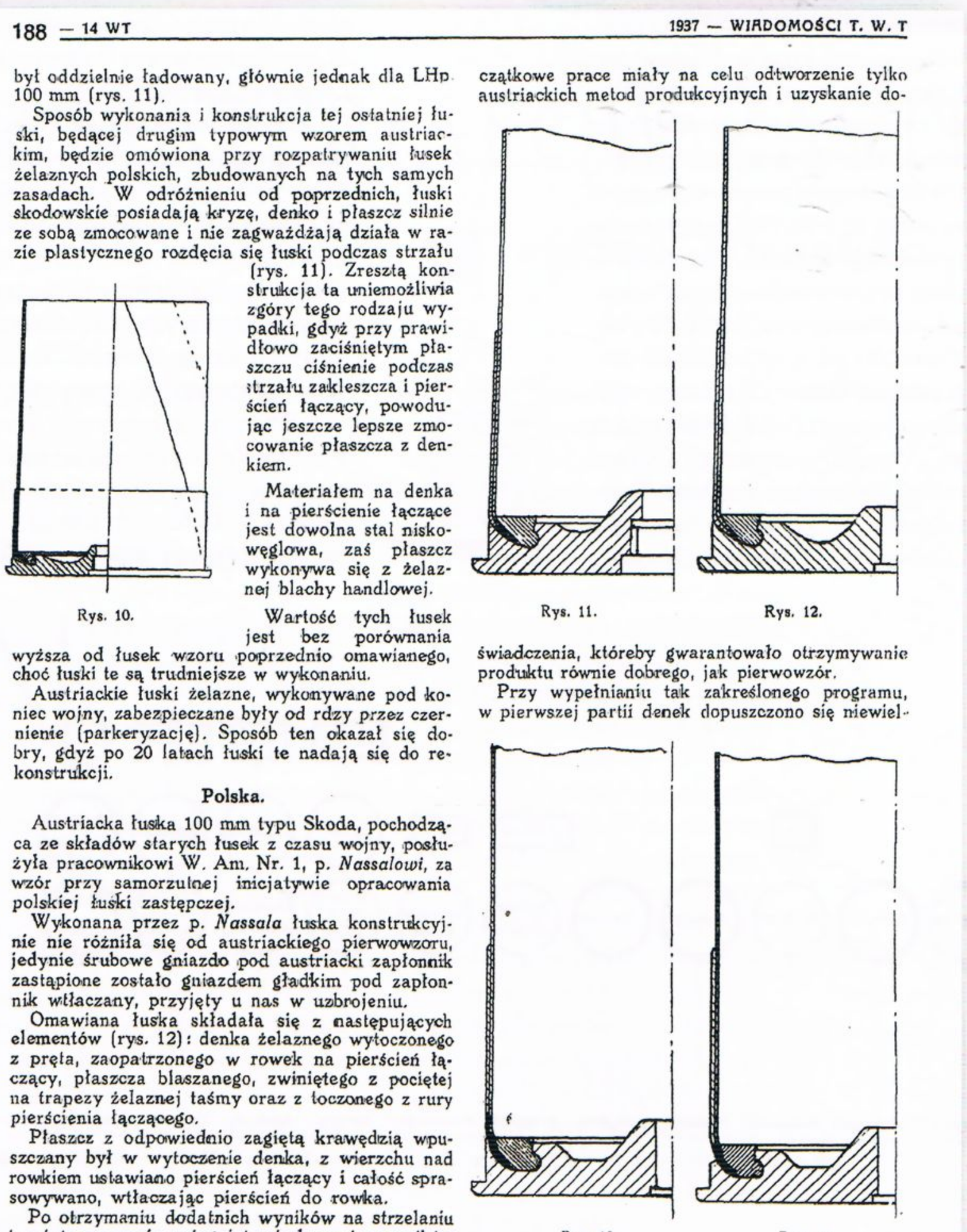

188 — 14 WT — 1937 — WIADOMOŚCI T. W. T

był oddzielnie ładowany, głównie jednak dla LHp 100 mm (rys. 11).

Sposób wykonania i konstrukcja tej ostatniej łuski, będącej drugim typowym wzorem austriackim, będzie omówiona przy rozpatrywaniu łusek żelaznych polskich, zbudowanych na tych samych zasadach. W odróżnieniu od poprzednich, łuski skodowskie posiadają kryzę, denko i płaszcz silnie ze sobą zmocowane i nie zagważdżają działa w razie plastycznego rozdęcia się łuski podczas strzału (rys. 11). Zresztą konstrukcja ta uniemożliwia zgóry tego rodzaju wypadki, gdyż przy prawidłowo zaciśniętym płaszczu ciśnienie podczas strzału zakleszcza i pierścień łączący, powodując jeszcze lepsze zmocowanie płaszcza z denkiem.

Materiałem na denka i na pierścienie łączące jest dowolna stal niskowęglowa, zaś płaszcz wykonywa się z żelaznej blachy handlowej.

Rys. 10.

Wartość tych łusek jest bez porównania wyższa od łusek wzoru poprzednio omawianego, choć łuski te są trudniejsze w wykonaniu.

Austriackie łuski żelazne, wykonywane pod koniec wojny, zabezpieczane były od rdzy przez czernienie (parkeryzację). Sposób ten okazał się dobry, gdyż po 20 latach łuski te nadają się do rekonstrukcji.

Polska.

Austriacka łuska 100 mm typu Skoda, pochodząca ze składów starych łusek z czasu wojny, posłużyła pracownikowi W. Am. Nr. 1, p. *Nassalowi*, za wzór przy samorzutnej inicjatywie opracowania polskiej łuski zastępczej.

Wykonana przez p. *Nassala* łuska konstrukcyjnie nie różniła się od austriackiego pierwowzoru, jedynie śrubowe gniazdo pod austriacki zapłonnik zastąpione zostało gniazdem gładkim pod zapłonnik wtłaczany, przyjęty u nas w uzbrojeniu.

Omawiana łuska składała się z następujących elementów (rys. 12): denka żelaznego wytoczonego z pręta, zaopatrzonego w rowek na pierścień łączący, płaszcza blaszanego, zwiniętego z pociętej na trapezy żelaznej taśmy oraz z toczonego z rury pierścienia łączącego.

Płaszcz z odpowiednio zagiętą krawędzią wpuszczany był w wytoczenie denka, z wierzchu nad rowkiem ustawiano pierścień łączący i całość sprasowywano, wtłaczając pierścień do rowka.

Po otrzymaniu dodatnich wyników na strzelaniu i zainteresowaniu osiągniętymi danymi czynników miarodajnych, sprawa łusek zastępczych stała się aktualną i przystąpiono do systematycznych prac nad nimi na szerszą skalę.

Konstrukcja łuski skodowskiej, która zdała egzamin wielkiej wojny, była uznana za wzorową i początkowe prace miały na celu odtworzenie tylko austriackich metod produkcyjnych i uzyskanie dowiadczenia, któreby gwarantowało otrzymywanie produktu równie dobrego, jak pierwowzór.

Rys. 11.

Rys. 12.

Przy wypełnianiu tak zakreślonego programu, w pierwszej partii denek dopuszczono się niewielkiej zmiany konstrukcyjnej w kształcie rowka pod pierścień łączący (rys. 13). Dla uproszczenia obróbki zmieniono go w tym sensie, że między promieniem podtoczenia a łukiem bocznego profilu,

Rys. 13.

Rys. 14.

www.odkrywca.pl

większa twardość, większe tarcie pomiędzy narzędziami i materjałem, wyższa temperatura rekrystalizacji itd. Przy zastosowaniu więc tego materjału należy szczegółowo przejrzeć tok fabrykacji i dostosować go do nowego materjału".

Także w artykule kpt. inż. W. Robowskiego „Zastosowanie żelaza jako materjału zastępczego na łuski karabinowe oraz możliwości zbytu tego żelaza na rynku prywatnym" dedykowanym już bezpośrednio temu zagadnieniu czytamy:

„Przystąpienie do wyrobu materjału zastępczego, zamiast mosiądzu, dopiero z chwilą wojny, napotka na nieprzewidziane trudności, a w samych hutach zapanuje na dłuższy czas chaos, który jest nieodłącznym a zrozumiałym objawem wszelkich przemian i inowacyj w produkcji, a tembardziej w okresie gorączkowym. Z brakiem zaś miedzi w krótkim czasie po wybuchu wojny liczyć się musimy, jako z faktem nieuniknionym, i dlatego konieczność dołożenia wszelkich starań, aby umożliwić produkcję odpowiedniego żelaza i łusek z niego, jest nazbyt widoczną, by jeszcze ją uzasadniać. Sprawa więc materjału zastępczego jest dla nas sprawą pierwszorzędnego znaczenia".

Poszukując informacji w tym temacie, należy wziąć również pod uwagę, że nie zawsze w danych sprawozdaniach naukowych i publikacjach znajdują się podane konkretne informacje (vide cytat J. Czochralskiego) dotyczące wprost możliwości zastosowania danych rozwiązań do wyrobu łusek z materiałów zastępczych. Wynika to też bezpośrednio z tego, że większość prac zlecanych i wykonywanych na potrzeby wojska posiadała statut utajnionych i nie mogła być bezpośrednio publikowana, ale ta ogólna wiedza pozwala mniej więcej wskazać kierunek prowadzonych podówczas badań.

Wymagania techniczne

Wyrób łusek żelaznych/stalowych w okresie II RP nie był wcale taką nowością dla Polskiej Armii jakby mogłoby się wydawać, bowiem z powodzeniem stosowano to rozwiązanie już w amunicji artyleryjskiej. Informacje w tym temacie można znaleźć w artykule inż. L. Szrojta zatytułowanym „Żelazne łuski działowe" opublikowanym w drugiej połowie lat 30.:

„Prace nad łuskami żelaznymi nie są jeszcze przez nas zakończone. Po za łuską 100 mm wz. 34 mamy opracowaną łuskę żelazną zwijaną wz. NS 1936 do armaty 105 mm wz. 1913 roku Na tych dwóch kalibrach zamyka się cykl prac nad łuskami niescalonymi z pociskiem. Z innych łusek żelaznych wykonana jest łuska żelazna zastępcza do rakiet, całkowicie ciągniona z żelaza. Obecnie główny wysiłek kładziemy na potanienie produkcji łusek żel. zw. wz. 34 r. przez największą oszczędność materiału i uproszczenie sposobu wykonania. Zaniechanie toczenia denek z pręta dało kolosalne w tym kierunku korzyści w postaci:

1) zmniejszenia stosunku ciężaru wiórów do ciężaru wykonanej produkcji z 68% : 32% na 43% : 57%

2) znaczne oszczędności na maszynach i przy produkcji wojennej. Ewolucję, którą przeszła łuska żelazna w Polsce, najlepiej ilustruje wykres spadku procentowego ceny łuski w zależności od jej konstrukcji (rys. 24 – str. 53 w tym artykule)".

Wracając jeszcze na chwilę do powyższego cytatu, zwracam uwagę na bardzo ciekawą informacje o wyrobie łusek ciągnionych z żelaza dla amunicji sygnałowej! Nie spotkałem się wcześniej z taką informacją w innych źródłach, jak również nigdy nie natrafiłem na fizyczny ślad istnienia czegoś takiego. Jak widać historia polskiej amunicji strzeleckiej zawiera jeszcze wiele nieodkrytych tajemnic.

Wprowadzając technologie produkcji łusek zastępczych z materiałów niemosiężnych do amunicji artyleryjskiej, uzyskiwano kilka istotnych korzyści:

– ograniczano by tym sposobem import zagranicznego mosiądzu przeznaczonego na ten cel,

– ze względu na różnice cen surowców wyjściowych kapitał zamrożony w zapasach mobilizacyjnych byłby około 70% mniejszy. Wynikało to z tego, że według podanych danych cena kilograma mosiądzu łuskowego wynosiła ok. 2,60 zł, natomiast używanego surowca żelaznego ok. 0,70 zł – było to zatem 3,5 razy taniej (informacja na podstawie artykułu),

– również różnica w cenie gotowego wyrobu była znaczna, gdyż łuska żelazna była prawie dwukrotnie tańsza w wykonaniu od łuski mosiężnej,

– produkcja łusek żelaznych nie wymagała również specjalnych pras i piecy jak w przypadku ciągnionych łusek mosiężnych i można >>>

REKLAMA

wprowadzono prostą, dającą płaskie denko rowka. Skutek tej zmiany był taki, że uwysmuklony

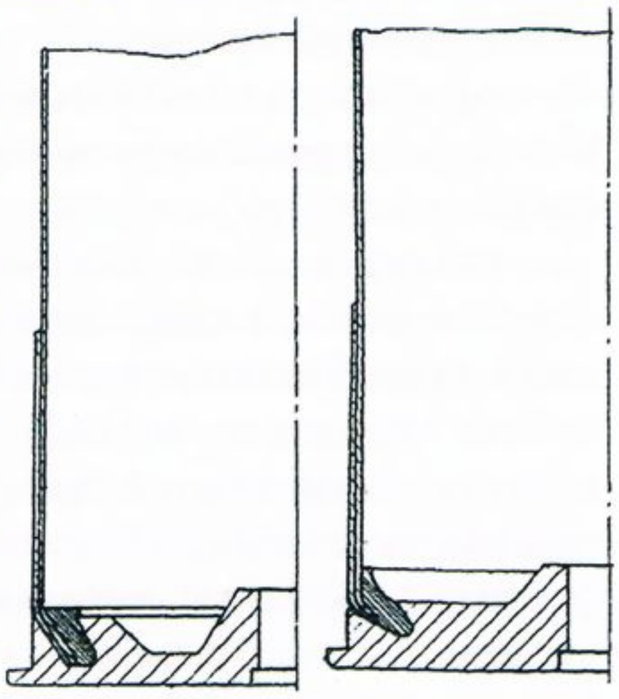

Rys. 15. Rys. 16.

kształt przekroju szyjki dawał rozdęcia przy strzale i łuski zacinały się w komorze nabojowej działa. Partię uratowano w ten sposób, że sfazowano niefortunnie śpiczaste obrzeże szyjki, usuwając słabą rozdymającą się jej część (rys. 14).

Po tej poprawce łuski zachowały się na strzelaniu dobrze, wobec czego przystąpiono do wstępnych studiów nad urządzeniem warsztatu do ich wytwarzania.

Jednocześnie z oficjalnymi próbami prowadzone były prace nad uproszczeniem konstrukcji łuski. Wynikiem tych prac było denko o prostolinijnych kształtach, tańsze i łatwiejsze w wykonaniu, scalane z takim samym jak poprzednio płaszczem wykrępowanym w stożkową obręcz płaskownikiem zamiast kosztownego toczonego pierścienia łączącego (rys. 15 i 16).

Rys. 17.

Końce płaskownika sfazowane uderzeniem przecinaka na prasie, zachodziły na siebie, a posiadając jednocześnie schodkowe wycięcia, dawały całkowitą szczelność po sprasowaniu (rys. 17).

Tak wykonana łuska dała na strzelaniu dodatnie wyniki i może być uważana za właściwe i ostateczne rozwiązanie zapoczątkowanej w Skodzie konstrukcji łuski zastępczej o 3-ch elementach składowych.

Zalety łusek łączonych płaskownikiem w stosunku do łusek łączonych pierścieniem toczonym, są oczywiste i nie wymagają specjalnego omówienia.

Kwestia wielkości kąta, ukształtowanego przez tworzącą walca szyjki z zewnętrzną tworzącą profilu rowka, która się wyłoniła podczas niefortunnej zmiany kształtu rowka, została ustalona szeregiem prób w ten sposób, że kąt musi być zawarty w granicach od ok. 55° do ok. 65°. Przy kącie mniejszym od 55°, podczas strzału następuje rozdęcie szyjki łuski, zaś przy kącie większym od 65° następuje rozdęcie blachy płaszcza, który wysuwa się z zakleszczenia. W obu wypadkach powstają trudności z usunięciem łuski z komory nabojowej

Rys. 18a.

Rys. 18b.

działa, co jest niedopuszczalne, a za tym łuski takie są złe (rys. 18 a i b).

Łuski bezpierścieniowe.

Dotychczasowe rozwiązanie łuski żelaznej zwijanej pomimo dobrych wyników na poligonie nie było wzorowe. Duża ilość operacyj przy przygotowaniu części składowych, pociągała za sobą odpowiednio dużą ilość maszyn, potrzebnych do wykonania łuski.

Niezbędne były maszyny: do cięcia, zwijania i zaginania płaszcza, do toczenia denek, do cięcia i zwijania płaskownika na pierścień, do scalania łuski i wreszcie do wykończania gotowej.

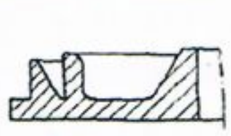

Rys. 19.

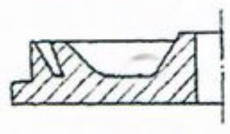

Rys. 20.

W związku z tym powstała myśl uproszczenia konstrukcji przez odrzucenie pierścienia i scalania bezpośrednio płaszcza z denkiem.

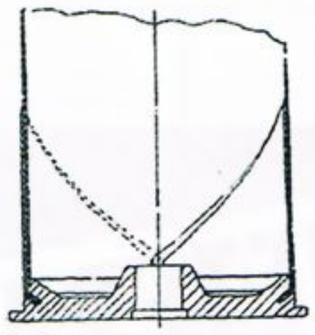

Rys. 21.

Po szeregu prób, w których brane były pod uwagę różne pomysły (rys. 19 i 20) ustaliła się konstrukcja p. *Nassala*, składająca się z denka i płaszcza, dziś zatwierdzona i wprowadzona do uzbrojenia jako łuska żelazna zwijana wz. 1934 r., która usunęła poprzednio rozpatrywane typy, składające się z 3 elementów (rys. 21).

Zasadniczą cechą tej łuski jest denko (rys. 22), posiadające nad szyjką rowek, skierowany w głąb materiału pod kątem 60° do osi, oraz ukształtowanie materiału nad rowkiem w ten sposób, że za-

„Przegląd Techniczny" 1937 r. – artyleryjskie łuski żelazne.

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

>>> było je wykonywać na znacznie prostszych i bardziej dostępnych maszynach,

– różnice w wadze gotowych wyrobów były zaniedbywalnie małe (z tym że na niekorzyść łusek żelaznych),

– ponadto okazało się, że łuski żelazne wytrzymują znacznie więcej strzelań i rekonstrukcji. Mogły dzięki temu służyć dłużej zanim zostałyby skasowane jako zużyte.

Osiągnięte pozytywne wyniki na tym polu były zapewne jednym z wielu czynników i impulsów do podjęcia działań mających na celu opracowanie i wdrożenie technologii produkcji łusek karabinowych z materiałów zastępczych, oczekując zapewne podobnych rezultatów końcowych. Ze względu na to jednak, że produkcja amunicji małokalibrowej nie mogła się odbywać według tej samej technologii jak dla amunicji artyleryjskiej, musiano założyć inne wymagania, uwzględniające aspekty tego zagadnienia.

Dla przypomnienia w okresie międzywojennym powszechnie stosowanym materiałem do wyrobu łusek amunicji małokalibrowej był głównie mosiądz o składzie CuZn33, choć również zdarzały się partie surowcowe mosiądzu o innym składzie CuZn28. Materiał ten charakteryzował się doskonałymi właściwościami ciągliwości podczas głębokiego tłoczenie wyrobów, które było podstawowym procesem technologii wyrobu łusek. Dlatego był tak dobrym tworzywem do ich wyrobu. Nawet pomimo jego stosunkowo wysokiej ceny i czasem w oparciu wyłącznie o jego eksport trudno było go zastąpić podówczas innym materiałem.

Ogólne wymagania, jakie stawiano przed materiałem zastępczym na łuski karabinowe, sformułowano wstępnie jako:

– surowiec musi być pochodzenia krajowego,

– surowiec musi być zdatnym do wykonania bez specjalnych kosztów danego wyrobu,

– surowiec ten musi znajdować szeroki zbyt na rynku prywatnym.

Miano zupełną świadomość tego, że wyrób łusek z materiału zastępczego niesie za sobą pewne zagrożenia, które nie rozwiązują tak naprawdę problemów. Znalezienie taniego surowca, lecz pociągającego za sobą niewspółmierne koszty wyrobu z niego łusek lub wpływającego negatywnie na zwiększenie zużycia broni palnej, nie może być uznane za rozwiązanie tej kwestii. Tak samo znalezienie taniego i dobrego materiału na łuski, ale którego brakuje w kraju nie wpłynie na rozwiązanie zagadnienia samowystarczalności. Ponadto innym bardzo ważnym aspektem była możliwość znalezienia zastosowania tego surowca na rynku prywatnym.

Należało zatem skierować poszukiwania w tej materii w celu opracowania tzw. „złotego środka".

www.odkrywca.pl

W okresie pokoju zapewniałby on krajowym hutom zbyt ich produkcji, pozwalając na ciągłe udoskonalanie wielkości produkcji i jakości wyrobu, w konsekwencji dążąc do obniżania ceny. W chwili wybuchu wojny stawałyby się one źródłem zaspokajającym wzmożone zapotrzebowanie wojska.

Rynek cywilny

Innym zagadnieniem, które należało rozpatrzyć w kontekście wdrożenia nowego materiału, to znalezienie jego zastosowania na rynku cywilnym. Przedsiębiorstwa musiały przecież zarabiać na siebie i mieć z tego zysk, wprowadzając w okresie pokoju swoje wyroby na rynek cywilny. Zamówienia ze strony wojska byłyby przecież w tym okresie znikome. Dopiero w okresie wojny, jak zakładano, nastąpiłby istotny wzrost zamówień ze strony wojskowej. Z drugiej natomiast strony w interesie obronności kraju było nie tylko to, aby zakłady posiadały zdolność zwiększenia produkcji zastępczego materiału podczas wojny. I takiż miałby być nowy surowiec, który miał również znaleźć szerokie zastosowanie w różnych dziedzinach przemysłu, takich jak: elektrotechnika, gazownictwo i wodociągi, chłodnictwie, przemysł chemiczny (zbiorniki, wanny), przetwórstwo emalierskie itp.

Co było oczywiste w tych rozważaniach, oczy badaczy skierowały się w jedynym możliwym kierunku surowcowym, jakim było żelazo oraz jego pochodne. Spełniało ono co najmniej trzy warunki stawiane materiałowi zastępczemu, a więc:

– niższa cena surowca niż mosiądzu,

– występowanie na terenie Polski rud żelaznych,

– zbyt tego surowca na rynku cywilnym.

Oprócz warunków ekonomicznych sformułowano również bardziej szczegółowe wymagania techniczne dla samego materiału w postaci:

– wytrzymałość mechaniczna przy ciśnieniu 3200 at podczas strzału,

– doskonała ciągliwość w postaci znacznej podatności na głębokie tłoczenie,

– odporność na korozję pod wpływem działania czynników atmosferycznych, zapewniająca dobrą konserwację amunicji i przechowywanie jej w warunkach nie zawsze odpowiednich.

Trzeba w tym momencie przybliżyć nieco technologię wykonywania łusek. Niezależnie od używanego surowca do ich wyrobu wymagano, aby materiał wyjściowy był najwyższej czystości dla uniknięcia pękania i rwania blachy w trakcie tłoczenia.

Osiągano to w ten sposób, że blacha przeznaczona jako materiał na łuski była walcowana w prostopadłych do siebie kierunkach, uzyskując dzięki temu równomiernie rozłożenie różnego rodzaju drobnych wtrąceń i takie same właściwości mechaniczne niezależnie od kierunku walcowania. Jednolitą drobnoziarnistą strukturę materiału uzyskiwano poprzez wyżarzanie w odpowiednich temperaturach zależnie od stopnia zgniotu zachodzącego przy walcowaniu. W przypadku gdyby taką blachę walcować tylko w jednym kierunku, uzyskałoby się różne właściwości w parametrach mechanicznych, które znacząco wpływałyby na zwiększenie brakowości półfabrykatu podczas kolejnych operacji technologicznych i właściwościach użytkowych końcowego wyrobu.

I tu wracamy na moment do początku artykułu, gdzie cytowano publikację T. Łukaszewskiego, w której jest mowa o zastosowaniu w próbach zwykłej bednarki. Jak widać nie mogła ona być użyta do tych prób właśnie z tego powodu, że bednarka jako taśma jest walcowana tylko w jednym kierunku, co ją zresztą dyskwalifikuje już na samym początku jako materiał wyjściowy na wyroby głęboko tłoczone.

Nieporozumienie w tym względzie mogło wynikać z tego, że taką blachę przeznaczoną do produkcji łusek faktycznie cięto później na paski o odpowiedniej szerokości i długości, z których w kolejnym etapie wycinano krążki o odpowiedniej średnicy. Następnie krążki te były poddawane kolejnym etapom wytłaczania i ciągnięcia w połączeniu z wyżarzaniem, aby w końcowym wyniku uzyskać wyrób w postaci gotowych już łusek – ujmując temat w dużym skrócie.

W części drugiej artykułu kontynuacja tematu w zakresie przeprowadzonych prób i wyników badań. <

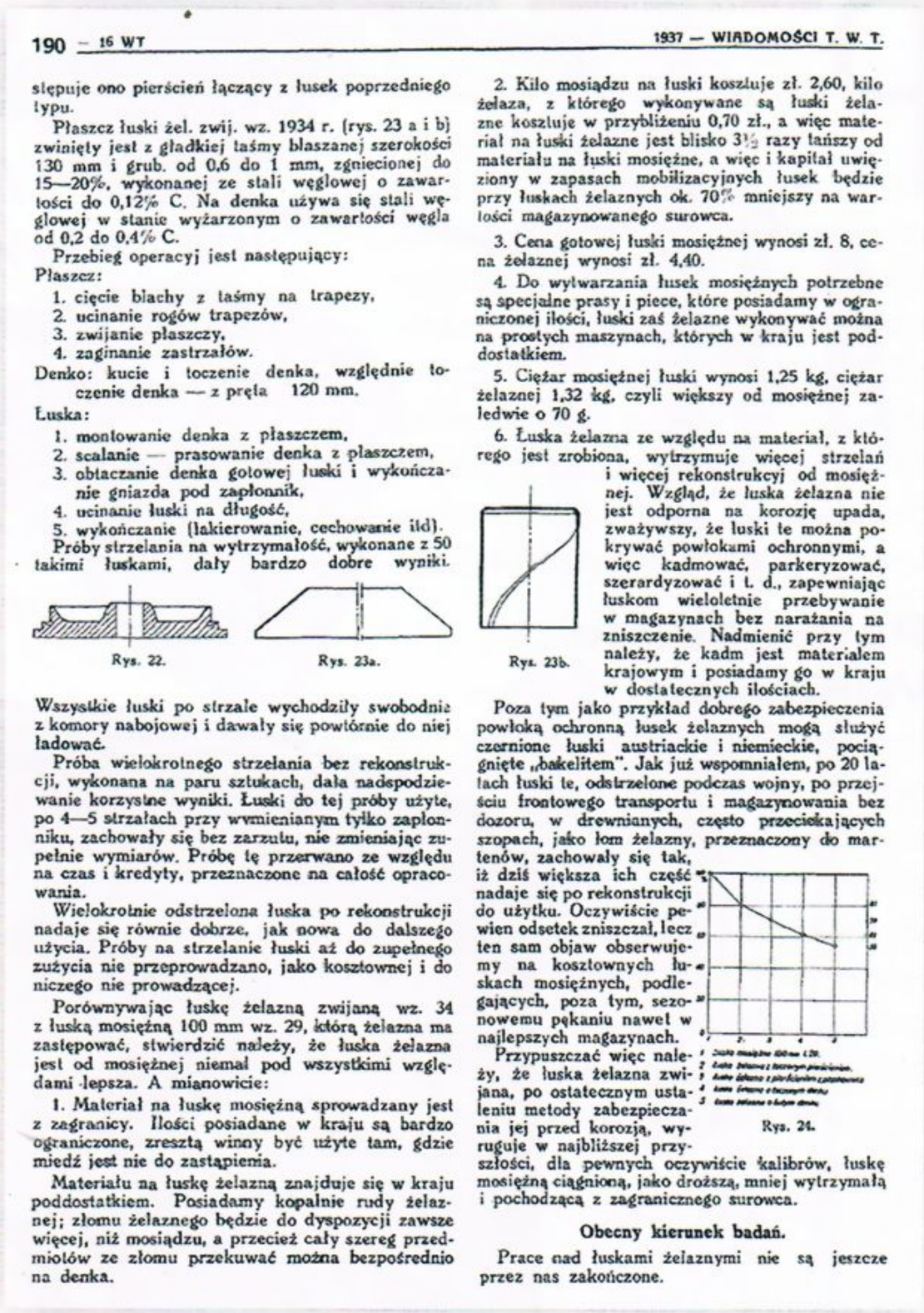

190 — 16 WT — 1937 — WIADOMOŚCI T. W. T.

stępuje ono pierścień łączący z łusek poprzedniego typu.

Płaszcz łuski żel. zwij. wz. 1934 r. (rys. 23 a i b) zwinięty jest z gładkiej taśmy blaszanej szerokości 130 mm i grub. od 0,6 do 1 mm, zgniecionej do 15—20%, wykonanej ze stali węglowej o zawartości do 0,12% C. Na denka używa się stali węglowej w stanie wyżarzonym o zawartości węgla od 0,2 do 0,4% C.

Przebieg operacyj jest następujący:

Płaszcz:
1. cięcie blachy z taśmy na trapezy,
2. ucinanie rogów trapezów,
3. zwijanie płaszczy,
4. zaginanie zastrzałów.

Denko: kucie i toczenie denka, względnie toczenie denka — z pręta 120 mm.

Łuska:
1. montowanie denka z płaszczem,
2. scalanie — prasowanie denka z płaszczem,
3. obtaczanie denka gotowej łuski i wykończanie gniazda pod zapłonnik,
4. ucinanie łuski na długość,
5. wykończanie (lakierowanie, cechowanie itd).

Próby strzelania na wytrzymałość, wykonane z 50 takimi łuskami, dały bardzo dobre wyniki.

Rys. 22. Rys. 23a.

Wszystkie łuski po strzale wychodziły swobodnie z komory nabojowej i dawały się powtórnie do niej ładować.

Próba wielokrotnego strzelania bez rekonstrukcji, wykonana na paru sztukach, dała nadspodziewanie korzystne wyniki. Łuski do tej próby użyte, po 4—5 strzałach przy wymienianym tylko zapłonniku, zachowały się bez zarzutu, nie zmieniając zupełnie wymiarów. Próbę tę przerwano ze względu na czas i kredyty, przeznaczone na całość opracowania.

Wielokrotnie odstrzelona łuska po rekonstrukcji nadaje się równie dobrze, jak nowa do dalszego użycia. Próby na strzelanie łuski aż do zupełnego zużycia nie przeprowadzano, jako kosztownej i do niczego nie prowadzącej.

Porównywając łuskę żelazną zwijaną wz. 34 z łuską mosiężną 100 mm wz. 29, którą żelazna ma zastępować, stwierdzić należy, że łuska żelazna jest od mosiężnej niemal pod wszystkimi względami lepsza. A mianowicie:

1. Materiał na łuskę mosiężną sprowadzany jest z zagranicy. Ilości posiadane w kraju są bardzo ograniczone, zresztą winny być użyte tam, gdzie miedź jest nie do zastąpienia.

Materiału na łuskę żelazną znajduje się w kraju poddostatkiem. Posiadamy kopalnie rudy żelaznej; złomu żelaznego będzie do dyspozycji zawsze więcej, niż mosiądzu, a przecież cały szereg przedmiotów ze złomu przekuwać można bezpośrednio na denka.

2. Kilo mosiądzu na łuski kosztuje zł. 2,60, kilo żelaza, z którego wykonywane są łuski żelazne kosztuje w przybliżeniu 0,70 zł., a więc materiał na łuski żelazne jest blisko 3½ razy tańszy od materiału na łuski mosiężne, a więc i kapitał uwięziony w zapasach mobilizacyjnych łusek będzie przy łuskach żelaznych ok. 70% mniejszy na wartości magazynowanego surowca.

3. Cena gotowej łuski mosiężnej wynosi zł. 8, cena żelaznej wynosi zł. 4,40.

4. Do wytwarzania łusek mosiężnych potrzebne są specjalne prasy i piece, które posiadamy w ograniczonej ilości, łuski zaś żelazne wykonywać można na prostych maszynach, których w kraju jest poddostatkiem.

5. Ciężar mosiężnej łuski wynosi 1,25 kg, ciężar żelaznej 1,32 kg, czyli większy od mosiężnej zaledwie o 70 g.

6. Łuska żelazna ze względu na materiał, z którego jest zrobiona, wytrzymuje więcej strzelań i więcej rekonstrukcyj od mosiężnej. Wzgląd, że łuska żelazna nie jest odporna na korozję upada, zważywszy, że łuski te można pokrywać powłokami ochronnymi, a więc kadmować, parkeryzować, szerardyzować i t. d., zapewniając łuskom wieloletnie przebywanie w magazynach bez narażania na zniszczenie. Nadmienić przy tym należy, że kadm jest materiałem krajowym i posiadamy go w kraju w dostatecznych ilościach.

Rys. 23b.

Poza tym jako przykład dobrego zabezpieczenia powłoką ochronną łusek żelaznych mogą służyć czernione łuski austriackie i niemieckie, pociągnięte „bakelitem". Jak już wspomniałem, po 20 latach łuski te, odstrzelone podczas wojny, po przejściu frontowego transportu i magazynowania bez dozoru, w drewnianych, często przeciekających szopach, jako łom żelazny, przeznaczony do martenów, zachowały się tak, iż dziś większa ich część nadaje się po rekonstrukcji do użytku. Oczywiście pewien odsetek zniszczał, lecz ten sam objaw obserwujemy na kosztownych łuskach mosiężnych, podlegających, poza tym, sezonowemu pękaniu nawet w najlepszych magazynach.

Rys. 24.

Przypuszczać więc należy, że łuska żelazna zwijana, po ostatecznym ustaleniu metody zabezpieczania jej przed korozją, wyruguje w najbliższej przyszłości, dla pewnych oczywiście kalibrów, łuskę mosiężną ciągnioną, jako droższą, mniej wytrzymałą i pochodzącą z zagranicznego surowca.

Obecny kierunek badań.

Prace nad łuskami żelaznymi nie są jeszcze przez nas zakończone.

„Przegląd Techniczny" 1937 r. – artyleryjskie łuski żelazne.

Piotr J. Bochyński
Odkrywca, hobbysta i pasjonat historii polskiej amunicji strzeleckiej.

www.odkrywca.pl

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 22

LODOWE TCHNIENIE

TOMASZ BIENEK

Koszmar wojny w zimowych warunkach automatycznie kojarzy się z gigantycznymi zmaganiami między wojskami Osi a Armią Czerwoną na froncie wschodnim, ale większość problemów, na jakie tam napotykano, była udziałem żołnierzy walczących na północnych rubieżach europejskiego kontynentu. Tam zimno i śnieg – bo nawet nie sama zima – dały się we znaki Polakom, Francuzom, Anglikom, Norwegom, Szwedom...

Pierwszą kampanią zimową drugiej wojny światowej była Wojna Zimowa w Finlandii, która dobitnie pokazała jak niska temperatura i śnieg mogą wpłynąć na działania bojowe. Sowieci byli kompletnie nieprzygotowani do panujących warunków, co doskonale wykorzystali Finowie umiejący jeździć na nartach, mający ciepłe i maskujące ubiory. Straty Sowietów, tak samo ludzkie i sprzętowe, były ogromne i przerażające.

Potomkowie Wikingów

Drugą kampanią zimową była kampania norweska, a szczególnie bitwa o Narwik. Choć bitwa o Narwik toczyła się wiosną 1940, to jednak warunki za kołem podbiegunowym, wysokie góry zamieniły tam wiosnę w zimę, co bardzo zaskoczyło zarówno Wehrmacht jak i aliantów. Nieprzygotowani byli również – o dziwo, potomkowie walecznych Wikingów; Norwegowie, którzy przez dziesiątki lat naiwnie wierzyli, że nie dotrze do nich wojna. Dzięki takim iluzjom Norwegowie nie potrafili zatrzymać niemieckiego desantu, nie potrafili również ochronić swych magazynów zaopatrzeniowych, które praktycznie bez jednego wystrzału przejęli Gebirgsjäger.

Jeden z wielu pojemników ze smarem do nart pochodzący z komercyjnej produkcji.

11 kwietnia 1940 norwescy żołnierze, którzy wydostali się z Narwiku (opanowanego już przez Gebirgsjäger z 3 Dywizji Górskiej gen. Eduarda Dietla) zabrali ze sobą tylko tyle broni i amunicji, ile mogli unieść, oraz skromne racje żywnościowe. Brak nart spowodował, że w pokrytych śniegiem górach poruszanie się było trudne i wyczerpujące. Po dotarciu do Bjørnfjell (stacja graniczna na linii kolejowej łączącej szwedzką kopalnię rudy żelaza w Kirunie z portem w Narwiku) Norwegowie zostali wyposażeni przez oddział szwedzkiej armii stacjonujący po drugiej stronie granicy w narty, zimowe ubiory maskujące, amunicję karabinową i prowiant. Białe ubiory maskujące szyła im również miejscowa ludność. Na zdjęciach widać wyraźnie, że tylko Norwegowie z 6 Dywizji generała Karla Gustava Fleischera walczącej w okolicach Narwiku mają profesjonale maskowanie.

Firanki, obrusy i prześcieradła

Walki o Narwik zwracają uwagę na kolejny istotny problem walk w zimowych warunkach, mianowicie zimowe

www.odkrywca.pl

PÓŁNOCY

maskowanie. Choć kamuflaż ten nie wymaga zbytnich badań czy testów – chodzi przecież jedynie o nadanie białej barwy mundurom czy pojazdom – wydaje się, że Niemcy z kampanii norweskiej nie wyciągnęli żadnych wniosków w tej materii. Pod Narwikiem maskowanie robili we własnym zakresie z prześcieradeł, firanek i obrusów zarekwirowanych miejscowej ludności. Poświadczają to zdjęcia dokumentalne walczących w Norwegii m.in. strzelców górskich. Podczas pierwszej rosyjskiej zimy improwizował tak cały Wehrmacht na wschodzie. Oprócz prowizorycznych ubiorów maskujących stosowano tam równie prowizoryczny kamuflaż pojazdów – z braku białej farby pancerze wozów bojowych często pokrywano białymi kreskami wykonywanymi kredą. Jako ciekawostkę przytoczyć też można, iż rok później, gdy armia niemiecka dysponowała już rewelacyjnym umundurowaniem zimowym, jego białą stronę – najbardziej narażoną na zabrudzenie np. błotem lub krwią, przez co mundury traciły walory maskujące – pokrywano w celu ponownego „wybielenia" właśnie farbą. Czyszczenie lub pranie mundurów zimą było bowiem w praktyce niewykonalne, o czym pisaliśmy w poprzednim odcinku naszego zimowego cyklu.

Grzęznąc w śniegu

Choć zamarznięcie i śmierć głodowa to najbardziej zauważalne i nieodwracalne, a jednocześnie najczęściej eksponowane w wojennych filmach i literaturze tematu aspekty zimowych zagrożeń, ekstremalna pogoda utrudniała żołnierzom życie na wiele innych, bardziej prozaicznych sposobów. Jedną z bolączek była trudność w… chodzeniu. Żołnierze i konie grzęźli w kopnym śniegu, który spowalniał tempo marszu. Pomimo morderczych wysiłków przemieszczające się kolumny pokonywały jedynie niewielkie odległości w śnieżnej zawiei. Brakowało rakiet śnieżnych, ułatwiających chodzenie po śniegu, a ilość nart była niewystarczająca, poza tym jedynie niewielka liczba niemieckich żołnierzy potrafiła z nich należycie korzystać. Kroplą w morzu potrzeb były rekwizycje nart wśród ludności >>>

Podczas walk na zaśnieżonych obszarach Północy żołnierze musieli być wyposażeni w gogle chroniące przed ślepotą śnieżną. Obie strony wykorzystywały m.in. gogle szwajcarskie, używane zarówno przez szwajcarską armię, jak i produkowane na rynek komercyjny. Na zdjęciu szwajcarskie wojskowe gogle z okresu II wojny światowej.

Składane okulary Augenschützer 42 były powszechne w Wehrmachcie, jednak gogle te są francuskim wynalazkiem.

Brak nart był odczuwalny w niemieckiej armii. Na zdjęciu klasyczne narty produkowane dla Wehrmachtu w regulaminowym malowaniu. Posiadają wiązania typu Kandahar, kijki wykonane są z bambusa. Typowych wojskowych nart było jednak najmniej, większość używanych odmian stanowiły różne narty z produkcji cywilnej.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

>>> pokonanych krajów oraz kursy narciarskie dla żołnierzy Wehrmachtu i SS. Nie można było przecież odwołać z frontu zbyt dużej ilości wojska, by uczyć żołnierzy jazdy na nartach, których i tak brakowało. Jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy je otrzymali, był William Lubbeck, któremu ze względu na specyfikę służby jako obserwatorowi artylerii przysługiwał środek szybkiego przemieszczania się wśród śnieżnych zasp.

– Gdy pokrywa śnieżna osiągnęła grubość trzydziestu centymetrów, odległość kilkuset metrów między schronem tyłowym a frontem znacznie łatwiej było przebyć na nartach niż pieszo. Co ważniejsze, narty pozwalały mi przemieszczać się znacznie szybciej przez otwarty teren wystawiony na ostrzał rosyjskich snajperów – relacjonuje weteran w swoich wspomnieniach.

Należy dodać, że w celu zapewniania walczącym oddziałom jak największej ilości nart, na front trafiały wszelkie sportowe, cywilne modele, pochodzące z najróżniejszych wytwórni. Wraz z nartami wysyłano żołnierzom narciarskie buty, z których znaczną większość stanowiły zarekwirowane lub zakupione u różnych producentów wzory. Dla kolekcjonerów i poszukiwaczy ekwipunku z czasów II wojny światowej jest to cenna wskazówka, gdyż rozmaite akcesoria do nart, jak puszki wosku lub smaru do nart z lat 30. i 40., sporadycznie pojawiające się na rynku lub znajdowane na pobojowiskach, stanowią interesujące uzupełnienie zimowego wyposażenia.

Czy muły są w butach?

Opady śniegu, które unieruchamiały pozbawioną nart i rakiet śnieżnych piechotę, paraliżowały też ruch pojazdów. Samochody nie mogły pokonywać dróg zasypanych nieraz na metr lub więcej, zaś innym razem – zakopane w śniegu w ciągu jednej nocy aż po dach były z trudem odnajdywane przez kierowców. W pojazdach pancernych błoto i śnieg, dostające się między rzędy kół oraz w gąsienice, zamarzały, zamieniając skomplikowany układ jezdny w niemożliwą do poruszenia lodową bryłę. Znane są zdjęcia dokumentalne przedstawiające załogi wozów bojowych próbujących za pomocą ognia roztopić lód i ponownie uruchomić pojazd. Podczas kampanii norweskiej wiosną 1940 roku, dzięki rakietom śnieżnym, Norwegowie zrobili rzecz, która wydawała się nierealna. W rakiety śnieżne wyposażyli… muły, mocując zimowe obuwie do ich kopyt. Dzięki takiemu rozwiązaniu potrafili wciągnąć w głębokim śniegu armatę na szczyt górski.

Pancerne… sanie

Prowadząc rozważania na temat trudności w poruszaniu się, jakie nastręczają obfite opady śniegu, warto wspomnieć o pewnego rodzaju kuriozum z dziedziny wojsk pancernych, które pojawiło się na froncie podczas fińsko-sowieckiej Wojny Zimowej. Armia Radziecka wprowadziła wtedy do użytku dziwactwo, które najprościej można nazwać „pancernymi saniami". Miały być zimowym odpowiednikiem taczanki, z tym że solidnie opancerzonej. Gdy po ataku na małą, ale bitną i dzielną Finlandię, okazało się że sowieckie kolumny, grzęznąc w śniegach, ponoszą niewyobrażalne wręcz straty, najprawdopodobniej w myśl maksymy „tonący chwyta się brzytwy", Fabryka Iżorska, jeden w największych dostawców sprzętu pancernego w ZSRR, opracowała dziwacznego potworka, który, choć z daleka przypominał sylwetką czołg,

Niemieckie wojskowe buty narciarskie – regulaminowy wzór.

Cywilne buty narciarskie z okresu II wojny światowej mogły z powodzeniem być używane na froncie.

był jedynie stalowym monolitem, którego płozy zaledwie wyglądały jak gąsienice. Uzbrojenie tego dziwadła stanowił karabin maszynowy. Wóz ten, będący pojazdem jedynie z nazwy, w zamyśle konstruktorów miał być holowany przez prawdziwy czołg lub jakikolwiek inny pojazd mechaniczny. Dopuszczano też scenariusz, wedle którego stalowe dziwactwo – wzorem taczanki – miały ciągnąć konie. Już sama koncepcja takiego pancernego wozu jest absurdalna. O ile prawdziwe taczanki, lekkie i zwinne, ciągnięte przez rącze konie, mogły siać postrach latem na stepie, to ich stalowe odpowiedniki, będące efektem chorych snów sowieckich projektantów, zapewne przyczyniły się jedynie do jeszcze większych strat – oczywiście po radzieckiej stronie. W zamyśle, te zdumiewające „pojazdy" miały zrekompensować radzieckim oddziałom pancernym wielkie straty, ponoszone w wyniku skuteczności fińskiej obrony przeciwpancernej. Można jedynie wyobrażać sobie tragikomiczny efekt końcowy, w którym toporne, opancerzone sanie pozbawione własnego napędu, grzęznące w głębokim śniegu, powolnie manewrują na holowniczej linie wśród gęstego lasu, i powoli są otaczane przez oddział zwiewnych jak duchy fińskich strzelców na nartach, sięgających już po butelki z benzyną…

Sanie samobieżne

Paradoksalnie dziwaczny „zimowy czołg", który pozostaje mało znany zarówno polskim, zachodnim jak i nawet rosyjskim entuzjastom militariów, można dziś oglądać w północnej części Rosji jako… element małej architektury miejskiej. Kompletna nieprzydatność tego typu wozów sprawiła, iż zapewne sporo z nich wycofano z frontu – być może inne egzemplarze w ogóle tam nie trafiły i dziś pełnią rolę obelisków, wojennych pomników, a nawet elementów placów zabaw czy ozdób trawników. Na nieszczęście dla Wehrmachtu, rok później inżynierom z radzieckich biur projektowych nie przychodziły już do głowy tak głupie pomysły, lub – co w sowieckich realiach jest bardzo prawdopodobne – ich autorzy dogorywali już wtedy w łagrach. Należy też wspomnieć, iż na północnym odcinku frontu wschodniego, zarówno Armia Czerwona, jak i Wehrmacht dysponowały prawdziwymi motorowymi saniami. Pojazdy te, napędzane za pomocą śmigła, były alternatywnym środkiem transportu w zimowych warunkach, jednak zużywały duże ilości paliwa.

Ciemność widzę

Walki w arktycznych warunkach przypominają też o kolejnej trudności, z jaką stykali się żołnierze rzuceni w nieprzyjazne środowisko. Była nią ślepota śnieżna, powstająca w wyniku oparzenia siatkówki oka u osoby narażonej na długie przebywanie na silnie nasłonecznionym, zaśnieżonym obszarze. Przed tym zagrożeniem stają turyści, narciarze, himalaiści… Tymczasem to rozmaite wymogi służby wojskowej wymagają właśnie wytężonej pracy ludzkich oczu, stwarzając większe ryzyko oślepnięcia. Obserwatorzy artylerii, czy sami artylerzyści, zwiadowcy lub nawet zwykli żołnierze, wytężający wzrok w oślepiającej bieli, musieli zapewne dostawać szału, pozbawieni należytej ochrony oczu. Wiosną 1940 roku pod Narwikiem niemieckim oddziałom okulary dostarczano drogą powietrzną. Po raz kolejny zadziwia brak przygotowania, a przecież to właśnie niemiecka armia – przynajmniej w militarnych stereotypach – uchodzi za wzór pragmatyzmu i wojskowej inwencji. Tymczasem to nie pod Stalingradem, ale już w Norwegii wiosną 1940 Niemcom brakowało wyposażenia i umundurowania zimowego, mimo że walczący żołnierze byli austriackimi góralami z Alp, którzy powinni jednak mieć świadomość czego potrzeba ludziom w górach podczas zimy. Tymczasem nie mieli sań, nart, zimowego sprzętu biwakowego, gogli zimowych, zimowych ubiorów maskujących.

Pojemniki oleju do konserwacji obuwia górskiego i narciarskiego; są to produkty niemieckie.

Wraz z nartami różnego pochodzenia na front docierały też rozmaite narciarskie akcesoria. Na zdjęciu puszki wosku do nart.

Augenschützer 42

Kiepsko były również wyposażone brytyjskie oddziały Scots Guards i Irish Guards. Winę za to >>>

www.odkrywca.pl

>>> ponosiła logistyka. Po przybyciu na miejsce gen. Mackesy stwierdził, że jego brygadzie brakowało w zasadzie wszystkiego: pocisków moździerzowych, granatów ręcznych, zapasowej amunicji, artylerii polowej i przeciwlotniczej, nart, rakiet śnieżnych, ciężarówek, barek desantowych.

Lepiej wyposażeni byli Francuzi. Pomimo że z żołnierzami Legii Cudzoziemskiej przerzuconymi z Północnej Afryki za koło podbiegunowe było różnie, to jednak Chasseurs Alpins mieli ciepłe, górskie umundurowanie, narty i rakiety śnieżne, nie brakowało im też okularów śnieżnych. Warto w tym miejscu wspomnieć o popularnych niemieckich osłonach oczu – Augenschützer 42, rodzaju tanich gogli wykonanych z tworzywa sztucznego, chowanych do tekturowej torebki. W Wehrmachcie występowały w wersji białej i przyciemnianej, obie odmiany miały tą samą konstrukcję. Chociaż te składane gogle kojarzone są jako tani i umożliwiający masową produkcję wynalazek III Rzeszy, to model ten pochodzi z przedwojennej Francji. Trudno jednoznacznie określić, czy francuscy strzelcy alpejscy otrzymywali te okulary jako wzór opracowany specjalnie dla wojska, czy po prostu armia kupiła któryś z tanich, lecz dobrych cywilnych modeli dla turystów górskich i narciarzy. Faktem pozostaje, iż składane gogle z tworzywa, widywane u żołnierzy niemieckich na pustyni Afryki lub stepach Rosji, Niemcy po raz pierwszy zobaczyli u przeciwnika właśnie pod Narwikiem, doceniając prostą konstrukcję na tyle, iż zdecydowali się na rozpoczęcie własnej produkcji.

Polacy z Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich byli oddziałem górskim tylko z nazwy, choć górowali nad innymi doświadczeniem bojowym części żołnierzy weteranów, wyniesionym z kampanii wrześniowej i wojny domowej w Hiszpanii. Niewielu było tam ludzi z gór, wyposażeni byli kiepsko m.in. nie posiadali butów górskich, słynne peleryny według jednych były zbędnym i kłopotliwym balastem, według wspomnień innych bardzo przydawały się i dzięki nim oraz kocowi można było przetrwać noc w górach. Mimo tych braków polscy żołnierze wykazali się bardzo dobrą skutecznością i odwagą.

Kto porąbie... ser?

Kolejnym zimowym mankamentem, nie tak strasznym rzecz jasna jak zamarznięcie na śmierć, ale mocno komplikującym bytowanie na froncie, było zamarzanie posiłków i napojów. W świetnym filmie wojennym produkcji fińskiej „Wojna zimowa", opowiadającym o pierwszej fazie fińsko-sowieckiego konfliktu, dzielni Finowie zastanawiają się jak pociąć ogromny kawał żółtego sera, przywieziony przez zaopatrzeniowców. Któryś z żołnierzy rzuca żartem, że dopomóc tu może tylko artyleria. We wspomnieniach wielu żołnierzy, nie tylko fińskich czy niemieckich, pojawiają się opisy desperackich prób rąbania zamarzniętych kawałów sera, kiełbas lub innych produktów spożywczych łopatkami czy bagnetami. O frustrującym doświadczeniu, jakim była konfrontacja głodnego żołnierza z zamarzniętym posiłkiem, wspomina weteran formacji zaopatrzeniowych Wehrmachtu Guy Sajer:

– Ruszyliśmy w drogę w kierunku północno-wschodnim. Mieliśmy dotrzeć do sektora gdzieś w okolicach Woroneża. Otrzymaliśmy specjalne racje żywnościowe, jakie żołnierze dostają w czasie mrozów, pakiet opatrunkowy i na dwa dni jedzenie z kuchni. Poruszaliśmy się pokrytymi śniegiem śladami – trudno to było nazwać drogą. (...) Otworzyłem menażkę. Minęło już sporo czasu, kiedy dwudniowy posiłek, jaki rozdano nam wczesnym

WALKA Z ZIMNEM

1 WOJNA ZIMOWA
Ogromna dysproporcja sił, skrajne warunki klimatyczne i nieoczekiwany rezultat. Mimo ogromnej przewagi agresor został odparty. Tak pokrótce można scharakteryzować Wojnę Zimową z 1939-40 roku, jak nazywa się konflikt toczony po ataku ZSRR na Finlandię. Kluczowym czynnikiem była tu zdolność prowadzenia działań w warunkach mroźnej zimy jak i zdolności adaptacyjne żołnierzy obu stron.

2 LENINGRAD
900 dni oblężenia Leningradu od 8 września 1941 do 27 stycznia 1944, milion ofiar i tragiczna w skutkach zima przełomu 1941-42. Warunki klimatyczne w zależności od pór roku stanowiły istotny czynnik dla obu stron, mroźne zimy, zamieniały się w upalne lata pełne insektów, luki w zaopatrzeniu po stronie niemieckiej i gehenna cywili oblężonego miasta.

3 STALINGRAD
23 sierpnia 1942 – 2 lutego 1943 – jedna z największych i najkrwawszych batalii drugiej wojny, walki o każdy dom, ponury krajobraz zniszczonego miasta i dojmująca zima, która w obliczu oblężenia i braku wszelkiego rodzaju materiałów wojennych siała spustoszenie wśród ludzi i sprzętu.

4 NARWIK
Bitwa o Narwik 9 kwietnia – 8 czerwca 1940, mimo iż zaczęła się wiosną, zaskoczyła obie strony konfliktu. Zarówno alianci jak i Niemcy nie byli przygotowani do zimowych warunków. Miejscowość leżąca za kołem podbiegunowym dostarczyła wiele „mroźnych atrakcji" nawet o tej porze roku.

5 ARDENY
16 grudnia 1944 – 25 stycznia 1945 – ostatnia duża ofensywa niemiecka na froncie zachodnim. Była dużym zaskoczeniem dla aliantów, tutaj początkowe sukcesy strona niemiecka zawdzięczała w znaczniej mierze ciężkiej zimowej pogodzie, która uziemiła lotnictwo.

www.odkrywca.pl

Francuskie gogle śnieżne dla Strzelców Alpejskich.

Szwajcarskie gogle z I wojny światowej wraz z pojemnikiem.

popołudniem, ostygł, a potem zamarzł w metalowym naczyniu. Przypominało to flaczki. Tak, pachnie nieszczególnie – rzekłem".

Konsumowanie na wpół zamarzniętych posiłków, nie dość, że okropne samo w sobie, dodatkowo kończyło się na takich uciążliwych problemach z żołądkiem jak biegunka. O braku możliwości należytego załatwienia potrzeb fizjologicznych podczas rosyjskiej zimy oraz równoczesnej niemożności umycia się przy kilkudziesięciostopniowym mrozie pisaliśmy w poprzednim odcinku – w ten sposób zamykało się kolejne koło zimowej makabry żołnierzy.

Futro na manierkę

Co ciekawe, dość dobre wyposażenie chroniące żołnierzy przed tego typu problemami posiadała armia japońska. Cesarscy żołnierze, choć w ówczesnym zachodnim propagandowym stereotypie przedstawiani niemalże jako rdzenni >>>

W elitarnych oddziałach górskich po obu stronach nie brakowało ludzi związanych z górami także w życiu cywilnym. Służyli tam himalaiści, przewodnicy górscy, instruktorzy narciarscy... Ludzie ci wiedzieli, co będzie im potrzebne, więc sami uzupełniali regulaminowy ekwipunek. Na zdjęciu okulary chroniące przed ślepotą śnieżną pochodzące z prywatnych zakupów.

Zimowa czapka armii szwedzkiej, model pochodzący jeszcze z I wojny światowej. Czapek takich mogli używać wspomagani przez Szwedów Norwegowie czy Finowie lub szwedzcy ochotnicy walczący po stronie Finów w wojnie z ZSRR.

fot. Tomasz Bielek

>>> mieszkańcy tropikalnej dżungli lub wręcz małpy, w rzeczywistości znacznie lepiej radzić mogli sobie w arktycznych warunkach. Japończycy dysponowali zarówno ciepłymi mundurami jak i specjalnymi, wyłożonymi futrem pokrowcami na manierki i menażki, które chroniły zawartość tych naczyń przed mrozem. Niemieckie filcowe pokrowce manierek nadawały się raczej do ochładzania zawartości manierki latem (po zamoczeniu) niż do ochrony przed zimnem. Jak wiadomo zdecydowana większość radzieckich manierek wykonana jest ze szkła, więc jedynym płynem, który nie zamarzał i nie rozsadzał od środka manierki, był mocny alkohol.

Subpolarne lotnictwo

Podczas walk na Północy zimowe warunki potęgowane były przez problemy wynikające z ciężkiego terenu: pustkowia, góry, jeziora i fiordy, słaby stan dróg. Obfite opady, zamiecie śnieżne, mgła, niska temperatura, szczególnie nocą (choć noc była iluzoryczna, gdyż w kwietniu i maju nawet nocą za kołem podbiegunowym jest jasno), powodowała kłopoty z przemieszczaniem się oddziałów, błądzeniem – nawet Norwegów, którzy bardzo dobrze znali okolice i mieli dodatkowo przewodników. Nie można było realizować wyznaczonych zadań, choć trzeba dodać, że Austriacy jednak wywiązywali się z wyznaczonych celów najlepiej, mimo tych trudnych warunków.

Notowano wielkie trudności z dostarczaniem zaopatrzenia. Z uwagi na ciężkie zimowe warunki w czasie walk w Narwiku obie strony używały lotnictwa do zaopatrywania swoich sił. Pierwszy zrzut zaopatrzenia wykonali Norwegowie 14 kwietnia 1940 w rejonie Bjørnfjell przy granicy ze Szwecją, dzień później zaopatrzenie dostarczyły cztery norweskie samoloty lądujące na zamarzniętych jeziorach.

Niemcy, walczący w okrążeniu w Narwiku, stale byli zaopatrywani w sprzęt i ludzi drogą powietrzną przez zrzuty i hydroplany lądujące w fiordach. Z różnymi rezultatami. Bardzo często zrzucany sprzęt i broń ulegały zniszczeniu. Tak stało się m.in. z 30 karabinami przeciwpancernymi polskiej produkcji zdobytymi w 1939 roku lub pociskami do moździerzy. Były również kłopoty ze sprzętem.

Mentolowe cukierki na kaszel i przeziębienie kupowane prywatnie.

Menażka armii norweskiej o unikatowym kształcie mogła pełnić rolę zarówno kociołka jak i czajnika. Zdobycznych egzemplarzy używali też Niemcy, co potwierdzają znaleziska z terenu Polski.

Brytyjskie samoloty przerzucone z lotniskowca na jedno z zamarzniętych jezior nie mogły potem wystartować, gdyż nie można było z powodu mrozu uruchomić ich silników. Używane przez Francuzów czołgi Hotchkiss H-38 też zawodziły. <

Tomasz Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy"

LITERATURA:

BAIR IRINCHEEV **„Wojna Fińska. Białe piekło Sowietów"**, Wydawnictwo RM, Warszawa 2015

ARNOLD JASKOWSKI **„Kampania norweska"**, Książnica Polska, Glasgow 1944

PHILIP JOWETT, BRENT SNODGRASS **„Finlandia w wojnie 1939-1945"**, Bellona, Warszawa 2010

WILLIAM LUBBECK **„U bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza Grupy Armii Północ."**, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009

HENRIK O. LUNDE **„Bitwa o Norwegię 1940"**, Wydawnictwo Dolnośląskie

JAN MEYSZTOWICZ **„Saga Brygady Podhalańskiej"**, Wydawnictwo MON, Warszawa 1987

GUY SAJER **„Zapomniany żołnierz"**, Wydawnictwo L&L, Gdańsk 2001

www.odkrywca.pl

VI Wakacje z historią

GOZDOWICE

4-13 VIII 2017

Wakacje z Historią
to połączenie wypoczynku,
eksploracji oraz wolontariatu,
a wszystko to w cieniu historii,
ciekawych miejsc i tajemnic.

Na VI edycję zapraszamy Was
do Gozdowic (woj. zachodniopomorskie),
gdzie 1 Armia Wojska Polskiego forsowała Odrę wiosną 1945r.

W okolicy zwiedzamy m.in.: komandorię Templariuszy,
miejskie mury obronne oraz miejsce średniowiecznej bitwy.

Wśród atrakcji ponadto:
Mistrzostwa w eksploracji Wakacji z Historią,
gry, zabawy, konkursy oraz loteria z cennymi
nagrodami dla aktywnych wolontariuszy.

Informacji udzielają:
Witek, tel: 602-688-672
Radek, tel: 603-664-176

WYKRYWACZE METALI RESTYLING
archtech
Muzeum Mieszkowice
Gmina Mieszkowice
ODKRYWCA

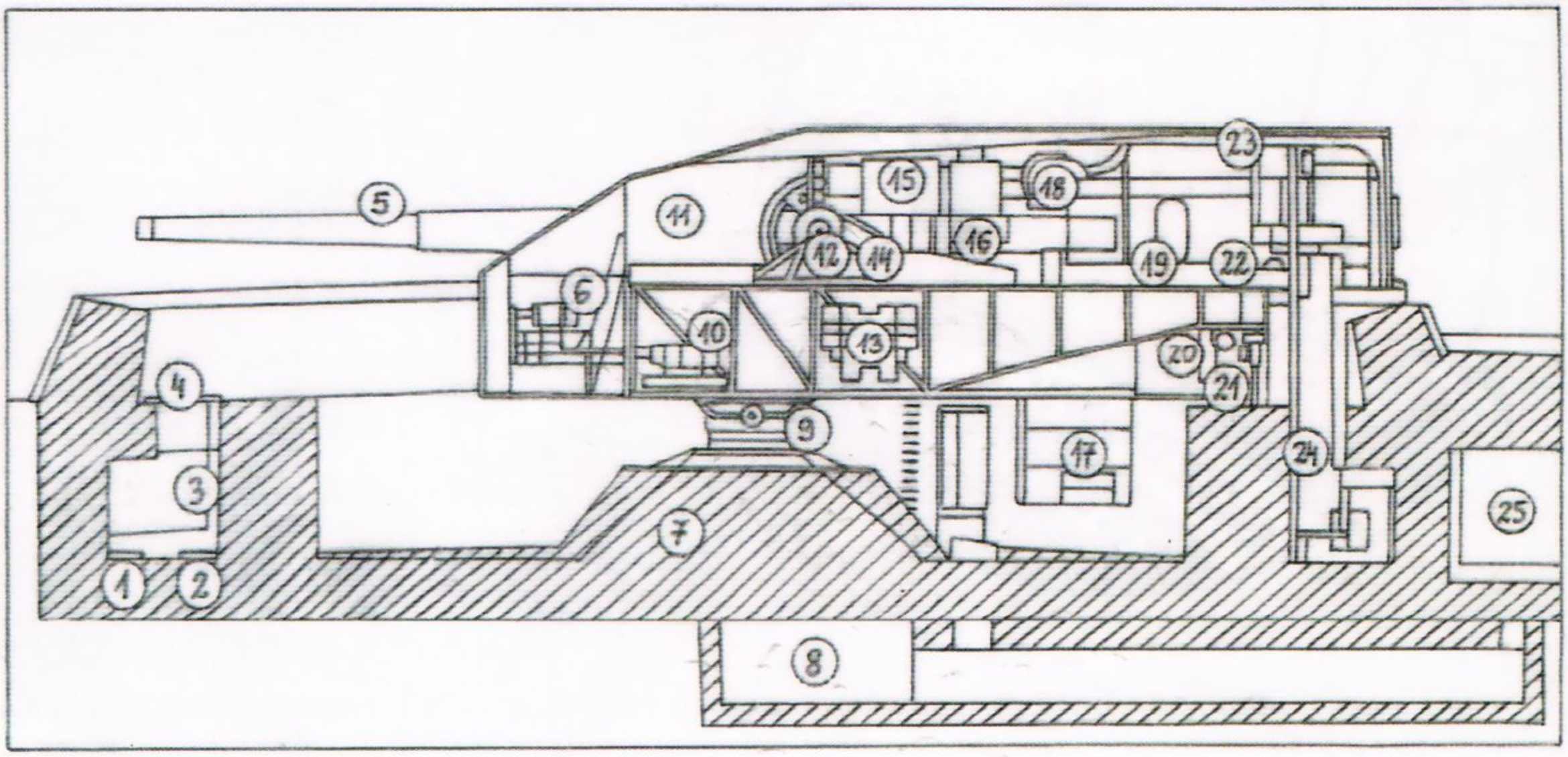

CZĘŚĆ 1

BATERIA „VARA”

JACEK JAROSZ

Skagerraku strzegła druga pod względem kalibru bateria artylerii nadbrzeżnej Wału Atlantyckiego w Norwegii.

Po zajęciu we wrześniu 1939 roku terytorium Polski, następnym celem Wehrmachtu miały stać się państwa skandynawskie: Dania oraz Norwegia. Pierwsze prace studyjne związane z atakiem na Norwegię Niemcy rozpoczęli 24 lutego 1940 roku. Już w dniu rozpoczęcia inwazji, 9 kwietnia, zostały opanowane przez jednostki niemieckie wszystkie ważniejsze porty norweskie. Jednak Norwegowie wraz ze wspierającymi ich siłami alianckimi jeszcze przez stosunkowo długi okres stawiali opór, gdyż kapitulacja nastąpiła dopiero 10 czerwca. Tak więc był to zdecydowany kontrast wobec praktycznie nie broniącej się Danii[1].

Początki Wału Atlantyckiego

Wkrótce po zajęciu Norwegii Niemcy rozpoczęli planowanie ufortyfikowania jej linii brzegowej, co miało stanowić zabezpieczenie przed spodziewanym wcześniej czy później lądowaniem sił alianckich. Postanowiono ustawić szereg baterii artylerii nadbrzeżnej, które miały stać się głównym elementem powstających fortyfikacji. Fortyfikacje te, wraz z tymi, które miano wybudować na wybrzeżu duńskim, utworzyły pierwszy element tak zwanego Wału Atlantyckiego (Atlantikwall), do którego później dołączyły umocnienia na linii brzegowej Holandii, Belgii, Francji oraz brytyjskich Wysp Normandzkich (Jersey, Guernsey, Alderney i Sark). Długość ufortyfikowanego mniej lub bardziej, rozciągającego się

Żołnierze niemieccy na jednym z dział baterii w 1942 roku [Siegfried. Kanonen på Møvik]

rys. J.Jarosz wg Siegfried. Kanonen på Møvik

www.odkrywca.pl

ARMATA KALIBRU 380 MM TYPU SK C/34 NA LAWECIE TYPU C/39

1 Tor dla wózka amunicyjnego transportującego pociski i ładunki z komór amunicyjnych
2 Tor dla wózka zawierającego podnośniki służące do transportu pocisków i ładunków z wózka amunicyjnego do wieży
3 Korytarz-rotunda
4 Stalowe płyty zabezpieczające od góry korytarz-rotundę
5 Lufa działa
6 Silnik podnoszenia lufy armaty
7 Żelbetowy cokół – podstawa wieży
8 Komora kablowa
9 Centralny trzpień
10 Urządzenie korygujące ustawienie działa
11 Pancerz wieży
12 Łoże armaty
13 Tablica rozdzielcza
14 Urządzenie kontrolujące podnoszenie lufy
15 Amortyzator odrzutu
16 Zamek działa
17 Winda do transportu pustych łusek
18 System wentylacyjny służący do usuwania z wieży gazów prochowych powstałych po wystrzale
19 Drzwi w bocznej ścianie wieży
20 Urządzenie kontrolujące obrót wieży
21 Silnik obracający wieżę
22 Wózek amunicyjny
23 Silniki podnoszenia lufy armaty
24 Winda amunicyjna
25 Komora amunicyjna

BATERIA W LICZBACH:

- **380 mm**
  KALIBER DZIAŁ
- **55 km**
  ZASIĘG
- **53 000 m³**
  SKAŁ USUNIĘTO PODCZAS BUDOWY
- **29 000 m³**
  TYLE WYLANO BETONU
- **2 300 m**
  TYLE POŁOŻONO TORÓW KOLEJKI WĄSKOTOROWEJ
- **4 300 m**
  TYLE POŁOŻONO RUR WODOCIĄGOWYCH

od granicy hiszpańsko-francuskiej do granicy norwesko-fińskiej Wału Atlantyckiego sięgała w sumie aż 2685 km, przy czym jego główną wartość obronną stanowiło około 1500 baterii artylerii nadbrzeżnej. Jesienią 1942 roku na norweskim wybrzeżu Niemiecka Marynarka Wojenna (Kriegsmarine) miała już 72 baterie artylerii nadbrzeżnej (Marine Küsten Batterie – MKB), natomiast wojska lądowe 221 baterii (Heeres Küsten Batterie – HKB), ukończonych i gotowych do służby lub znajdujących się w różnych fazach budowy[2]. Należały one do jednostek marynarki wojennej (Marine Artillerie Abteilung – MAA) oraz jednostek wojsk lądowych (Heeres Küsten Artillerie Abteilung – HKAA).

Panowanie nad wodami Skagerraku

W celu zamknięcia dla alianckiej floty przejścia z Morza Północnego na Morze Bałtyckie Niemcy postanowili solidnie zaminować cieśninę Skagerrak (Skagerrak-Sperren), a na obu jej brzegach wybudować baterie ciężkiej artylerii nadbrzeżnej. Miały one zabezpieczyć rozciągający się na szerokość prawie 120 km akwen[3], sięgający od południowych brzegów Norwegii do północnych brzegów Danii. W pobliżu norweskiego portu Kristiansand i w rejonie duńskiego portu Hanstholm zdecydowano się na budowę dwóch baterii należących do jednostek marynarki wojennej, uzbrojonych w armaty kalibru 380 mm o maksymalnej donośności około 55 000 m, co miało pozwolić na prawie całkowite panowanie nad wodami Skagerraku. Znajdujący się poza zasięgiem ognia obu baterii środkowy odcinek cieśniny był broniony przez szczególnie solidnie rozbudowane pola minowe. Obie baterie miały bronić Skagerrak-Sperren przed wytrałowaniem przez nieprzyjacielskie jednostki. W sumie na tym akwenie Niemcy postawili ponad 13 000 min morskich, przy czym najczęściej stosowano zawierającą 250 kg materiału wybuchowego minę typu EMC (Einheitsmine, modell C), z których jedna obecnie stanowi eksponat w poniżej opisanym skansenie-muzeum. Pola minowe w Skagerraku zostały generalnie oczyszczone do roku 1946, jednak pojedyncze dryfujące miny spotkać można było jeszcze przez wiele lat po zakończeniu wojny. W pobliżu Hanstholmu Niemcy wybudowali baterię „Hanstholm II"[4] MKB 2/MAA 118 uzbrojoną w cztery działa kalibru 380 mm typu SK C/34, natomiast w okolicach Kristiansandu będąca bohaterką poniższego opracowania baterię „Kroodden"[5] (późniejsza „Vara") MKB 6/MAA 502 posiadającą ostatecznie trzy takie same armaty (planowano cztery). Według pierwotnych założeń obie baterie miały być uzbrojone w armaty kalibru 406 mm typu SK C/34 (tak zwane „Adolf Kanone")[6], jednak ostatecznie zdecydowano się na działa kalibru 380 mm, co było spowodowane pozyskaniem ich nadwyżki w związku z zerwaniem kontraktu ze Związkiem Radzieckim (patrz niżej).

Budowa baterii „Kroodden"

Rozpoczęto ją wiosną 1941 roku. Prace były koordynowane i nadzorowane przez kierowaną przez ówczesnego ministra uzbrojenia III Rzeszy doktora Fritza Todta, Organizację Todt (Todt Organization). Głównym wykonawcą robót było berlińskie przedsiębiorstwo Hugo Klammt GmbH, przy czym zaangażowanych było również szereg mniejszych norweskich firm. Jesienią tego roku w pracach uczestniczyło prawie 1400 ludzi, z czego 744 Norwegów, 392 Niemców i 231 Duńczyków[7]. Od końca 1942 roku do zakończenia działań wojennych na terenie baterii pracowali także jeńcy radzieccy. Początkowo było ich około 200, później liczba ta była nieokreślona. Deficytowy w Norwegii, niezbędny do wytwarzania betonu piasek był dostarczany z Danii, a stal zbrojeniowa do tworzenia żelbetu ze Szczecina. Do transportu materiałów budowlanych na >>>

www.odkrywca.pl

>>> terenie baterii wykorzystywano kolejkę wąskotorową, którą później dostarczano amunicję i zaopatrzenie. Elementy armat były transportowane na statkach z Niemiec do Szwecji, skąd koleją przewożono je do Kristiansandu. Następnie z platform kolejowych przeładowywane były na 12-osiowe platformy kołowe, którymi dowożono je do Møvik. W czasie transportu jednej z luf, w pobliżu niewielkiej miejscowości Kjos, załadowana platforma wpadła do rowu. Akcja jej wydobycia trwała ponad dwa tygodnie. Działa na stanowiskach były montowane przy pomocy specjalnych suwnic bramowych. W sumie podczas prac przy budowie obiektów baterii usunięto metodą wybuchową około 53 000 m³ skał, wylano około 29 000 m³ betonu, wybudowano około 4000 m dróg oraz położono około 2300 m torów kolejki wąskotorowej i około 4300 m rur wodociągowych.

Zmiana nazwy na „Vara"

Pierwszym dowódcą baterii był kapitan marynarki Lind, który jednak wkrótce po objęciu stanowiska zmarł z przyczyn naturalnych. Jego następcą został porucznik (później kapitan) Karrenbrock. Nazwa „Kroodden" na początku 1942 roku została zmieniona na „Vara", co miało uczcić pamięć niemieckiego generała-inżyniera (Generalmajor der Marinepioniere) Felixa Vary (1881-1941). Zginął on 3 listopada 1941 roku na pokładzie kutra ratowniczego dla pilotów Luftwaffe FL 502 (Flugsicherungsboot) podczas ataku brytyjskiego lotnictwa w trakcie rejsu z wyspy Guernsey na wyspę Alderney, gdzie miał prowadzić rozbudowę tamtejszych fortyfikacji. Około 6 mil na południowy-wschód od portu Saint Peter Port (Guernsey) niemiecka jednostka została zaatakowana przy pomocy rakiet niekierowanych i broni maszynowej przez samolot myśliwski typu Supermarine „Spitfire" z 234. Eskadry Royal Air Force. Na trafionym FL 502 oprócz generała Vary zginął także komandor Rolf Mirius[8] oraz trzech innych ludzi, natomiast uratowanych zostało 9 osób. Podobna sytuacja odnośnie zmiany nazw najcięższych baterii artylerii nadbrzeżnej miała miejsce także w innych przypadkach. I tak – bateria „Siegfried" MKB 4/MAA 242 po śmierci szefa Organizacji Todt – Fritza Todta[9] zmieniła nazwę na „Todt", a bateria „Grossdeutschland" MKB 6/MAA 244 (od 1942: ekshelska bateria „Schleswig-Holstein" MKB 2/MAA 119) po śmierci dowódcy pancernika Bismarck – komandora Ernsta Lindemanna[10] na „Lindemann".

Gotowość bojowa i przebudowa

Pierwsze próbne wystrzały z dział głównego kalibru nr 2 i nr 3 oddano 12 marca 1942, a z armaty nr 4 – w listopadzie tego samego roku. Bateria gotowość bojową osiągnęła w czerwcu 1943 roku, jednak jak wspomniano już wyżej, tylko z trzema działami artylerii głównej. Pierwsza salwa z owych armat została wystrzelona 17 czerwca tego samego roku. Już po wprowadzeniu do służby bateria była szeroko wykorzystywana w materiałach propagandowych dotyczących Wału Atlantyckiego i potęgi niemieckiej obrony wybrzeża. Na stanowisko działa nr 1 armata nie została dostarczona, gdyż postanowiono najpierw zabudować je kazamatą. Odkryte dotąd stanowisko miało być w ten sposób chronione przed atakami coraz groźniejszego alianckiego lotnictwa. Z czasem w podobny sposób planowano zabudować stanowiska pozostałych trzech armat oraz dział bliźniaczej baterii „Hanstholm II". Prace nad konstrukcją kazamaty na stanowisku działa nr 1 rozpoczęły się w lecie 1944 roku i trwały przez dwa i pół miesiąca. Po ukończeniu budowy kazamaty przyszedł czas na przygotowania do dostarczenia i zamontowania armaty. Na początku 1945 roku elementy działa, jednak poza samą lufą, znajdowały się już na terenie baterii. Ich łączna masa sięgała 230 t. Przed kazamatą wybudowano żelbetowe podesty estakady, na której miała pracować suwnica bramowa o nośności 175 t. Nie wiadomo z jakiego powodu, podesty owe zostały przez norweskich saperów wysadzone w 1947 roku, jednak ich dość >>>

BATERIA „VARA" W SKRÓCIE: USYTUOWANIE, LUDZIE, BUDOWA

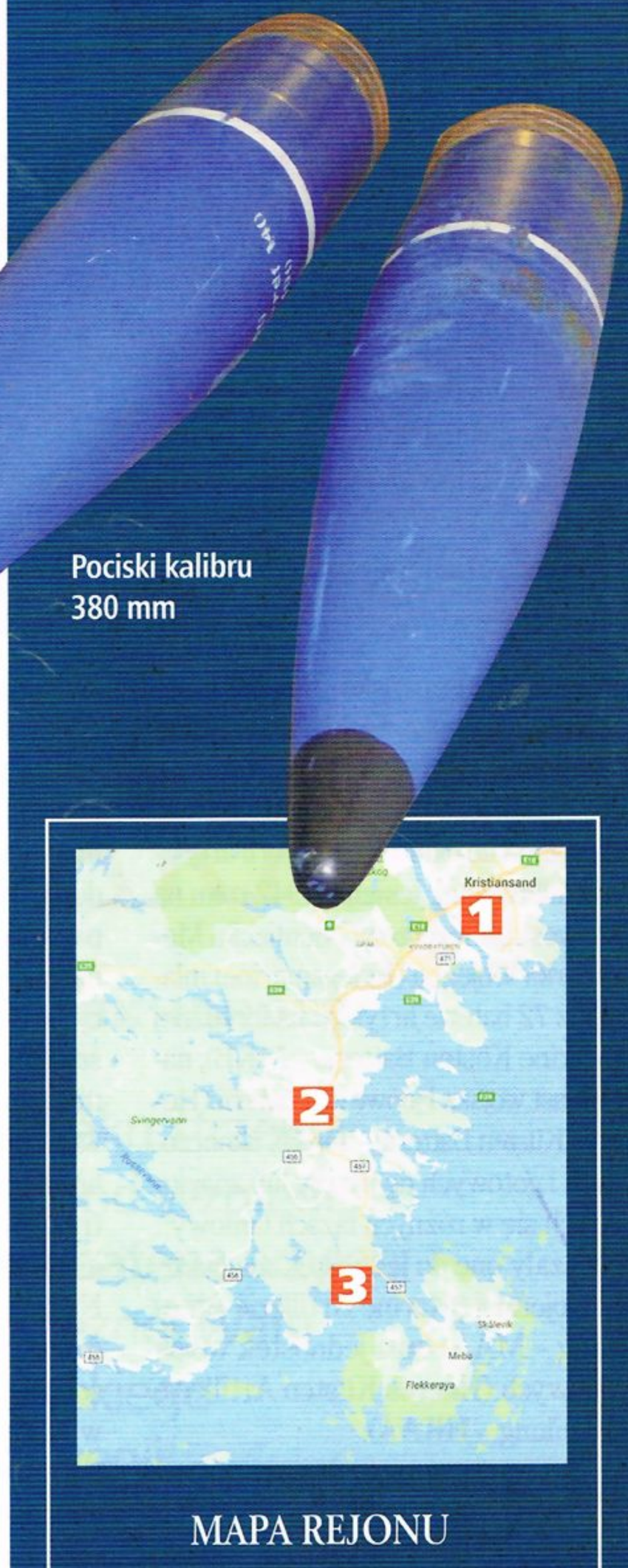

MAPA REJONU

1 KRISTIANSAND – elementy armat były transportowane na statkach z Niemiec do Szwecji, skąd koleją przewożono je do tej miejscowości

2 KJOS – w czasie transportu jednej z luf, w pobliżu niewielkiej miejscowości Kjos, załadowana platforma wpadła do rowu. Akcja jej wydobycia trwała ponad dwa tygodnie.

3 MOVIK – w Kristiansand elementy armat z platform kolejowych przeładowywane były na 12-osiowe platformy kołowe, którymi dowożono je do Movik.

fot. J. Jarosz, Wikipedia, oprac. map – redakcja

www.odkrywca.pl

Losy lufy działa nr 1.
Przez dłuższy czas istniała wersja, że wypłynęła ona z Hamburga w lutym na frachtowcu Porto Alegre. W nocy 22 tego miesiąca statek ten w cieśninie Kattegat został zatopiony przez brytyjskie lotnictwo, w wyniku czego przewożona lufa miała zostać bezpowrotnie utracona. Jednak według ostatnich danych, wobec braku dokumentacji potwierdzającej ten fakt, informacja ta jest niepewna i tak naprawdę jej losy są nieznane.

WAŁ ATLANTYCKI
Jego główną wartość obronną stanowiło około 1500 baterii artylerii nadbrzeżnej.

W okolicach Kristiansandu powstała będąca bohaterką poniższego opracowania bateria „Kroodden" (późniejsza „Vara").

W pobliżu Hanstholmu Niemcy wybudowali baterię „Hanstholm II" 1 MKB 2/MAA 118 uzbrojoną w cztery działa kalibru 380 mm typu SK C/34.

Piasek do budowy baterii był dostarczany z Danii, to materiał deficytowy w Norwegii, niezbędny do wytwarzania betonu.

Nazwa „Kroodden" na początku 1942 roku została zmieniona na „Vara", co miało uczcić pamięć niemieckiego generała-inżyniera Felixa Vary. Zginął on 3 listopada 1941 roku na pokładzie kutra ratowniczego dla pilotów Luftwaffe FL 502 podczas ataku brytyjskiego lotnictwa w trakcie rejsu z wyspy Guernsey na wyspę Alderney, gdzie miał prowadzić rozbudowę tamtejszych fortyfikacji.

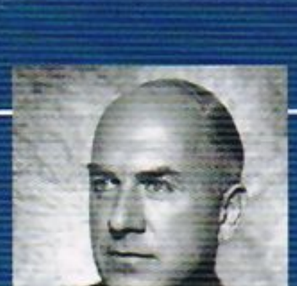

Berlińskie przedsiębiorstwo Hugo Klammt GmbH było głównym wykonawcą robót, przy czym zaangażowanych było również szereg mniejszych norweskich firm. Było nadzorowane przez kierowaną przez ówczesnego ministra uzbrojenia III Rzeszy doktora Fritza Todta, Organizację Todt (Todt Organization)

Stal zbrojeniowa do tworzenia żelbetu dostarczana była ze Szczecina.

>>> okazałe pozostałości widoczne są do dzisiaj. Występują kontrowersje odnośnie losów lufy działa nr 1. Przez dłuższy czas istniała wersja, że wypłynęła ona z Hamburga w lutym na frachtowcu Porto Alegre (Hamburg-Südamerikanische DG/1936/6105 BRT). W nocy 22 tego miesiąca statek ten w cieśninie Kattegat został zatopiony przez brytyjskie lotnictwo, w wyniku czego przewożona lufa miała zostać bezpowrotnie utracona. Jednak według ostatnich danych, wobec braku dokumentacji potwierdzającej ten fakt, informacja ta jest niepewna i tak naprawdę jej losy są nieznane.

W lecie 1944 roku bateria „Vara" oraz fortyfikacje znajdujące się w rejonie Kristiansandu zostały przez Niemców określone jako twierdza – „Festung Kristiansand". Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku innych ufortyfikowanych rejonów w Norwegii, takich jak – Alta, Narvik, Harstad, Bodø, Ørlandet, Stavanger, Lista i Kjevik. Bateria „Vara" nigdy nie została wykorzystana w akcji bojowej, podobnie zresztą jak to miało miejsce w przypadku bliźniaczej baterii „Hastholm II". Wykonywała jedynie strzelania ćwiczebne.

Przejęcie przez Norwegów

Wyłącznie ćwiczebnie strzelała także po zakończeniu wojny i przejęciu przez Norwegów. Ci ostatni teren baterii przejęli od Brytyjczyków 12 maja 1945 roku. 5 października następnego roku bateria weszła w skład Brygady Artylerii Nadbrzeżnej „Południe" (Kystartilleribrigade Sør, Kristiansand), później zaś stała się elementem Brygady Artylerii Nadbrzeżnej „Sørlandet" ((Kystartilleribrigade Sørlandet, Kristiansand).

7 sierpnia 1947 roku Norwegowie odbyli pierwsze strzelania z dział głównego kalibru. W roku 1949 każda z trzech armat baterii wystrzeliła po 22 pociski kalibru 380 mm. Od 1 stycznia 1951 roku bateria funkcjonowała jako „Fort Møvik", przy czym głównie miała być teraz wykorzystywana do celów szkoleniowych. 15 sierpnia 1951 roku dawna bateria „Vara" odbyła oficjalnie ostatnie strzelania, jednak w październiku 1957 ogień otwarto raz jeszcze. W latach 1947-1951 każde z dział miało wystrzelić po 50 pocisków kalibru 380 mm i 67 kalibru 127 mm z luf wkładkowych.

W roku 1954 „Fort Møvik" przeszedł do rezerwy. Bateria oficjalnie została wycofana ze służby 20 kwietnia 1959 roku[11]. Stała się teraz terenem ćwiczebnym dla jednostki HV 07, wchodzącej w skład norweskiej obrony terytorialnej.

Po decyzji o likwidacji baterii armaty ze stanowisk nr 3 i nr 4 zostały

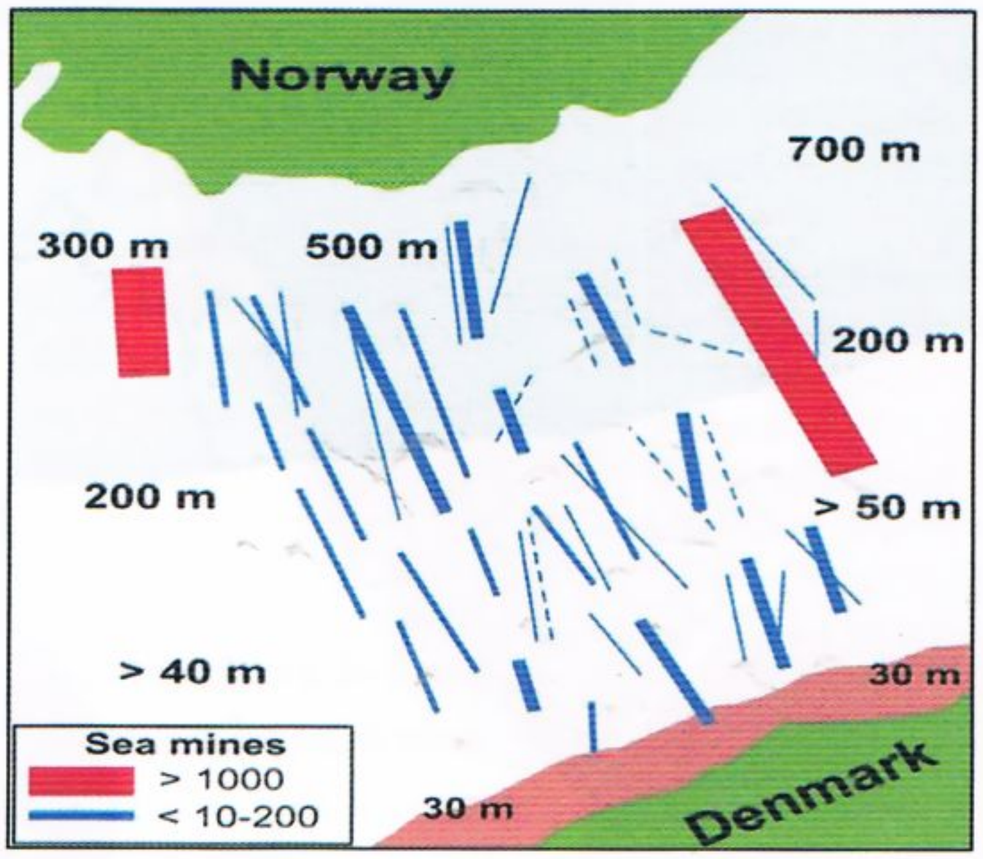

Schemat pól minowych w Cieśninie Skagerrak

Tablica informacyjna przy „Forcie Møvik".

zdjęcia: J. Jarosz

zdemontowane i następnie złomowane, podobnie jak i części niezamontowanego działa nr 1[12]. Na szczęście armata ze stanowiska nr 2 w całości została zachowana i na początku lat 90. XX wieku udostępniono ją zwiedzającym jako element skansenu-muzeum. Od początku lat 60. obiekty baterii służyły jako magazyny amunicji. W 1984 roku powstały pierwsze plany odnośnie utworzenia na terenie baterii skansenu-muzeum. W roku 1991 powstała w Kristiansand organizacja Kanonmuseum Foundation, która wkrótce doprowadziła do otwarcia skansenu-muzeum. 5 czerwca 1993 roku w obecności ministra obrony Norwegii – Jurgena Kosmo, nastąpiło oficjalna inauguracja „Fortu Møvik" i udostępnienie go turystom.

Bateria jako skansen-muzeum

„Fort Møvik" znajduje się na południe od miejscowości Møvik, około osiem kilometrów od Kristiansandu. Droga dojazdowa jest dobrze oznakowana. Przed muzeum usytuowany jest bezpłatny parking. Bilety kupuje się w wejściu do schronu-stanowiska działa nr 2. Przy kasie znajduje się również niewielki sklepik z souvenirami, pocztówkami i książkami. Muzeum zwiedza się samodzielnie. Po zakupieniu biletu otrzymuje się mapkę z trasami zwiedzania i z najważniejszymi obiektami baterii. Tablice informacyjne przedstawione są w językach – norweskim, niemieckim i angielskim. Muzeum jest obiektem, w którym znajduje się druga pod względem kalibru bateria artylerii nadbrzeżnej Wału Atlantyckiego, określana jako „Drugie pod względem wielkości działo lądowe z Møvik" („Verdens nest største landfaste kanon på Møvik"). Pierwszą jest bateria „Trondenes I" z okolic Harstadu (po wojnie przez Norwegów określana jako „Fort Trondenes"), która posiada zachowane cztery armaty kalibru 406 mm, takie same, jakie wchodziły na uzbrojenie helskiej baterii „Schleswig-Holstein" (i późniejszej „Grossdeutschland"/„Lindemann")[13]. Z oczywistych względów oba obiekty są ewenementem na skalę światową. Wspomnieć należy jeszcze o lufie armaty kalibru 380 mm z baterii „Vogelnest"/„Tirpitz", która przez dłuższy czas stanowiła eksponat kopenhaskiego muzeum uzbrojenia, a obecnie znajduje się w Hanstholm, na terenie skansenu-muzeum baterii „Hanstholm II". Głównymi atrakcjami „Fortu Møvik" są oczywiście – schron-stanowisko działa nr 2 z doskonale zachowaną armatą oraz monumentalna kazamata-stanowisko działa nr 1. Można zwiedzić część udostępnionych pomieszczeń tego pierwszego wraz z wieloma interesującymi eksponatami oraz obejrzeć samą armatę zarówno z zewnątrz jak i od wewnątrz. Wśród amunicji do działa kalibru 380 mm znajduje się sprowadzony z baterii w Trondenes pocisk kalibru 406 mm. Kazamatę można zwiedzać również od środka, jak też po specjalnych schodkach wejść na jej strop.

Pozostałe obiekty baterii zwykle są zamknięte i niedostępne od środka. Wyjątek tutaj stanowią – schron-stanowisko działa nr 3 oraz zapasowe stanowisko dowodzenia. Obecnie po terenie baterii poprowadzona jest także ścieżka dydaktyczna, przebiegająca przy najciekawszych jej obiektach. Można ją przejść, korzystając ze wspomnianej wyżej, nieźle przygotowanej mapki, którą otrzymuje się wraz z biletem. Na terenie baterii od 2016 roku organizowane są także okazjonalnie przejażdżki kolejką wąskotorową, jednak po powojennych już torach. Co jakiś czas w „Forcie Møvik" odbywają się imprezy „militarne", które gromadzą duże liczby zainteresowanych oraz sprzętu „bojowego". >>>

OBEJRZYJ FILMY

Prezentacja baterii „Vara" z kamery umieszczonej na dronie.

Film o muzeum-skansenie baterii „Vara": m.in. przygotowania do wystrzału.

Zachowana armata kalibru 380 mm nr 2.

>>> Wspomnieć należy również o obiektach baterii „Vara", które znajdują się na wyspie Flakkerøy. W jej centralnej części, w pobliżu miejscowości o tej samej nazwie stoi schron dalmierza typu S 100[14], natomiast w miejscowości Skålevik (Gråheia) usytuowane jest główne stanowisko dowodzenia typu S 414. Ten pierwszy usytuowany jest obecnie na terenie wojskowym i częściowo widać go zza płotu, natomiast dostępny z zewnątrz drugi obiekt jest zamurowany.

Godziny otwarcia skansenu-muzeum „Fort Møvik": od 15 maja do 18 czerwca – poniedziałek-środa 11.00-15.00 i czwartek-niedziela 11.00-17.00, od 19 czerwca do 20 sierpnia – poniedziałek-niedziela 11.00-18.00, od 21 sierpnia do 13 września – poniedziałek-środa 11.00-15.00 i czwartek-niedziela 11.00-17.00, od 18 września do 13 listopada – niedziela 12.00-16.00. Ceny: bilet normalny 90 koron norweskich i ulgowy 40 koron, czyli około odpowiednio 45 i 20 złotych polskich. Adres: Kristiansand kanonmuseum, Kroodden, Møvik, Kristiansand. Koordynaty GPS: N 58°5.538`, E 7°58.462`. Telefon: (+47) 380-850-90/913-439-38. Strona internetowa: vestagdermuseet.no/kanonmuseum.

[opis baterii nastąpi w części drugiej artykułu] <

Jacek Jarosz
Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki, badacz historii statków, miłośnik historii i fortyfikacji.

Schron-stanowisko działa nr 2.

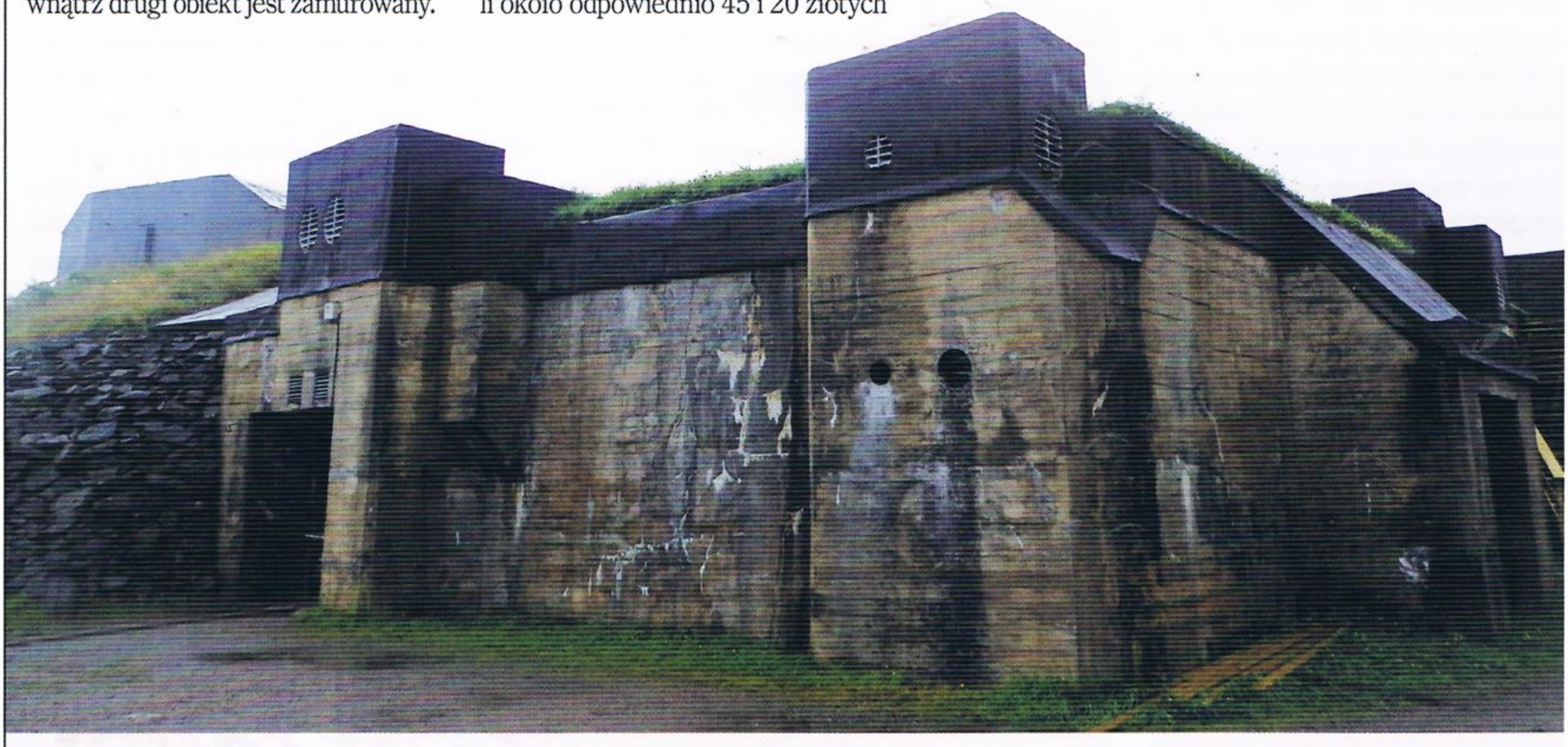

LITERATURA

CHEVALIER H., **Les combats de la Libération du Pas-de-Calais**, Lillers 2012.
DUDEK M., **Schleswig-Holstein, czyli helskie działa Navarony**, Hel 2005.
HAUWERMEIREN M., van, **Le Mur de l`Atlantique. Les plus remarquables bunkers du cap Nord à frontière espagnole**, Batz-sur-Mer 2008.
HERVOUET S., BRAEUER L, BRAEUER M., **1939-1945 Guide Europe 1500 Musées**, Batz-sur-Mer 2016.
JAROSZ J., **Bateria Hanstholm II** [w: „Odkrywca" 8/2014].
KNUTSEN J.N., **Bateria Vara w Kristiansand** [w: „Forteca" 6-7/1998].
Kristiansand kanonmuseum. Vestagdermuseet – materiały reklamowe.
KUBIAK K., **Bateria Vara w Kristiansand** [w: „Morza, Statki i Okręty" 1/2003].
KUPKA V., **Atlantický Val**, Praga 1995.
LIPPMANN H., **Militärmuseen in Dänemark**, Kolonia 2002.
ROLF R., **Der Atlantikwall. Die Bauten der deutschen Küstenbefestigungen 1940- 1945**, Osnabrück 1998.
ROLF R., **Atlantic Wall Typology**, Middelburg 2008.
ROLF R., **Atlantikwall. Batteries and Bunkers**, Middelburg 2014.
SUNDE H.I., **Siegfried. Kanonen på Møvik**, Kristiansand 2015.
WAHL J.-B., **Mur de l`Atlantique en Norvège. I – Le Sud et l`Ouest**, Huningue 2009.
WASIUNKIN W.W., **Krejsera Sowietskowo Wojenno-Morskowo Fłota (I)**, Sankt Petersburg 2014.
WRÅNES E., **Tysk invasionsforsvar på Agder 1940-1945**, Kristiansand 2014.
ZALOGA S.J., **The Atlantic Wall. II – Belgium**, The Netherlands, Denmark and Norway, Oxford 2009.

STRONY INTERNETOWE

Atlantik-Wahl. Norvège/www.atlantik-wahl.com/mur-atlantique/norvege-le- Guide
Bateria "VARA"– fotorelacja Kustosza z norweskiego muzeum/myvimu.com/blog
Baterie Møvik-Vara, Norsko/www.kabelovky.net
German coastal defence in Norway during WW II/www.feldgrau.com/norwcoast.html
Kristiansand Kanonmuseum/pl.wikipedia.org/wiki
Marine-Artillerie-Abteilungen/www.feldgrau.com/kmsartabt.html

PRZYPISY

[1]Dania skapitulowała po dwudziestu godzinach od rozpoczęcia działań przez Wehrmacht.
[2]Pod koniec wojny na norweskiej linii brzegowej znajdowało się około 400 baterii uzbrojonych w około 1100 dział o kalibrze od 105 do 406 mm. W sumie armat o kalibrze powyżej 20 mm było około 2500. W dniu kapitulacji wojsk niemieckich w Norwegii stacjonowało około 377 000 żołnierzy.
[3]Według „Siegfried. Kanonen på Møvik" szerokość ta wynosi 126 km.
[4]Bateria ta została opisana w numerze 8/2014 „Odkrywcy" w artykule „Bateria Hanstholm II". We wcześniejszych opracowaniach czasami określana jest jako „Hansted II" (Militärmuseen in Dänemark).
[5]Nazwa ta pochodzi od nazwy małej miejscowości, w pobliżu której wybudowano baterię (na południe od Møvik).
[6]Działa te według pierwotnych planów miały stanowić główne uzbrojenie superpancerników typu H, z których budowy Kriegsmarine zrezygnowała w 1939 roku.
[7]Według starszych danych w tym okresie przy budowie baterii było zatrudnionych – 750 Norwegów, 350 Duńczyków i 300 Niemców (Bateria Vara w Kristiansand). Co ciekawe, pod koniec wojny dla Niemców miało pracować aż około 120 000 Norwegów.
[8]Jego imieniem została nazwana znajdująca się na wyspie Guernsey niemiecka bateria artylerii nadbrzeżnej „Mirius" MKB ?/MAA 604, na której główne uzbrojenie wchodziły cztery pojedyncze eks-rosyjskie armaty kalibru 305 mm typu SK C/14 (r).
[9]Fritz Todt (1891-1942) zginął 8 lutego 1942 roku w katastrofie lotniczej na lotnisku w Kętrzynie-Wilamowie.
[10]Ernst Lindemann (1894-1941) zginął 27 maja 1941 roku na Atlantyku na pokładzie zatopionego przez Brytyjczyków pancernika Bismarck.
[11]Całkowita likwidacja lufowej artylerii nadbrzeżnej w Norwegii nastąpiła w 2004 roku.
[12]Według „Mur de l`Atlantique en Norvège. I - Le Sud et l`Ouest" armaty miały zostać złomowane już w 1958 roku.
[13]Trzecim norweskim muzeum jest usytuowana w miejscowości Austrått koło Trondheim dawna niemiecka bateria „Ørlandet". Można tam obejrzeć jej główne uzbrojenie pod postacią trzydziałowej wieży armat kalibru 280 mm, pochodzącej z rozbrojonego w Gdyni pancernika Gneisenau.
[14]Sam dalmierz został zdjęty z obiektu po wojnie. W jego miejscu obecnie znajduje się żelbetowa konstrukcja, stanowiąca podstawę pod także już zlikwidowaną, ustawioną przez Norwegów antenę radaru.

www.odkrywca.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

Viking

do poszukiwania złota ● do poszukiwań atmosferyczne ● odporny na warunki ● wodoszczelny do 3m ● podwodny

GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com

NOWOŚĆ

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

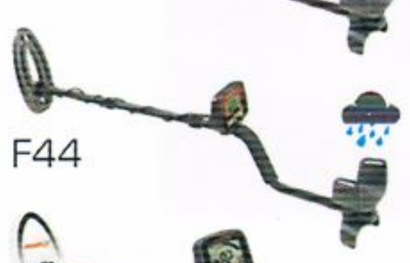
F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

PODCINANIE GAŁĘZI

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. PROWADZĄCY PROGRAM „POSZUKIWACZE HISTORII". KIM BĘDZIE JUTRO, NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Zima i wczesna wiosna to dla sporej części poszukiwaczy pora odpoczynku od szpadla i wykrywacza. Siedzą, knują, rozmawiają, grzebią w internetach. Pewnie z braku zajęć terenowych poszukiwania wskakują na poziom gabinetowy i niczym starożytny bumerang znaleziony na stanowisku archeologicznym wraca temat zmiany przepisów. Jak każdej zimy słychać te same teksty: „prawo jest nieprzychylne, nieprecyzyjne, dowolne w urzędniczej interpretacji, nakładające na poszukiwaczy same ograniczenia, etc". Świętym graalem eksploracji jest prawo obowiązujące w Anglii, gdzie można szukać po uzyskaniu zgody właściciela terenu, w przypadku znaleziska należy je zgłosić, a jeśli ma wartość ogólną, to królowa ma prawo pierwokupu. Jeśli takowym zakupem nie jest zainteresowana, skarb staje się własnością znalazcy do spółki z właścicielem terenu. Jasne, proste, przejrzyste. I nieustanne westchnienia, kiedy u nas będzie tak jak w Anglii? Odpowiedź jest prosta, chociaż niezbyt pożądana – nigdy. Często rozmawiam z kumplem siedzącym za małą wodą, który na ziemiach podległych królowej założył „Team of Yorkshire – Metal Detecting Group", czyli przekładając na prostopolski – towarzystwo poszukiwaczy. Marek Zacharko, bo o nim mowa, zauważa trafnie, że wszelkie zmiany powinniśmy zacząć od siebie, czyli poszukiwaczy. Odbiło chłopu od tej angielskiej wilgoci – pomyślałem. Tylko czy na pewno odbiło?

Jeżeli spojrzy się na poszukiwaczy w Polsce z trochę szerszej perspektywy, to sprawy wyglądają podejrzanie. Poszukiwacze sami się chwalą, że jest ich sto tysięcy (więcej niż w Anglii), wykrywacze metalu są już sprzedawane w sieciach dyskontowych, na forach internetowych są ostrzeżenia o policyjnych łowach na poszukiwaczy, w ciągu roku zlotów, zjazdów i spotkań jest więcej niż pcheł na wiejskim psie, a największymi wrogami poszukiwaczy są: prawo, archeolodzy i konserwatorzy zabytków. Dodatkowym smaczkiem są podziały, rozłamy i donoszenie jednych poszukiwaczy na drugich. Fenomenem jest publikowanie fotografii tzw. „zdzisków" (dla niewtajemniczonych: przedmiot znaleziony danego dnia), w internecie z podaniem ogólnej lokalizacji, podczas gdy Wojewódzki Konserwator Zabytków odpowiedzialny za dany teren nie wydał żadnej zgody na poszukiwania, bo nikt o pozwolenie nie wnioskował. Ktoś niezbyt zorientowany w materii może się wystraszyć i stwierdzić, że poszukiwacze, mówiąc o zmianach przepisów, są jak zawodowi złodzieje, którzy krzyczą, że trzeba złagodzić kary za kradzież. Niektóre pomysły są fantastyczne: żeby lobbować posłów (tak, bo poszukiwania i historia to absolutny priorytet dla rządzących), zrobić referendum, bo skoro tylu nas jest, to 100 tys. podpisów migiem zdobędziemy (jasne, żeby podkreślić skalę zjawiska, gdyby ktoś przypadkiem myślał, że to garstka nieszkodliwych hobbystów).

Najlepsze to koncesjonować sprzedaż wykrywaczy, założyć ogólnopolskie stowarzyszenie, które przeprowadzi szkolenie (zapewne odpłatne) i egzamin, a detektorysta będzie miał papiery – to już zakładanie sobie łańcuchów na własną prośbę.

Dlatego zamiast marzyć o angielskim prawie, które jest wzorowane na rzymskim, warto pamiętać, że Polska była pod różnymi wpływami, ale z rzymskim imperium zazwyczaj łączą nas jedynie znajdowane monety. Lepiej uważajmy, żeby zmiany w prawie nie poszły w kierunku francuskim, gdzie z poszukiwaniami są większe problemy.

Dlatego lepiej obłaskawić bestię i nawet bez stowarzyszenia, jako przysłowiowy Kowalski wystąpić od czasu do czasu o pozwolenie na poszukiwania. Wystarczy rozsądnie umotywować swoją potrzebę, niekoniecznie chęcią sprzedaży czy kolekcjonowania przedmiotów. Jeżeli urzędnikowi dacie do ręki dobre argumenty, aby mógł udzielić takiej zgody, to w większości przypadków ją uzyskacie. Pamiętajcie – wiosna dopiero startuje i szpadle są wyostrzone.

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Adam Palmrich Orwid „Być wiernym ojczyźnie", opr. twarda, str. 176, wyd. Wagant. Cena: 32 zł.

Autor był dowódcą placówki Armii Krajowej „ŻURAW", działającej w Zakopanem w latach 1943–45 i w swoich wspomnieniach opisuje działania nie tylko dowodzonej przez siebie jednostki, ale także współpracujących z nią innych grup podziemia zakopiańskiego: S3, „Rettungstelle" i grupy „Radosławskiego". Na podstawie własnych przeżyć i doświadczeń skrupulatnie – a zarazem ciekawie – dokumentuje dramatyczne niekiedy akcje ruchu oporu w stolicy Tatr i na Podhalu. Ukazuje ludzi, którzy naprawdę byli zaangażowani w działalność konspiracyjną, ich dokonania i efekty działań, prezentując prawdziwe oblicze czasu okupacji w Zakopanem.

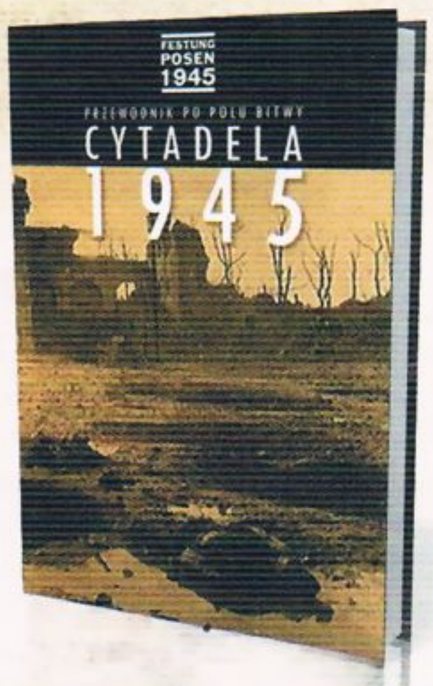

Maciej Karalus „Cytadela 1945. Przewodnik po polu bitwy", opr. miękka, str. 72, wyd. Pomost. Cena: 25 zł.

Niniejszy przewodnik ma na celu przybliżenie wszystkim zainteresowanym tego wyjątkowego miejsca, w kontekście wydarzeń, które rozegrały się tu w dniach 18–23 lutego 1945 roku. Dzięki niemu spragniony wiedzy o tym niezwykłym polu bitwy turysta będzie mógł w szybki i przystępny sposób poznać miejsca najważniejszych epizodów, które przesądziły o finale największej w dziejach Poznania bitwy. Kto zdecyduje się puścić wodze wyobraźni, ten przeżyje dramatyczne i mrożące krew w żyłach chwile pośród bitewnego zgiełku, kanonady dział, nalotów bombowców szturmowych, świstu kul i okrzyków „hurra" z setek gardeł podrywanych do szturmu Cytadelowców.

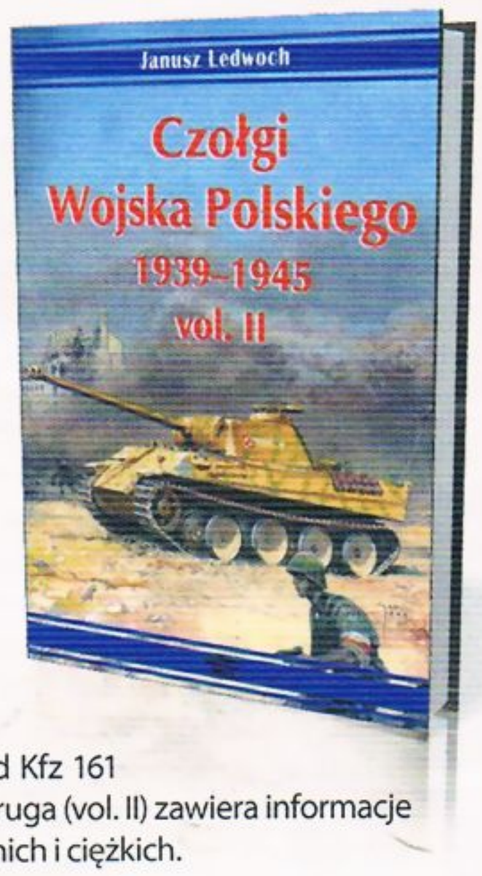

Janusz Ledwoch „Czołgi Wojska Polskiego 1939–1945" vol. II, opr. miękka, str. 168, wyd. Militaria. Cena: 28 zł.

W drugiej części opracowania pt. „Czołgi Wojska Polskiego 1939–1945" zostaną omówione podstawowe typy czołgów używanych przez jednostki PSZ i Wojska Polskiego (1. i 2. Armia WP) w latach 1943–1945, a więc czołgi średnie: Medium Tank M4 „General Sherman", Cruiser Tank Mk VIII A27M „Cromwell" oraz czołgi T–34 i T–34/85. Czołgi ciężkie: Infantry Tank Mk IV A22 „Churchill", sowieckie czołgi ciężkie KW–8 i IS–2 oraz zdobyczne niemieckie czołgi średnie: PzKpfw III Sd Kfz 141, PzKpfw IV Sd Kfz 161 i PzKpfw V Sd Kfz 171„Panther". Część druga (vol. II) zawiera informacje o wspomnianych typach czołgów średnich i ciężkich.

Alexander Kluge „Nalot na Halberstadt 8 kwietnia 1945", opr. miękka, str. 160, wyd. Ossolineum. Cena: 34 zł.

8 kwietnia 1945 roku kilka dywizjonów alianckich bombowców miało zniszczyć ważne strategicznie cele w Niemczech. W trakcie lotu piloci dostali informację, że atak jest niemożliwy z powodu gęstej mgły. Było za późno, żeby zawrócić, więc ponad dwieście maszyn zostało przekierowanych nad okolice Halberstadt, miasta leżącego pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Magdeburga. Nieduże miasto bez szczególnego znaczenia militarnego zrównano z ziemią. Zginęło dwa i pół tysiąca ludzi, a dziesięć razy tyle zostało bez dachu nad głową. Świadkiem tych wydarzeń był trzynastoletni wówczas Alexander Kluge. Nalot na Halberstadt nie jest książką wspomnieniową. To zbiór krótkich, pozbawionych autorskiego komentarza relacji, obrazujących atak z powietrza i bezradność ludzi na ziemi.

Piotr Setkiewicz „Nie poczuwam się do żadnej winy...", opr. miękka, str. 304, wyd. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. Cena: 45 zł.

W dniach 24 listopada – 16 grudnia 1947 roku miał miejsce proces załogi obozu Auschwitz, zwany również pierwszym procesem oświęcimskim. Na ławie oskarżonych zasiadło 40 esesmanów i nadzorczyń SS, m.in. Arthur Liebehenschel (drugi komendant obozu) i Maria Mandl (kierowniczka obozu kobiecego w Birkenau). Proces zakończył się 39 wyrokami skazującymi (w tym zapadły 23 wyroki śmierci) i jednym wyrokiem uniewinniającym. Publikacja zawiera zeznania oskarżonych, których linia obrony opierała się przede wszystkim na powoływaniu się na działanie na rozkaz, pomniejszaniu swej roli w hierarchii służbowej KL Auschwitz oraz zaprzeczaniu osobistej odpowiedzialności za popełnione czyny.

Robert Majzner, Andrzej Suchcitz, Tadeusz Dubicki „Oskarżam Majora Żychonia", opr. twarda, str. 470, wyd. Taurus. Cena: 89 zł.

Na niniejszą publikację składa się wprowadzenie oraz sześć dokumentów: Pismo kpt. Jerzego Niezbrzyckiego do szefa Sądownictwa Wojskowego z 11 marca 1942 r.; Pismo mjr. Tadeusza Nowińskiego do szefa Sądownictwa Wojskowego również z 11 marca 1942; Protokół przesłuchania kpt. Jerzego Niezbrzyckiego z okresu 29 kwietnia 1942–21 maja 1942; Oświadczenie (elaborat) mjr. Tadeusza Nowińskiego z 18 czerwca 1942 r.; Protokół przesłuchania oskarżonego mjr. Tadeusza Nowińskiego z dni 18–20 września 1942 r.; Sprawozdanie kpt. Mieczysława Dubika (uzupełnienie zeznań złożonych w sprawie mjr. Jana Żychonia z 19 marca 1943 roku.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

„Piękne, użyteczne, zbędne... Obiekty kolejowe w Polsce", red. M. Kapias, D. Keller, opr. miękka, str. 532, wyd. Muzeum w Rybniku. Cena: 60,90 zł.

Nieodłącznym elementem funkcjonowania kolei były i są obiekty – dworce, nastawnie, parowozownie, lokomotywownie, magazyny itp. Ta cała szeroka gama budynków powstawała w tym samych uwarunkowaniach co same linie – co więcej znakiem czasu stawały się pomysły na ich wygląd, tendencje do wykorzystywania wątków narodowych czy też ich koncepcje funkcjonalne. Tematyka ta została przedstawiona podczas wystawy w Muzeum w Rybniku jesienią 2016 r., a prezentowana książka jest jej znaczącym poszerzeniem. Na 532 stronach zamieszczono ponad 350 ilustracji.

Peter Wilhelm Stahl „Tajny pułk KG 200", opr. twarda, str. 336, wyd. Replika. Cena: 41,70 zł.

Ze względu na całkowite utajnienie i szczególne operacje KG 200 szybko owiany został aurą tajemniczości. Przypisywano mu korzystanie z niezliczonej liczby obcych maszyn oraz prowadzenie akcji, które u jednych wzbudzały ciekawość, a innych szokowały. Legendę KG 200 budowały dodatkowo niesamowite plotki. Nikt nie wiedział, jaka jest prawda, bo o nią nie wolno było pytać. „Tajny pułk KG 200" to prawdziwa, prezentująca niepublikowane przedtem dokumenty, fakty i zdjęcia historia tej jednostki, opowiedziana przez jednego z jej oficerów – Petera Wilhelma Stahla. Wiarygodna, rzetelna, bez zadęcia i patosu, a jednak nadal zdumiewająca i wyjątkowa.

Jarosław Ludowski „W osłonie trzeciej pancernej. Walki 2 Armii Lotniczej w operacji dolnośląskiej i bitwie lubańskiej", opr. miękka, str. 496, wyd. Archiwum-System. Cena: 49 zł.

„W osłonie trzeciej pancernej" to książka opisująca udział radzieckiego i niemieckiego lotnictwa w walkach podczas Operacji Dolnośląskiej i Bitwy Lubańskiej w okresie od 8 lutego do 8 marca 1945 r. Zakres publikacji dotyczy obszaru działania głównego ugrupowania uderzeniowego 1 Frontu Ukraińskiego – 3 Armii Pancernej Gwardii i 52 Armii, od forsowania Odry z przyczółka ścinawskiego, aż po ciężkie walki pod Lubaniem. Ten wątek zasługuje na osobne omówienie, zwłaszcza że wbrew powszechnemu przekonaniu świadczy o dużym zaangażowaniu lotnictwa, obfituje w szereg ciekawych wydarzeń i jest związany ze sporą liczbą strat tak załóg jak i samolotów podczas dolnośląskiej kampanii. Dostępna jest także wersja w twardej oprawie, w cenie 60 zł.

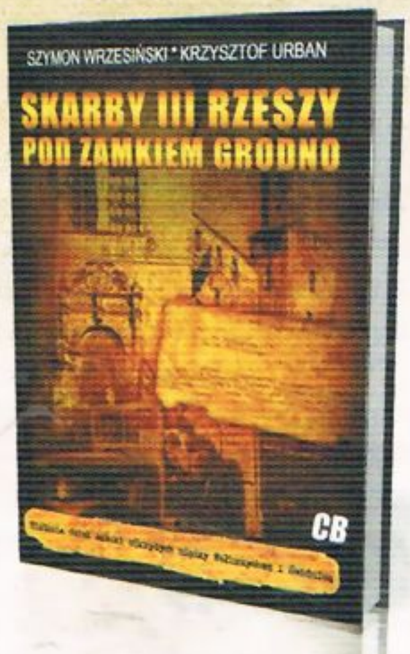

Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban „Skarby III Rzeszy pod zamkiem Grodno", opr. miękka, str. 202, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł.

Autorzy, poszukując informacji o właścicielach zamku Grodno, odnaleźli szereg niepublikowanych dokumentów berlińskiego konserwatora ze szczegółowym opisem kilku tajnych transportów do Zagórza Śląskiego w 1943 roku zawierających dzieła sztuki o ogromnej wartości. Dotarli również do oryginalnych i nieznanych dotąd maszynopisów dolnośląskiego konserwatora Günthera Grundmanna, składającego tuż po zakończeniu wojnie w 1945 roku meldunki przedstawicielom amerykańskich ekip poszukiwawczych! Interesujące okazały się również artykuły prasowe z lat 30., które informują m.in. o tajnej skrytce w pałacu barona von Zedlitz w Zagórzu Śląskim. Ponadto podczas poszukiwania materiałów na terenie Niemiec nabyli zestaw unikalnych zdjęć wykonanych w okresie III Rzeszy na zamku Grodno, zwanym wówczas Kynsburg.

Marco Patricelli „Uwolnijcie Duce!", opr. miękka, str. 210, wyd. Arte. Cena: 59,99 zł

Od autora: „Adolf Hitler. Kurt Student. Harald Mors. Otto Skorzeny. Hitler rozkazuje, generał Student koordynuje, major spadochroniarzy Mors opracowuje i wykonuje, oficer Waffen-SS Skorzeny zostaje bohaterem. W tej syntezie Operacji »Eiche«, będącej planem uwolnienia Mussoliniego z więzienia na Gran Sasso, istnieje jeden element za dużo. Tym zbędnym i fałszywym ogniwem jest z pewnością ten ostatni. Aczkolwiek przez ponad pół wieku (...) Skorzeny uchodził niezmiennie za »wyzwoliciela Mussoliniego«, bohatera z Gran Sasso. To zbyt ekscytujące pole badawcze, by zadowolić się oficjalną wersją wydarzeń, spreparowaną przez niemiecką propagandę...".

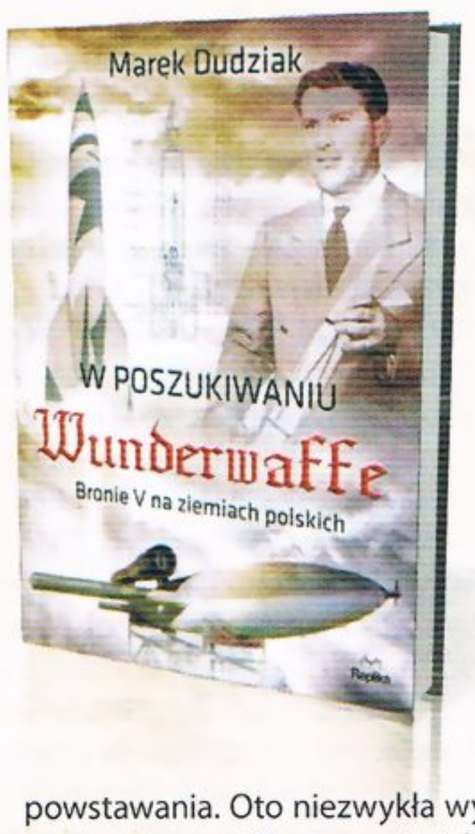

Marek Dudziak „W poszukiwaniu Wunderwaffe", opr. miękka, str. 240, wyd. Replika. Cena: 32,60 zł.

O niemieckich broniach V („Vergeltungswaffe" – broń odwetowa) po 1989 roku mówi się coraz więcej. Nikt dotąd jednak nie prześledził ich polskich tropów. Niniejsza książka stanowi pierwsze całościowe opracowanie na ten temat. Poszczególne projekty broni V w powojennych publikacjach oznaczono kolejnymi cyframi: V-1 (pocisk rakietowy), V-2 (rakieta balistyczna klasy ziemia-ziemia), V-3 (działo) czy V-4 (rakieta ziemia-ziemia „Rheinbote"). Ich historia jest różna, tak jak czas i miejsce powstawania. Oto niezwykła wyprawa do tych miejsc, gdyż wszystkie warte są uwagi. Poznawanie ich historii to niesamowita przygoda, zaskakująca, ale i pełna tajemnic.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Płynne przestrajanie częstotliwości (4,4 - 18,4 kHz)
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Odkryj nowe możliwości

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

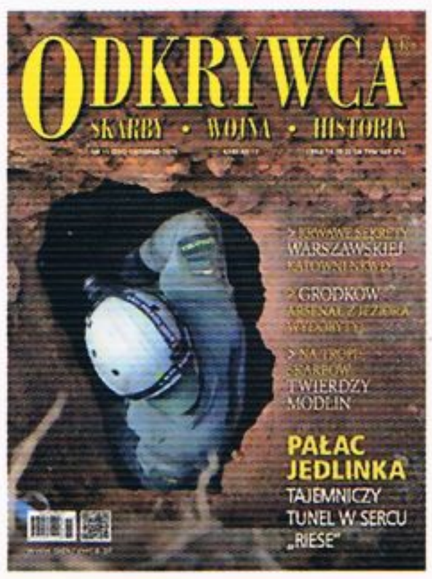

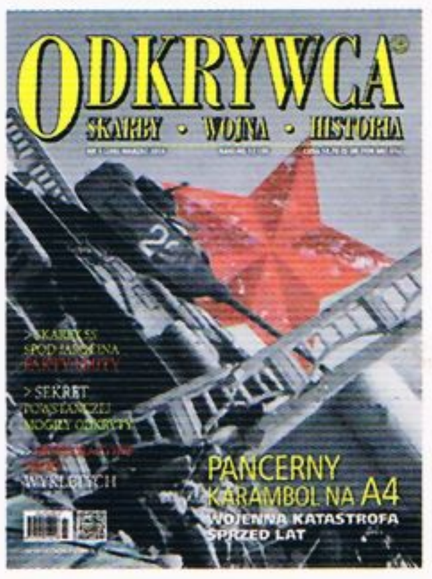

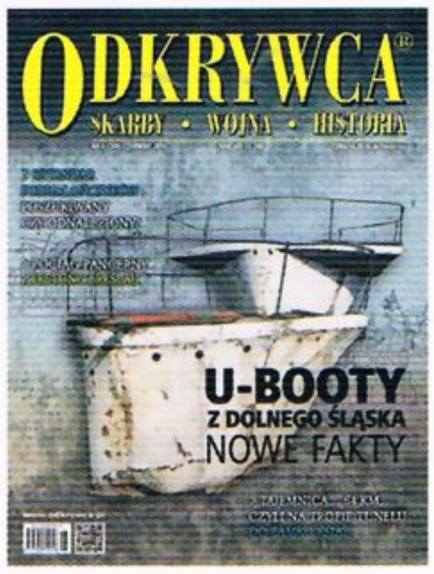

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne

- – rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- – rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- – roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
- – roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
- – rocznik 2012 – cena 96 zł
- – rocznik 2013 – cena 118 zł
- – rocznik 2014 – cena 120 zł

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

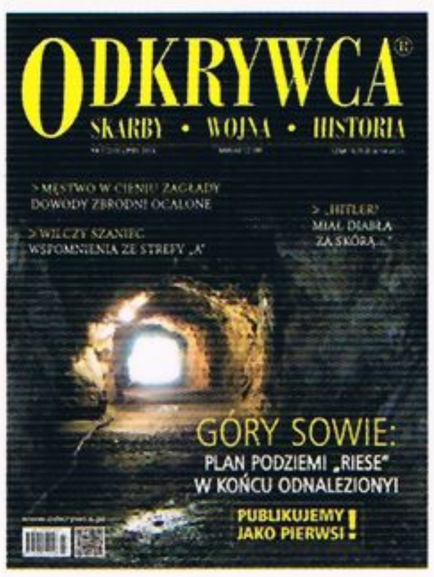

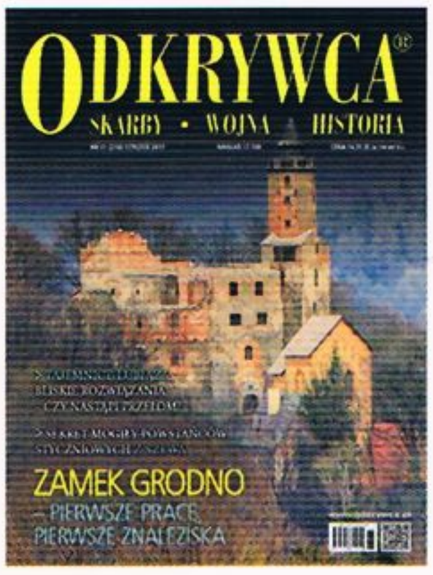

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71